



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwie.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Slav 7723.1022

Bought with the income of
THE
SUSAN A. E. MORSE FUND
Established by
WILLIAM INGLIS MORSE
In Memory of his Wife



Harvard College Library

Bina

116

*7457
21-2*

**KILKA RYSÓW
Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA**

OD ROKU 1848—1858

PRZEZ

LUCJANA SIEMIĘŃSKIEGO.

SIEMIĘŃSKI

Tom I.

WARSZAWA.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GUSTAWA GEBETHNER I SPÓŁKI

Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

—
1859.

21-2

WON THE AWARD

FOR THE BEST

OF THE YEAR

FOR THE YEAR

KILKA RYSÓW

Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA.

KILKA RYSÓW
Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA

OD ROKU 1848—1858.

PRZEZ

LUCJANA SIEMIŃSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKLAD I WŁASNOŚĆ GUSTAWA GEBETHNERA I SPÓŁKI.

Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

1859.

Slaw 7123, 10.22 (1)



Alace A.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 19 (31) Sierpnia 1858 r.

Cenzor, *Antoni Funkenstein.*

Druk J. Ungra.

Do Czytelnika.

Mówią powszechnie, że Przedmowa w książce jest rodzajem rekomendowania się publiczności; a książka, to gość nie znany, przybywający w dom, gdzie go się nie spodziewają; z czego wniosek: że gdyby nie przybył, możnaby się obejść bez niego.

Bez ilużto gości nieproszonych, nieoczekiwanych, obeszłoby się na świecie! a jednak, kiedy raz próg gościnny przestąpią, doznają uprzejmości będącej zażytych udziałem.

Jeżeli jaka książka, to krytycznej treści, najmniej może być przyjemnym gościem; a właśnie

tęj natury jest mniejsza. Dla tego chcąc pojawienie się jej usprawiedliwić, winienem opowiedzieć jakie przeszła koleje i jak powstała.

Od lat dziesięciu przyglądając się ludziom i książkom, zapisywałem o nich kiedy niekiedy moje uwagi, w miarę, jak mię co żywięj tknęło, lub do zabrania głosu dało pobudkę.

Owoż gdy się znalazła garstka tych zapisków tu owdzie rozrzuconych, uporządkowałem je i niosę na użytek publiczny; nie w innęj myśli, tylko, że jeśli co trafnego rzekł, lub dostrzegł w objawach i dążeniach życia społecznego i umysłowego, kiedyś może się nadać jak materiał lub świadectwo, dla piszącego historię ducha i wyobrażeń tego okresu.

Co się tycze użytku w obecności bieżącej? — Czyli kogo potrafił oświecić, skierować, przekonać, lub jak mówią: wpływ wyrzec — o tém sędzić nie umiem i bynajmniej się nie kuszę sądzić, zostawiając to sędziom głęboko patrzącym, i przyszłości, która najgłębiej umie patrzeć.

Jedno tylko wiem i z tego zwierzam się Czytelnikowi:

Zawsze o ile mogłem szukałem warownego i stałego gruntu w chwilach kiedy zachodziły różne prądy wyobrażeń nie swojskich i jak mówi Trentowski: przespolecznych (antisocyalnych); niemniej, kiedy lekkie zefirki mody dmuchały w trąby na cześć fenomenów literackich.

Zdanie opinii uniesionej chwilowym zapalem lub modą, nie może być regulatorem spokojnego i trzeźwego zadania.

Dawno już Leibnitz powiedział: „ilekroć słyszę w publice o kimeś mówiących: Tolle, Crucifige, natychmiast podejrzewam kabałę lub zaślepienie obłądu.“

Maxyma ta stosowana do nienawiści ludzkich, da się jak raz zastosować i do ludzkich miłości...

Jeżeli głoszą o książce z pewną namiętnością: piękna, cudowna, nieporównana. Można być pewnym 99 razy na sto, że to chwilowe złudzenie, które jednakowoż w miarę wartości trwa krócej, lub dłużej, ale zawsze przemija.

Dla tego starałem się ile w siłach było zwracać bacność na przymioty gruntowne, by niedać

VIII

się ołśnić powierzchownemi, które właśnie największe szczęście mają zarabiać na modę.

Nakoniec pamiętałem i o tej przestrodze Goethego: fałszywa to uległość względem publiczności, jeżeli pobudzisz w niej takie pojęcia i uczucia, jakich się jój zachciewa, a nie jakie mieć powinna.

W Czerwcu 1858.

I.

KARTKA Z HISTORII STAROŻYTNEJ I TERAŹNIEJSZOSĆ.

1848.—

Kiedy ze szczytu Tatrów odłamię się kawał skały i runie w rwiący potok, prąd go porywa i tłukąc nim o granitowe brzegi i strącając z progu na próg, pokruszy go w końcu i da mu spoczynek starłszy na drobne kamyczki i piasek. Podobnie dzieje się z państwami. W początku tworzą zbitą bryłę, potem pędzone z rewolucyi w rewolucyę, roztrzaskują się pod niszczącym młotem czasu, aż nareszcie zamienione w pusty i niesforny tłum osobnych woli, muszą ginąć, jeżeli sprzeczne te i rozproszone żywioły nie zdoła utrzymać duchowa lub cieleśna potęga, religia lub absolutyzm.

W początku dziejów, wszystko idzie od

Dzieje hist.

1

Boga. Pierwsze rządy są czysto kapłańskie. Zbiegiem czasów potęga świecka wyswobadza się z opieki kapłańskiej, a lud z opieki potęgi świeckiej. Naprzód wyższa, potem średnia, na koniec najniższa warstwa obywateli domaga się usamowolnienia. Każdy sam sobie prawa układa. Otóż to, co się postępowaniem zowie; ale jest to postęp starości; postęp, w skutek którego starożytne państwa, przekwitwszy, doszły do zupełnego upadku.

Pierwsi przewodnicy w greckim społeczeństwie byli podobnie jak gdzie indziej, kapłani, i natchnieni wieszczowie. Po kapłanach nastąpili królowie, po królach panowała szlachta, a niebawem arystokrację tę, pochłoneły wielkie ruchy ludowe. Najpiękniejsze chwile w życiu Grecyi były wtenczas, gdy, jak Arystoteles powiada, (który bądź co bądź najgruntowniej o rzeczach swego czasu sądzi), gdy ludy, doszedłszy do samopoznania, nie uroniły jeszcze szacunku i czci dla prawa. Wolność wtedy nie przekroczyła granic nakreślonych religią. W Zeusa wierzono jak w bóstwo, mogące wywyższyć i poniżyć śmiertelnika; strzały zaś Apolina prędzej lub później, lecz niechybnie dosięgały winowajcę. Demokracja uzna-

wała w Peryklesie swego monarchę. Sztuka i religijne uczucie podawały sobie rękę. Dramat przedstawiał walkę między boskim a ludzkim pierwiastkiem w człowieku i rzeczach człowieczych. Komedya wyrabiała się na spórności jaka zachodzi między ludzkimi ułomnościami a wysokim przeznaczeniem człowieczem. Wiara i myślenie; pobożność i filozofia, szły równym chodem. Owczas to tak monarcha, tak możny pan, jak gmin, działali w swoim zakresie i na swoim polu.

Lecz do czegoż to prowadzi? Łatwiej pono wykrywać prawa podług których historia się rzadzi, niż jęj taki, lub inny tór wytknąć. I tak, kiedy Arystoteles badał przyczyny powodzeń i nieszczęść narodów, wtedy właśnie absolutna demokracja przychodziła w Grecyi do najzupełniejszej władzy. Państwa, które powstając tylko olbrzymimi wysileniami, zdołały z początkowej bezkształtnej równości wzbić się do szczytów cywilizacyi, znowu widziały się straconemi przez demagogów w tę równość graniczącą z nicością.

Warto jest odczytać uszczypliwą karykaturę, w której Arystofan wystawił ówczesny komunizm grecki w komedyi pod tytułem:

Sejmiki niewieście. Wiadomo, że, gdy Alexander Macedoński Azyę podbił, wiele greckich narodków zniosło u siebie własność i zajęło się równym podziałem ziemi. Rewolucyjny pęd w dziedzinie polityki, odbił się w sztuce i literaturze. Eurypides nastąpił po Sofoklu. Intryga opanowawszy scenę, podobnie jak już o władła życie domowe i publiczne, wygluzowała z umysłów współczucie dla szlachejnych charakterów. Dramat nie był już widowiskiem wielkich czynów, lecz wielkich zgorszeń. W sztuce zaś ubieganie się za przesadną napauszonością, lub za nowostkami drobiazgowymi, i dowcipkami, zadąło cios temu, co piękne i wzniosłe. Na domiar Sofiści zatarli granicę między pojęciem sprawiedliwości a niesprawiedliwości.

„Nazywają mię niesprawiedliwym“ — powiada Sofista *w Obłokach* Arystofanowych — za to, że wynalazł sposób wykręcać się prawu. Ale czyż to nie najdroższy przymiot, gdy z najgorszej sprawy, najlepszą zrobić umiem? Zarzucają mi, że wstydlivość na pośmiech wystawił. Pytam wszakże, kto na wstydlivości zarobił kiedy? Czemże Hyperbolus przyszedł do milionów, jeżeli nie bezczelności? Wstyd-

liwość! z wszystkiego nas obdziera: z kobiet, gier, psotnych figlów i rozpusty. Moja mądrość naucza przeciwnie jak używać życia, a drwiec zreszty. Złapią mię na gorącym uczynku, winę złożę na Jowisza. Wreszcie któż się tak bardzo za sprawiedliwością ujmuje! Jacyż to ludzie są n. p. nasi krasomowcy?

Sprawiedliwy. Łotry.

Niesprawiedliwy. A nasi pisarze!

Sprawiedliwy. Łotry.

Niesprawiedliwy. A demagogi?

Sprawiedliwy. Łotry.

Niesprawiedliwy. A widzowie? przypatrz się kędy jest większość.

Sprawiedliwy.. Poczekaj: — słowo uczciwości, łotry mają większość! Oto tam widzę jednego, mój znajomy; ówdzie drugiego z ogromną brodą.....

Niesprawiedliwy. Jakież teraz masz zdanie?

Sprawiedliwy. Przynaję żeś mię pokonał. O łotry, zdejmcie płaszcz ze mnie; przechodzę do waszego obozu;

Skoro Grecya stanęła na tym stopniu mądrości publicznej, nic jój nie pozostało, jak skonać powoli. Źródło wielkich czynów wyczerpało się w niej równie jak krynica, z któ-

rój czerpie geniusz. Tęj samej chwili stracili Helenowie ojczyznę, w której wierzyć przestali. Najwyraźniejszy dowód mamy wtém, iż liczba greckich najemników walczących w wojsku Daryusza, wyrównywała liczbie greków zostających pod rozkazami Aleksandra W. Od tego czasu dążyła Grecya do coraz większego upadku, póki się w bezsilne, strupieszające ciało, nazwane wschodnio-rzymskiem państwem nie przelała.

Rzym odbył tę samą drogę. Z opieki królów przeszedł w opiekę patrycyuszów, z panowania możnowładców do gminowładztwa. Najpiękniejszy to był okres dla Rzymu, gdy pełna chwały Rzeczpospolita rozpaliała serca narodu. Lecz skoro wszystko cisnęło się gwałtem do usamowolnienia, skoro jeden lud po drugim osiągał rzymskie prawo obywatelstwa, a nawet gdy już głęboka przepaść między niewolnikiem a wolnym codziennie się zwięźlała, wreszcie, gdy szczęście państwa zdawało się wyrównywać jego potędze i ogromowi, pęd czasu porwał i uniósł Bogi, prawa i zasady; wolność zgwałcona przez anarchię, stała się despotyzmu łupem. Prowincye po prowincyach zaczęły się wyludniać, rozczar, smutek

i rozpacz stały się fizyonomią wieku. Znajomość prawa powszechniej rozszerzyła się, ale duch prawa zatarty został. Literaturę uprawiono jeszcze; cóż, kiedy brakło natchnienia. Poezya zesłała na igraszkę słów i płaskich dowcipów, a historia przestała na pisaniu kronik. Mowa sama, ta piękna rzymska mowa, codziennie uroniła coś ze swej majestatycznej powagi; owiało ją jakieś usypiające, niemoc sprawiające tchnienie. Wysokie umysły zgłębiały już, co było przyczyną upadku państwa Rzymskiego — i zaiste, widok tego zbutwiałego świata niemało nastroczał uwag. Jedni przypisywali wszystko polityce, administracji, inni zepsuciu obyczajów, upadkowi ducha wojennego — lecz zdaniem naszym prawdziwa przyczyna leżała głębiej. Rzym runął, bo wiara go opuściła, wiara w ludzi i niebo. Ci historycy najpowierzchowniej rzecz wzięli, którzy upadek Rzymu przypisali bohaterstwu barbarzyńców. Dlaczego hordy zwyciężyły? bo wojska, które przeciw nim wysyłano, składały się po większej części z najemnych barbarzyńców, bo im oporu nigdzie lud nie stawiał, ehyba tu i ówdzie w górach. Olbrzymi ten dąb, który cały widnokrąg konarami swemi

zasłonił, powalił się — rdzeń jego spróchniał, i próchno było pod korą. Najpierwsi barbarzyńcy dziwili się temu, z jak małym trudem połamali gałęzie i pień skruszyli.

Nowożytne społeczeństwo szło dotąd podobną drogą, jak starożytne państwa. Jak tamte, rozwija się pod opieką duchowieństwa. Jak tamte przechodziło przez wieki dzieciństwa i młodzieństwa, a teraz dobija się usamowolnienia tej prerogatywy dojrzałego wieku. Nasamprzód oswoiła się monarchia. Po wojnach krzyżowych, tej trojańskiej wojni nowego świata, demokracja wynurzyła głowę; a w drugim okresie zwanym Reformacją, albo odrodzeniem się sztuk pięknych, zrobiła skok powrotny. Dziś nakoniec doszedłszy do dumnego samopoznania, rozlewa się po świecie, goniąc tu i owdzie za potęgą, lub wiarą, któraby ją mogła w kształt określony przyodziać, a tem samem zapewnić jój trwanie i byt udzielny. Warunków téj żywotności nigdzie nie wyrobiła demokracja. Prawo zyskało na obszerności; zrobiło niezawodny postęp, ale czy duch wszędzie to prawo ożywia? Ludy zbliżyły się ku sobie, lecz czy przez wzajemny pociąg miłości chrześcijańskiej? — Religia uwolniła się

od wielu form średniowiecznych, ale czyż moralna siła wiary trzyma tę ludzkość w klubach? Na każdej nieledwie chorągwi powiewa godło zbawienne dla ludzkości; ale te godła odnoszą się bardziej do jakiejś urojonej, abstrakcyjnej ludzkości, niż do żywotnej, rzeczywistej, mającej swe źródło w państwie, w rodzinie i w religijnym duchu. Słowem, ażaliż w dzisiejszym społeczeństwie tkwi pierwiastek życiodawczy, czy też ukrywa się w jego łonie, jak to widzieliśmy u Greków i Rzymian — demoralizacja zbutwienie i śmierć?

W odpowiedź na to nielada pytanie, wielu znakomitych mężów rozbiegło się na dwie przeciwne strony. Jedni przeniknieni najświętszymi prawami człowieczeństwa, stanęli po stronie ludów rwących się ku usamowolnieniu. Drudzy, przerażeni smutnymi przykładami, czerpanymi z dziejów, a przytem przekonani o niemożności wstrzymania rwącego prądu, zarzucili swoją kotwicę nie w przyszłość, lecz w przeszłość oparciu na prawach dawno nabytych, na utworzonej przez siebie idei, bądź samolubnej, bądź czystej, ożywczej, lub oschłej — idei obowiązku, honoru i moralności. W liczbie tych ostatnich są ludzie wzbudzający wysoki

interes, oni to poddawszy się władzy moralnego przekonania stawili zaporę porywom czasu, sobie i wierze swojej dotrwali do końca, a zwyciężeni, większemi w nieszczęściu, jak w szczęściu być umieli.

Podobne charaktery porównałbym z tamami strzegącemi brzegów strumieni; jeśli nie mogą parcia fali powstrzymać, zasłaniają przynajmniej okoliczne niwy i błonia od niszczącego zalewu. Wszakże działanie to odporne nie rozwiązuje nic jeszcze. — Niż tamy stawiać czy nie lepiej budować statek, któryby pędził razem z falą, i niósł w swém łonie wszystkie zarody i warunki nowój Cywilizacji?

Czy stokroć nielepiej i niezbawienniej iść z duchem i potrzebami wieku we wszystkim, co do poprawy warunków bytu i organizacji społecznej, co do korzystania z darów jakie opatrność wydzieliła każdemu krajowi? — Ustępstwa sprawiedliwe nigdy nie narażają na szwank narodów — byle ustępstwa te nie przekraczały granic wielkich, niewzruszonych podstaw społecznych, jak religia i prawo własności..... Te dwa obrazki ze świata Greckiego i Rzymskiego, które postawiłem na wstępie, pokazały początek, wzrost i upadek mo-

carstw pogańskich — Przestroga ta, o tyle tylko do nowożytnych czasów stosować się może, o ileby dzisiejsze zwulkanizowane społeczeństwo, zachciało wyłamać się z pod prawd i obowiązków religii, a zastąpić takowe nowém bożyszczem ludzkości, lub jaką inną filozoficzno-polityczną mżonką. Sądzę jednakże, że dzisiejsze zachcenia socyalistów, i czerwonych we wszystkich odcieniach, są raczej ostatnim paroxyzmem konającej rowolucyi, niż brzaskiem zorzy, któraby miała zwiastować jakiś wielki dzień dla świata. Zasiew pustego ziarna nie może wydać żadnego plonu. Prawa człowieka i obywatela, bez powinności człowieka i obywatela, czemże są, jeżeli nie pustem ziarnem?—

Strzeżmy się tego siewu, a niewzruszenie stójmy przy odwiecznych zasadach, na których Bóg osadził społeczeństwo. Piśmiennictwo ojczyście ma tu wiele do spełnienia, i nielada potrzebuje czujności, żeby odróżnić postępek wieku, od szaleństwa chwili.—

II.

FORMUŁKI SOCYALNE I STARE CNOTY I OBYCZAJE.

Do***

Jakże często w rozmowach o rzeczach literackich, zdarzyło nam się ubolewać nad nagłym cofaniem się naszych zastępów pisarskich na polu literatury; tyś przewidywał zupełny upadek; — nie przeczyłem ci, bo to było widocznem, a nawet rażącym, mianowicie gdy od lat kilku umysły porwane urządzeniami społeczności i politycznemi teoryami, poświęciły niejako twórczą stronę ducha rozumowaniom wystarczającym na dzień jeden. Byliśmy jednakże pewni, że ten rozbrat z ideałem, że ta niemoc duchowa nie opakuje dalszych braci Litwy i Ukrainy; tam bowiem w ścisłych korbach

trzymające się społeczeństwo mogło najgłębiej wyrabiać swego ducha, nies zukaając zaklęć i formuł zdeskredytowanych już gdzie indziej, a tem samém stworzyć swoje własne z rodzimych soków, a wiążąc wiekowe podania z nowemi potrzeby naszemi przykładami okupione doświadczenie, z zdrowym i prostym poglądem, stać się kreacyjném w moc intuicji i wiary, w moc wreszcie tych potrażeń i skazówek, jakie powiew obcej cywilizacji, zanosił w jój stepy i puszcze.

To odosobnienie się, a ztąd i ściślejsze skupienie się wewnętrzne niż u nas, rwanych wszystkimi prądami zachodu, wiele mogło wpływać na czerstwość, świeżość, oryginalną rzutkość utworów, a przytem na wyrobienie tych żywiołów, tych pojęć, które są jakby cymmentem każdej społeczności, i objawem swojej kultury.

Kilku zdatnych pisarzy zrozumiało tę drogę, i oddać im słuszość należy, że chociaż nie zawsze samodzielnie występowali, chociaż uczucia i wyobrażenia szerzone przez nich nie zawsze strzelały z głębi rodzimego ducha, była w tém raczej wina ukształcenia ich, niż złej woli, niekompletnych zdolności, niż krzy-

wój zasady. Biorąc cały okres dwudziestoletniej literatury, wywołanej, stworzonej przez nich, trzeba oddać im słusność, że zajrzeli w najskrytsze tajniki narodowej duszy, w życie dzisiejsze, publiczne, domowe, a ożywiając je uczuciem religijnej wiary, utworom swoim nadali piękną harmonię, jedność, popularność. Wszystko to wiało z ich romansów, poematów, rysów dziejowych filozoficznych i estetycznych poglądów, które stworzyli w poczuciu się do obywatelskiego obowiązku nakazującego im, aby strzegli świętości, aby dla błędnych światełek nie gasili przyrodzonych płomieni; a za mniemane postępy nie mieniali najdroższych skarbów, które nam Opatrzność zostawiła, to jest: wiary ojców i węzła rodziny.

Dotąd mężowie ci, stali na straży téj arki, ścierając się tu ówdzie z niepoczesną drużyną przeciwników, spragnionych nowatorów, którym w głowie nie mogło się pomieścić, że bez zwykłych formuł postępu zachodniego, można przyjść u siebie do ulepszeń i kultury. Zdawało się, że te słabe głosy przeciwnej opozycji nie poparte talentem ani siłą przekonań, marnie rozwieją się i zostawią pole tym, co zdrowem zasiewali je ziarnem. Tymczasem,

od niejakej chwili, od dwóch lub trzech lat, stał się tam hałas wielki, podobien owej walce romantyków z klasykami, z tą różnicą, że wtedy były wołania o wyzwolenie się z martwych form arystotelicznych, o swobodę myśli, o prawdę poetyczną, a teraz wszystko wytoczyło się na pole walki społecznej. Dla tych panów kościół — już przestarzały i niewystarczający; węzły rodziny za ciasne; hierarchia towarzyska — nie dowytrzymania. Ztąd wielka krucyata przeciw dawniejszym autorom, stojącym na czele piśmiennictwa; negacya zupełna, polemika napastnicza, nieposiłkowana wszakże utworami coby wyparły z areny dawniejszy zastęp utworów; co już samo dowodzi, że w obozie ich gniew, nie siła; przeczenie a nie poświęcenie się; naśladowanie nie intuicya, stan gorączkowy a nie głębokość przekonań i spokój wiary.

Zajrzyj tylko do różnych pism zbiorowych, do drobnych broszur, — o, bo i tam zaczynają już cieszyć się broszurami — a przekonasz się nie na jednym miejscu, jak tam ciskają się na dawniejszą powagę, odzierając je z zasług, zapominając nawet, że im winni przechowanie mowy ojców, obudzenie pojęć o naszej prze-

szłości, której niepodobna się wyprzeć dla filozoficznych błyskotek. Gdyby przedmiotem sporu tego były estetyczne względy, uchybienia w dziedzinie poszukiwań prawd historycznych i moralnych, niktby im nie miał za złe; owszem dowodziłoby to silnego zajęcia się literaturą ojczystą; — lecz gdzietam! kościół ich mierzi we wszystkich jego objawach, czy to w społeczeństwie czy w literaturze. Wykonywanie form religijnych, jest u nich hipokryzyą, jakby zapomnieli, że nawet sama forma religijna, więcej wartości ma i znaczenia, niż najwymowniejsze powątpiewanie lub przeczenie; że przykład wyrabia obyczaje, zgorszenie niszczy je, a naród bez obyczaju i zwyczaju, przestaje być narodem.

Ale tym panom ani śni się o czemsiś podobnem. Życie patryarchalne w stosunkach rodziny i podwładnych staje się im nieznośne; zaślepienie posuwają do tego stopnia, że radziłyby społeczność rozbić na atomy, aby człowiek człowiekowi nie miał co innego powiedzieć, tylko: *ty mnie nic i ja tobie nic*.

Gotówbys pomówić mię o przesadę; nie-przesadzam bynajmniej — a choć złe nie rozwinęło się jeszcze do ostatnich kresów, wina jest w

niemożności a nie w braku chęci ; owszem, mogą ci zaręczyć że się znajdują na téj saméj drodze, po której toczy się dziś socjalizm zachodu. Trzeba ci wiedzieć przytém, że ci panowie powszechną cześć oddają bożyszczu zwanemu: *postęp*.

Wyraz ten dawniej nieznany, chociaż były ogromne postępy i w literaturze i sztukach i odkryciach, dziś służy najwięcej za płaszczyk do zniszczenia tego co jest, choćby najzbawieniejsze i najpocziwsze było ; i tak : kościół niepostępowy, bo się trzyma dogmatu ; społeczeństwo niepostępowe, bo ściska węzeł rodziny ; polityka nie postępową, bo nie popiera w szechwładztwa ludu ; literatura nie postępową, bo wpaja uszanowanie religii, władzy, rodziny, form moralnych i obyczajowych. Zgoła, w imię postępu, wolno jest wyzuć się z starych cnót, z starej pobożności, z domowego pożycia, ze wszystkiego ; i dopiero dobrze ma być na świecie, gdy wewnętrzną i zewnętrzną nędzotę pokryjesz jaką formułą filozoficzną, wystarczającą najdłużej na jedną dobę.

Proszę cię, przeczytaj *Cudowny kapelus* dzieło jakiejś postępowej pani, a zobaczysz tam cały świat litewski, autorka jak w *Diabie kulawym* zdejmie dachy i pokaże ci kilkadziesiąt

domów — cóż zobaczysz? oto kilkadziesiąt obrazów zbrodni, podłości, hipokryzyi, oszustwa, zdrady, cudzołóstwa, a jeden dom tylko p. Postępskich wzorowie moralny. Przyznam ci się, że nigdy nie mogłem pojąć użytku pism tego rodzaju. Jedną znam tylko książkę o *Nasładowaniu Chrystusa*, która stawiając wzór niebiańskiej doskonałości, przymierza doń nasze wady i błędy, lecz zarazem podaje pokorę i łaskę boską jako jedyny środek wydzwignienia się z upadku; kto ją czyta dla zbudowania, czuje całą swą nędzę, ale nie traci nadziei, żeby się nie mógł podnieść. Przeciwnie, tegoczesne płody nie mają poprawy na celu; bo chcąc kogoś poprawić, potrzeba pałać wielką miłością; a miłość przecie nie obdziera ze wszystkiego, ani tak człowieka przywala ciężarem jego ułomności, że się już i dzwignąć nie może. Miałem tu żywy przykład na naszym mieście; *listy o Krakowie* jakiegoś Pęcławskiego czy poprawiły kogo? przeciwnie, publiczność opluta przyjęła obrazę z oburzeniem i szyderstwem wzgardy dla jakiegoś tam pyszałka, który się zabawiał w anioła doskonałości, aby wygodniej mógł pokąsać społeczność, która zachowała pewne formy towarzyskie.

Uważ tylko, a przekonasz się, że ta szkoła wszędy ma swoich zwolenników.

Jeżeli jedność wyobrażeń i uczuć; jeden i ten sam obyczaj, jedna miłość ku dawnym tradycjom; jedna wiara przekazana przez ojców, stanowią tak zwany język ogólny, trzymający w spójni to, co się rozprzęgło — pytam, czego spodziewać się, gdy szal nowatorów poniszczy te znamiona duchowe, zaprowadzając miasto pobożności zwątpienie, miasto obyczaju modę lub rażący nieobyczaj, miasto tradycyj tak drogich i świętych, formułki Proudhonowskie lub Heglowskie, zgoła chaos wyobrażeń po którym jak mówi Staudenmajer: „musi nastąpić chaos życia, bo pierwszy jest zasada, a drugi następstwem żelaznej konieczności“. Umysły lekkie, dobroduszne, które albo same nie mają, albo nie umieją dopatrzeć zasady, biorą to sobie za niewinne wybryki młodzieńczych szalów; tymczasem jaka taka spójnia rozprzęga się, nieporozumienie wytyka obozy; ja wiemy przecież, że nawet państwa jednolite słabiej i upadają targane stronnictwami.

Żebyś mię nie pomówił, że sądzę z pozor-nych uprzedzeń, przytoczę ci dwie broszury akiegoś pseudonima p. Jastrzębczyka; z nich

możesz powziąć miarę co się w tych głowach święci.

W jednej z broszur usiłuje pokazać nam obraz towarzystwa wiejskiego na Litwie; i zgóry zaczyna: „pismo, które obecnie przedsięwzięję, „ma być organem *czystych zasad chrześcijańskich*, których wyznawcą i mnie Bóg zostać dopuścił. Usiłowaniem pisma tego: *upowszechnić te zasady* w ogół czytelników naszych i „gotując żniwo, przeniknąć niemi wszystkie „objawy dzisiejszego moralnego życia współ- „ziomków.“

Czy podobna z większą powagą coś tak niedorzecznego powiedzieć! Czytając te wyrazy, zdawałoby się, że p. Jastrzębczyk jest najpierwszym wynalazcą zasady chrześcijańskiej, że na Litwie niema już ani jednego księdza proboszcza, któryby uczył katechizmu i te zasady upowszechniał. Ależ trzeba ten język zrozumieć; nie myśl żeby naszemu apostołowi chodziło o rozszerzenie chwały boskiej, o duszne zbawienie bliźnich; bo o tém mowy w jego chrześcijaństwie niema; on tylko tę białą szatę przyoblekł, aby mógł ułomności biednych Litwinów tém snadniej nicować: jakoż zaraz pyta jakie główne ich cechy? „oto prostota,

życie wyłącznie sercowe, i straszny brak życia umysłowego.“ Wprawdzie nie odmawia zalet tym, u których serce na to, by było czułem; lecz zaraz dodaje: „cóż warte uczucie przy ciemnocie umysłowej. Mogąż uczucia być użytecznymi ludzkości?“ — Ile dorozumieć się mogą, owa uczuciowość, której tak przycina, mieści w sobie ów nieoceniony skarb miłości chrześcijańskiej; kto go posiada bezpiecznie obejść się może bez idei ludzkości tak zachwalonej przez autora. Wreszcie gdyby przyszło ważyć na szali pożytek uczuć, a mądrość do jakiej zmierza p. Jastrzębczyk, przewaga byłaby zawsze na stronie pierwszych, jak tego nięraz mieliśmy przykład na filantropach i propagatorach idei ludzkości, którzy szumne słowa mieli w ustach, a serca kamienne.

Tenże sam pan, lecz w innej broszurce, uderza na „*życie familijne*, ten naturalny wpływ uczuciowości“ Zrazu unosi się nad pięknnością obrazu i powiada: „Rzadko strony, „gdzieby tak silném tętnem grało życie familijne, jak na Litwie; jednakże dodaje co prędzej: „na nieszczęście, ta wyłączność życia familijnego, stała się uszczerbkiem życiu społecne-

„mu, publicznemu; nigdzie też tak nie czuje się „brak życia społecznego dotkliwie jak u nas...”

Otóż mamy rozwiązanie zagadki.

Jakiego to życia społecznego i publicznego pragnie autor broszury? — łatwo odgadnąć. Kiedy ludzie głęboko myślący i czujący na zachodzie załamują ręce, wołając w rozpacz: niema rodziny! niema i społeczeństwa! jego martwią te węzły patryarchalne na Litwie; z chęciąby je oddał za posiadanie jakiego klubu lub mityngu, gdzieby język plótł co ślina przyniesie. Wreszcie, każdy z kroplą zdrowego rozsądku, wzruszy tylko ramionami, i zapyta, czy uczuciowość mogła przynieść jaki uszczerbek życiu publicznemu na Litwie, kiedy go tam nie było, i być nie może?

Te i tym podobne argumenta — wyborne, ażeby zbłąkać niedoświadczonych i pragnących nowostek, wyborne, aby wzbudzić politowanie znających się na wartości świętych węzłów społecznych — napełniają parę broszur litewskiego pamphleciisty, któremu zapewne przysniło się, że może sięgnąć po wieniec takiego Pawła Ludwika Courier, lub Cormenina. Lecz gdy wieniec wysoko a głupstwo nisko, schwycił więc ostatnie. Czy-

tając miejsca przytoczone, powiesz może: szkoda zwracać na to uwagi, bo niedorzeczność sama rozbije się o zdrowy rozsądek narodu. Rzeczywiście, i jabym tak sądził, gdybym silniej w ten zdrowy rozsądek wierzył; lecz znając jego ułomność, a raczej symptomata objawiające się pod różnemi kształty, dążności mniej więcej jasno odrysowane, — nie bez przyczyny uderzyłem w trwogę. Zrujnowani na mieniu i duchu, mogliżbyśmy z szatańskim uśmiechem Mefistofela patrzeć jak się drudzy rujnują, i jeszcze bodźca dodawać? ale, jeżeli rola taka dobrzeby się wydała w komedyi lub bajrońskim poemacie, w życiu chrześcian i braci, zyskałaby nazwisko spodlenia.

Nie potrzebuję ci powtarzać, bo wiesz sam najlepiej o tém, że zwrot dzisiejszych wyobrażeń i usiłowań, ma tylko na celu społeczność, a właściwie przekształcenie społeczeństwa z gruntu. Nikt z zdrowym rozumem nie jest od tego, aby stan moralny społeczeństwa nie potrzebował poprawy i doskonalenia się; ale z drugiej strony, nikt (z odrobiną zastanowienia) nie zgodzi się na to, aby porządek społeczny, który się od tylu wieków sformował na zasadzie wyobrażeń chrześciańskich, który był nie-

jako wypływem woli boskiej, miał co chwila ulegać zachceniom pierwszego lepszego półgłówka, lub zarozumiałego filozofa? Ci panowie tém są dziś niebezpieczniejsi, że ustawnie wyjeżdżają z chrześcijaństwem; ale tak nieokreślonym, tak obranem z dogmatu, tak dalekiem od ścisłych pojęć o Bogu, o przeznaczeniu człowieka, o łasce, o pokorze, o pokucie, o życiu przyszłym, przechowujących się w naszym kościele, że owa religijność ich niezmiernie jest podejrzana, i niczém inném zwać się nie może, tylko sztandarem stronnictwa, lub hasłem tego ducha przeczenia, który rozwiązuje i rozprasza wszystko, cokolwiek zlało się i wyrosło na boskiej myśli. Do głębi wzięwszy, jest to bunt przeciw Twórcy, który urządził społeczeństwo; pycha ludzka doszła do tej miary, że nie mogąc ścierpieć i tej nawet powagi, kusi się o współzawodnictwo. Dość tu przypomnieć sobie wszystkie pomysły socialistów francuzkich i niemieckich; jest też, aby jedna rzecz, coby się pod niszczącą siekierą ich rozumkowań ostała? Nasz litewski broszurowy marzyciel, z całą lekkością niedowarzonej głowy, rad puszcza się w ich ślady, i z najzimniejszą krwią, jakby to szło o fraszkę, o krój fraka,

lub kolor rękawiczek, rzuca w uszy poczciwym Litwinom podobne *dictum acerbum*: „Na Litwie „życie prywatne, jest w znacznym stopniu pa- „tryarchalném; synowie idą w ślady ojców, „młodzież we wszelkich okolicznościach oddaje „pierwszeństwo i przewództwo starszym. Ztąd „niezmierny wpływ ostatnich na rozwinięcie „się moralne młodszego pokolenia, i arbitralna „przewaga we wszystkich stosunkach towarzy- „skich, w życiu materyalném i społeczném, nad „młodszymi, wyższymi nierównie od nich w du- „chowém rozwinięciu.“ — Jakże ci się zdaje ten ustęp? Powaga ojców, matek, posłuszeństwo dzieci, pokora ich i miłość, to takie drobnostki! to gwałt zadany duchom gorącym, niemogącym znieść tego jarzma! Wyzwolenia im potrzeba! co rychlejszego zastosowania maxymy J. J. Russa, który powiada: „że dziecię dopóty ma obowiązki względem rodziców, dopóki sobie same rady dać nie może — a potem ani obowiązku ani wdzięczności.“

Filozof genewski w nienawiści swej do ludzi, brał wzory ze zwierząt i dzikich; a dzieci własne do domu podrzutków oddawał. Pokazuje się, że i p. Jastrzębczyk jako mieszkaniec

puszcz litewskich musiał się na coś podobnego zapatrzeć, kiedy go tak ciśnie węzeł rodziny:

Otóż zebrałem z tych różnych pojavów umysłowych wybitniejsze rysy; z nich przekonasz się, że bankructwo nasze, aż tam uciekło, frymarcząc resztkami nadwerężonej fortuny.

Przewiduję nawet, że może odgrywać jeszcze niepoślednią rolę, korzystając z dobroduszości, i mając poparcie w tych wyobrażeniach, wiemy przecież, że komunizm nie jest rośliną przyfiesioną zdaleka, że dziwne socyalne wyobrażenia, miewają ścisły stosunek z najróżnorodniejszymi sektami religijnymi; dodajmy do tego niejaki zwątpienie w cele, a nie zdziwimy się, dlaczego młodź goniąca zawsze za polem działalności, skierowała swoje zapędy ku stronie tak zgubnej, tak obranej z wszelkiej rozumnej podstawy, choć na pozór hołdującej rozumowi.

Najgorsza to, że podobne brednie jawią się tam, i są w dobrej wierze czytane jak najniewinniejsza powiastka — a nikt nawet poważnego, ojcowskiego nie podnosi głosu, aby je

skarcić jak przystoi. Pokazuje się, że nawet ogromne głupstwo, byle wyskoczyło w nowej formie, tolerowane bywa, i używa wziętości między prostodusznymi, dla których drukowana książka zawsze miewa urok wyroczni.

III.

Autorowie

KSIEGARZ — PUBLICZNOŚĆ.

Tak dawniejsi, jak nowsi pisarze nasi, w ogóle bardzo rzadko i to w sposób niedokładny, że tak powiem, mimochodem, opowiadali zazwyczaj o swoim zawodzie autorskim. Wszystko inne, co ich otaczało, na co patrzyli, wchodziło więcej do składu ich wspomnień, niż drobiazgowo a tak interesujące szczegóły, o łamaniu się z trudnościami naukowymi, o pierwszych wystąpieniach przed światem, o kłopotach z wydawnictwem i o losach jakie przechodziły ich książki.

Mamy przecież bardzo szacowne pamiętniki Karpińskiego, Niemcewicza, Brodzińskiego, z Tańskich Hofmanowej, ale z nich nader mało można się dowiedzieć o kolejach zawodu autorskiego, wyjąwszy to, co Brodziński o swoim dzieciństwie napisał, jak żyjąc z pastuchami, z jednej strony przysłuchiwał się ich piosnkom i gadkom, z drugiej sylabizował stare szpargały znalezione na strychu, jak w szkołach ponosił kary za czytanie polskich książek, jak później gdy już był professorem, doznawał lekceważenia rozpraw swoich o literaturze, przez jakiegoś nadętego literackiego dostojnika. Tańska w kilku miejscach skreśliła swój piśmienny zawód, mianowicie co do powodzeń pierwszych prac edukacyjnych, jak: Pamiątka po dobrej matce, lub Rozrywki dla dzieci. Wiadać tu już pewne układy z księgarzami, plany wydawnictw, zabiegi i zawody. Życie literackie przybierać zaczyna ściślejszą formę, znaczyć samo przez się, wystarczać na utrzymanie własnej exystencji; — dotąd bowiem autor będący albo ziemianinem, rolnikiem, albo żołnierzem, urzędnikiem, duchownym, uważał zawód pisarski za dodatek tylko do swojej funkcji obowiązkowej.

Autorstwo nie dawało chleba, było nawet synonimem ubóstwa. Ileż z tego powodu pociesznych nie napisano wierszy zaczawszy od Satyry Naruszewicza: *Chudy literat!* Ile nie nażartowano sobie z Mołskiego, który za czasów Księstwa Warszawskiego chcąc się utrzymać w niepodległym stanie literata, nie mógł dopiąć tego inaczej tylko przez zbieranie prenumeraty na Eneidę niewytłumaczoną nigdy, lub pisanie Od i Hymnów na wszystkie okoliczności najpowszedniejsze, jak imieniny, chrzciny, wesela, pogrzeby, i t. d.

Niezawisłość talentu i nauki była niepodobieństwem w dawniejszych stosunkach, mianowicie, kiedy literat nie miał majątku w ziemi, jak Jan z Czarnolesia. W urzędzie, a w dworskiej służbie u magnata, nie było wprawdzie trosków o chleb powszedni, ale za to odrywał obowiązek, ciężły pewne względy często upokarzające i twarde. Dopiero za Stanisławowskich czasów zaczyna się na tle społeczeństwa niewyraźnemi jeszcze rysami odrysowywać literat, jako osobne powołanie. Już głos pisarzy więcej coś waży w opinii, bo się wprost zwraca do społeczeństwa, portretuje, nicuje, szydzi, stawia pod pręgierz. Żywotniejsi, stają się po-

pularniejszymi. Księgarze robią nakłady, za które czasem płacą — ale literat na to nie liczy, bo jeszcze rad nierad, musi się trzymać klamki dworskiej. Najniepodleglejszy z nich Karpiński ucieka na wieś, a mimo tego ciągle narzeka i żebrze *à conto* swojej Muzy.

System protekcyjonalny w literaturze, prowadził najczęściej do diletantyzmu, a nie do zupełnego i szczerego powołania. Z upadkiem wielkich fortun i dworów, z zamknięciem przystępu do urzędów publicznych, zawód literata zaczął przybierać wyraźniejszy charakter. Opuszczonemu od opiekunów nie pozostało jak na sobie samym polegać, ufać w siłach własnych, uzbroić się w cierpliwość, przygotować na cierpienie, i z nikim nie mieć do czynienia tylko, że tak powiem: z gromadą. Do niej też zaczęto odzywać się i robić ją swoim sędzią i protektorem. Opinia roztrzygała, entuzjazm czytelników wieńczył utwory przypadające do smaku, do serca ogółu, — a wynagradzał księgarz, który przerabiając entuzjazm na talary, przekonywać się zaczął, że można coś ryzykować za rękopisma. Dotąd bowiem na druk dawał albo możny protektor, albo też sam autor zdobywał się na nakład,

rozpisawszy wprzód prenumeratę, którą trudnili się łaskawi protektorowie płci obojędz, wtykając bilety sposobem przymusowym, podobnie jak dziś gwałcona bywa kieszeń składkami na cele dobroczynne.

Najznakomitsze twory w naszej literaturze nie przyniosły swoim twórcom ani grosza zysku, choć może na niejednym budowano całą nadzieję bytu.

Malczewski i Marya — nędza i śmierć — to jeden także epizod z życia literata, przywiązanego do nagrody za swój twór może eksystencyę swoją, a tymczasem nie wiem czy księgarz gotów był dać jakiegokolwiek honorarium za poemat, który doczekał się największej liczby wydań ze wszystkich utworów literatury polskiej.

Niedawne to czasy, bo sięgające po rok 1830. Był już przełom widoczny do wyzwolenia się autora, i polegania na własnych siłach — ale wprzód było przejście z jednego stanu w drugi; a wiemy, że wszystkie przejścia bywają najdotkliwsze. W tém to właśnie przejściu prawdziwe poetyczne klejnoty literatury naszej wyszły na widok; nie uposażone niczém, prócz

swoją pięknoscią wzbudzającą entuzjazm, dawały sławę i wziętość, lecz żadnych materialnych twórcom swoim nie przynosiły korzyści. Tylko księgarze robili majątki.

Dopiero, można powiedzieć, od lat trzydziestu, gdy naród zaczął się zapalać do swoich pisarzy, a zakres czytelników rozszerzać się w społeczeństwie, znaleźli się nakładcy, co poznawszy, że myśl tak dobrze płaci, jak inny przedmiot handlu, rzucili się do zakupywania rękopisów. Odtąd coraz więcej układały się stosunki między autorami a księgarzami. Własność pracy umysłowej przyszła do uznania i uszanowania. Można jednak powiedzieć, że szczególnie współzawodnictwo pism czasowych w poznańskim naprzód, potem w Warszawie, nadało większą wartość płodom autorskim, i zmusiło niejako nakładcę księgarza, do podniesienia płacy za rękopisma do tój samėj wysokości w jakiej redakcyje płaciły za artykuły.

Wspólne usiłowania autora i księgarza doprowadziło do dzisiejszych rezultatów. Pierwszy usiłował zainteresować największą liczbę czytających, a nawet stworzyć sobie czytelników; drugi wszędzie rozrzucał własne nakłady, ogła-

szal w pismach i stał się najczynniejszym ajentem w rozszerzeniu słowa. Dawniej książka nosząca na sobie tylko koszt druku i papieru stoma exemplarzami wracała nakład — reszta, czyli czterysta przynosiło czysty zysk kapiący przez lata który jednakże najczęściej nie dochodził autora. Dziś krom nakładu na druk i papier ozdobniejszy i lepszy, przybywa honorarium. Wydawca więc, zmuszony jest być najmniej potrójną liczbę, aby nie tylko koszta wyłożone z góry, mogły się wrócić, ale i zysk prędko — bo z pomnożonym pocztom autorów, cisną się coraz nowe nakłady i rodzą wydawnicze projekta, a współzawodnictwo kolegów do śmielszych przedsięwzięć pobudza.

Znalazły się głosy łajzące księgarzom naszym, że wyzyskiwują autorów, że sami zbierają majątki, a piszący zawsze chodzą w ubóstwie; że oni przemysłowość wprowadzili do naszej literatury, i innych jeszcze zarzutów co niemiara. Nieprzeczę, nadużycia być mogą jak zwykle pomiędzy ludźmi; wszelako zastanowiwszy się nad znaczeniem księgarza, tego pośrednika między autorem a publicznością, nie należy go zbijać z terminu, okrywać wzgardą jak pierwszego lepszego lichwiarza

lub wydrwigrosza, ale owszem podnosić go i wpływać nań, aby miał sobie za obowiązek i zaszczyt nie samemi komanditowemi szpargałami, składanemi przez zostających na jego żołdzie pismaków handel swój prowadzić; ale przeciwnie brać w literaturze udział znawcy, który umie i odkryć i zachęcić talent, nie kiedy myśl podać szczęśliwą, a nie kiedy i przyjść z materialną pomocą, gdy brak jój pogrąża w rozpacz wydziedziczonego z dóbr ziemskich wychowańca muzy...

Na kramarstwo księgarskie starej daty, kisańce bezużytecznie, trafikujące najniedorzeczniejszymi ramotami senników, kabał, kucharek, arkanów lekarskich i tym podobnych bredni zawsze pokupnych dopóki ludzkiego głupstwa — na tę aptekę ciemnoty, zawsze godziwa rzecz powstawać; bo to niema żadnego związku z pismienictwem narodu, owszem zawadza mu i szkodzi, jak chwasty i łopuchy kwiatom. Tacy tłumaczą się tém, że i na te artykuły jest pokup, może największy. Nieprzeczę; lecz gdy podobne artykuły wchodzi w kategorię czysto-handlową — a ja mówię o stosunku księgarza z literaturą narodu, podnoszę go do jej wysokości, przeto księgarz

ski zawód w stanowisku najniższém, niemoże wzbudzać wielkiego współczucia, chyba o tyle, że jest takim środkiem zarobkowania jak wszelki inny handel.

Przypuściwszy, żebyśmy dziś wrócili do tego rodzaju księgarstwa jak zwyż opisane, w cóżby się obrócił cały ruch piśmienny, jaki byłby los piszących? — Każdy łatwo sobie wyobrazi wszystkie smutne następstwa dla ruchu piśmiennego, a niemniej i dla autorów, którzy alboby szukali innego środka utrzymania się, (co niezawsze byłoby ze stratą dla literatury) albo też musieli by kłopotać się nietylko wydrukowaniem, ale i rozprzedażą swych dzieł.

Dla tegom wytknął te przypadki, ażeby pokazać, w jakim położeniu znajdowały się nieraz najznakomitsze u nas głowy i talenta, pozbawione z jednej strony niepodległego bytu, a z drugiej nieznajdujące stósownego wynagrodzenia pracy swój, aby takowa zapewniła im utrzymanie.

Kto wie jak wysoką wartość przywiązuje pisarz i artysta do niezawisłości osobistej, która mu daje swobodę wewnętrzną, ten pojmuje, że stosunek jego z księgarzem opierający się

głównie na zamianie owocu pracy za pieniądź, jest najznosijszym stosunkiem ze wszystkich przez jakie przechodził rodzaj autorów zacząwszy od Homera, śpiewającego u wrót za jałmużnę lub kawał chleba, aż do ostatniego z nadwornych rymotwórców piszącego Ode na cześć suczki faworytki, ażeby zwrócić oko pańskie na stan swej smutnej garderoby...

Może mi kto bardzo słuszną zrobić uwagę, że dawniejszy stan autorów, chociaż był nieprzyjazny swobodzie ducha, przez zawisłość wszelkiego rodzaju, wszelako większe arcydzieła powstały w tych niedobrych starych czasach, między innemi w Grecyi i Rzymie. — Lecz tu należy pamiętać, że w Grecyi stosunek poetów, mowców lub filozofów, był bezpośredni do ludu, który zasypywał ich wiencami lub wotował nagrody i pomniki; w Rzymie zaś autor całkiem stał pod protekcją możnych mecenasów, którzy, sami zaentuzjazmowani dla sztuk pięknych, zostawili mu wszelką wolność byle czasami rzucił szczyptę kadzidła, tchnącego raczej wonią wdzięczności, niż dymkiem pochlebstwa. O średnich wiekach niema co mówić; zawód autorski wyłącznie wtedy należał do duchowieństwa zatrzymują-

cego przy sobie wyższą gałęź jak filozofię, wymowę, historję — światowemu śpiewakowi zaledwie została swoboda klecić ulotne piosenki. Dla tego też pomiędzy duchowieństwem posiadającym wyłączną władzę nad duszami, a feudalnością ciemną i szablistą, niema prawie miejsca na osobną klasę niezawisłych literatów.

Z wynalezieniem druku po raz pierwszy zaczyna się odrysowywać figura literata, w charakterze osobnej profesyi. Jeniusz odżywionej starożytności, wstępuje w głowy uczonych i poetów, i rodzi w nich wyobrażenie, że są współczesnymi wielkich mężów Grecyi i Rzymu. Przez to zbratanie się z Homerem, Arystotelesem, Platonem, Wirgilem, Horacym, i literat uczuł się podniesionym w społeczeństwie.

Rzecz godna osobliwej uwagi, że u nas zaraz na wstępie 16go wieku, widzimy dwóch najprzedniejszych, bo najpierwszych po polsku piszących literatów występujących niezawisłe. Duchem reformy owiany Réj, nie tęgi przytém grek i łacinnik, stara się wnikać w obecność, na którą patrzy, rozbiera stan społeczeństwa, ogląda z bliska, portretuje, słowem robi to, co

się dziś robi... Zjawisko niesłychane, zwłaszcza w epoce, kiedy wszyscy czciciele klasycyzmu, oczy mieli tylko dla Greków i Rzymian, których nierozumieli; kiedy czytano wiele, pisano co niemiara, a widziano mało, myślano jeszcze mniej.

Jan z Czarnolasu szlachcic ziemianin, zażyły z literatami Włoch i Francji, czciciel i wcale nie ślepy naśladowca starożytności pogańskiej, postać to zupełnie nowożytna, niepodległa, lecz jakby przechowująca tradycją średniowieczną; od kościoła bierze dochody i tytuł probostwa poznańskiego.

Po nich w następnych dwóch wiekach, duchowienstwo najwięcej tworzy ciało literackie. Świeccy pisarze wiszą po dworach — w ogóle literatura bywa tylko dodatkiem do innego powołania, lub też zabawką rymotwórczą.

Wpływ piszących na otaczające społeczeństwo, tworzy się dopiero z końcem osiemnastego wieku — literat zaczyna być sprawcą ruchu w umysłach, kieruje opinią, a opinia sprawami publicznymi. Rząd dusz zaczyna zupełnie pod ich panowanie przechodzić... Ostatnie reformy Rzeczypospolitej, przez kogóż przygotowane

zostały, jeżeli nie przez Krasickiego, Zabłockiego, Węgierskiego? Oni to dla nowej ustawy wyrównali ścieżki w opinii ogółu, z którym zaczęli się wprost znosić. Rzeczywistości już nie chcieli poświęcić dla wszystkich tajemnic sztuki klasycznej, chociaż formy zatrzymali jeszcze bo inaczej niezwróciliby na siebie uwagi.

Z tego powodu romantyzm nasz nic nie rozbił, tylko zużył formę, duch bowiem od pół wieku z górą siedział w niej inny.

Literat przez zbliżenie się do społeczeństwa, przez oddanie się na jego usługi, wyzwolił się zupełnie od uległości, nie moralnemu prawu, bo to zawsze obowiązuje, ale od moralnych przymusów i ograniczeń. Wpływy korporacyjne nie ciężą na nim, równie jak opieka możnych i dworów — z tą i położenie jego materialne jak powiedziałem na początku, zmieniło się zupełnie. Będąc zawisłym od publiczności, od niej przyjmuje nagrodę za swoją pracę. Co dawniej możny pan robił sam jeden, to dziś składkowym sposobem robią tysiące.

Lecz zachodzi pytanie, azali ten nowy opiekun może być sędzią tworców sztuki tak wytwornym, jak niegdyś Perykles, Mecenas, Leon X., Medyceusze, Ludwik XIV., Stani-

sław August, Czartoryscy i t. d. Pokazuje się, że jest nim w praktyce; chociaż jak wiemy, publiczność składa się z najróżnorodniejszych elementów; mieszanina złego i dobrego, rozumu i głupstwa, zdrowego widzenia i przesądu jednakowoż w danej chwili niesprzeciwia się sobie, bo jedno drugiem się wypełnia, i rozsądne zdanie zostaje prawie zawsze na wierzchu

Publiczność bez wątpienia bywa bardzo trafnym sędzią tworów umysłowych, znawcą oględnym i powszechnym. Wszystkie umiejętności i sztuki są przystępne jej pojęciu; mie-wa niekiedy swoich ulubieńców, swoje wyłączności, ale niczém niegardzi, niczego nie-depce.

Można zarzucić, iż liczba znawców jest bardzo małą, że większość ciemna, nie rozumie tych pytań jakie się obijają o jej uszy — lecz na to powinniśmy uważać, że małe kółko znawców, coraz rozszerza się przez oświatę wsiakającą w czytelników ogół — z resztą za wyrokiem i zdaniem kompetentnego koła, większość idzie zazwyczaj na ślepo. Jest to w naturze ludzkiej, że chociaż lubi udawać niepodległość zdania, zawsze przecież daje się prowadzić i w każdym razie najchętniej pod-

daje się powadze znawców i ludzi specjalnych. Każdy woli wierzyć, jak badać; to bowiem dogadza i naszemu rozsądkowi i lenistwu ducha.

Jeżeli znawcy przyznali, że pan A. wielki historyk, pan B. nieporównany geolog, pan C. astronom, zdanie to wyrzeczone przez kilku zgodnych między sobą sędziów, obiega z ust do ust po całym kraju.

Ten głos znawców jak i echo tego głosu, jest niczém inném tylko publicznością, a gwar z tąd powstający nazywa się — sławą.

Z nowym tym panem, jak powiada Demogeot — można robić co się podoba: chłostać go, drwić z niego, a byleś to zrobił z dowcipem, pobudzisz go nawet do śmiechu. Niebój się, wytykaj bez litości jego występki, zdrożności, głupstwo przebaczy ci, jeżeli się przekonasz, że to robisz *pro publico bono*. W prawdzie niebrak i jemu na zausznikach i płaskich pochlebcach obalamujących go, zwłaszcza tedy, kiedy publiczność nazywa ją *ludem*, *kochanym naszym ludkiem*, chociaż właściwy *luddek* nieczyta, ani kupuje książek. Przydomek ten dostaje się jednak najróżnorodniejszej publice, nie w innym celu tylko, aby zrobić poróżnienie między klasą cywilizowaną a prostą

ta, a raczej, żeby oparłszy się na prostocie (ciemnocie) wystraszać sobie jakąś powagę w klasach oświeconych, powagę, której trudno by zdobyć, niemając po temu odpowiednich zdolności. Zawsze jest to rodzaj pocblebstwa, aby zyskać tak zwaną popularność. Adwokatowie maluczkich, mają jeszcze tę wadę, że rzadko przebywając z maluczkimi nieznają ich wcale a co słowo używają ogólnika: *ludek*, który dziś to ma bez mała znaczenie, co wyraz ojczyzna, najęściej używany w chwilach, kiedy o nią największe frymarki robiono.

Bywają przypadki, że uskarbioną taką, lub szlachetniejszą popularnością opinia publiczna, wynosi na szczyt społeczeństwa ludzi pióra, i ci wtenczas zajęci obowiązkiem urzędu, biorą najczęściej rozbrat z Muzami. Literatura wszakże nie traci na tym ubytku; nowi zapaśnicy wstępują w luki szeregów pisarskich, i pędzeni ambicyą, utrzymują ten ruch który ich wynosi.

Są to wszakże wyjątkowe przypadki, innego bowiem rodzaju potrzebniejszych i niebezpieczniejszych względów oczekuje od publiczności Autor naszego wieku. Względem tym jest chleb powszedni, gdyż jeszcze o zbogace

niu się nie może być mowy. Nagroda Autorów, jak wiadomo, całkiem pod inną formą spełnia się dzisiaj, niż w przeszłych wiekach.

Nietajny nikomu charakter naszej epoki objawiający się najwybitniej w ruchu przemysłowym. Wszędzie tylko cele ekonomiczne, przemysłowe, handlowe, krzyżują się na drodze życia; nic dziwnego, że i na drodze literatury ten cel się pojawił. Przyznajemy, jako rzecz, tak wysokiego powołania, profanuje się niskością celu, że poświęcenie się powinno być pobudką, a dobry owoc nagrodą. Tymczasem w dzisiejszym stanie społeczeństwa taki obrot to wzięło, że Autor z najlepszymi pobudkami z najbezinteresowniejszym celem, otrzymuje za swoje prace uczciwy dochód.

Nie on siebie i swój plód ale drudzy poszukają go i taxują.

Złego w tém nic niema — talent pisania jest taką własnością jak każda inna własność, a książka wyrobem, mogącym się sprzedawać i kupować.

Dla Autora prawdziwy to zaszczyt nie zależec od nikogo, krom od siebie, wzbogaciec się pracą własną, miec głos publiczny za sobą, i nieznajdowac się w przykrém położeniu mię-

dzy sumieniem, a interesem — zwłaszcza, że publiczności lepiej szczerą prawdę pisać, niż sy-pać kadzidła.

Ta przemysłowa organizacya litaratury, od-powiada nawet dzisiejszemu usposobieniu spo-łeczeństwa, wołającemu co chwila o świeży pokarm umysłowy. — Autorowie piszą w trój-nasób tyle co dawniej, aby i żądania zaspoić, i większą zebrać nagrodę. A chociaż wiemy, że obfitość płodów, szkodzi ich jakości, wsze-lako zawsze trzeba coś lepszego produkować, aby zyskać pokup na dzieło. — Co więcej; kiedy czytająca publiczność zaczyna oziębłe utwory podtrzymywane początkowém powo-dzeniem jakiej powieści lub poematu — daje tem samém ostrzeżenie Autorowi, że ta kopal-nia już wyczerpana, że siebie niepowinien ko-piować, tylko gdzie indziej szukać świeżego żywiołu. — Tym sposobem utrzymuje się ruch, kiedy coraz nowych smaków dobierać po-trzeba.

Oto jedna strona odsłaniająca położenie literata w składzie towarzyskim — strona wcale świetna, gdyby nie pociągała za sobą wiele niedogodności przynoszących uszczerbek lite-raturze.

Co najbardziej przeraża — to owa nie-skończona liczba śpiących się książek.

Umysł, pojęcie, wyobraźnia, uczucie, nie są przecież młocarnią, lub parowym tartakiem, ażeby mogły bez końca i miary produkować, zwłaszcza że utwory literackie ważą się a nie mierzą.

Wyzyskiwać wrodzony talent nad miarę, jedno jest, co go osłabiać.

Dobra myśl tknie cię w głębi — tworzysz — podobasz się; ale nie idzie zatem żebyś na tym koniu wciąż jeździł, i to cwałem, dla tego, że towar pokupny.

Pośpiech w robocie, korzyści z pośpiesznej produkcji, powab rzucania się w różne przedsiębiorstwa wydawnicze — wszystko to przyczynia się do zużycia sił umysłowych pisarza; geniusz spada do miary talentu, talent rozbryzguje się w nędzne ramotki.

Powie kto: odwołuję się do publiczności, ona najlepszym sędzią: wszak rozkupuje moje książki, na które pokup największy.

Zapewne, nagroda powinna być miarą zasługi i wartości. Lecz pamiętajmy i na to, że nie te są najlepsze książki, na które pokup największy. Niedostatek więc lub chęć zysku spo-

woduje autora, że nie zechce już pisać dzieł gruntownych i poważnych zazwyczaj czytanych przez małą liczbę osób, dzieł, z których całe epoki pożyczają ożywczego ducha i światła.

Cóż w tém złego? — odpowie stronnik pism popularnych — za to massy będzie oświecał; a czy będziemy mieli mniej kilka grubych tomów skazanych na zaleganie półek bibliotecznych, to zyska na tem massa narodu przez poprawę moralną i oświatę.

Słuszna uwaga, ale czy rozszerzając nadzbyt koryto rzeki, niewysuszymy źródła? Czy jest pewność, że massy mają wyłączny pociąg do kupowania książek najmoralniejszych i najwięcej oświecających? Jeżeli to pewnik, po cóż je moralizować i oświecać, kiedy już są tak moralne i oświecone?

Przeciwniesądzę; autor bowiem odstępując od swego wysokiego posłannictwa, będzie widział w dziełach, które pisze tylko towar do zbycia; będzie stosował się do smaku kupujących, a nie do potrzeb niedostatku większości. Niemoralność, jeżeli tylko zyski dobre przyniesie, nie wstrzyma go, chyba aż prawo położy na nim rękę; a i z prawem tyle jeszcze wybiegów! Cynizmy dadzą się osłonić, bez-

wstydy ubarwić, co tem niebezpieczniejsze, im pod piękniejszymi kwiatami leży wąż ukryty. Nie tylko moralność, ale sam duch literatury na tem ucierpi. — Zamiast nadawać kierunek czytelnikom, co nie tylko jest przywilejem, ale i obowiązkiem autora, taki rzemieślnik książek, będzie nadstawiał ucha, z kąd wieje kaprys mody, aby w tę stronę kierował swój żagiel. Kopiując drugich, kopiując siebie samego, zrukuje własną oryginalność dla przemijającego powodzenia.

Główna wada w dzisiejszém autorstwie jest ta, że się pisze bardzo dużo, a bardzo mało myśli; że myśl, to jedyne źródło tworzenia nie umacnia się życiem wewnętrzném. — Porównajmy dzisiejszych pisarzy z dawnemi mistrzami. Jaka w tamtych skąpa płodność! Najwięksi, ledwo szczupłe książeczki przekazali potomności; ale w tych szczupłych kartach, zamyka się cały świat myśli i uczuć, niby plaster miodu, na który się składało tysiące a tysiące najrozmaitszych kwiatów,...

— Gdybym pracował lata na arcydzieło w jednym tomie odpowie nie jeden — musiałbym niezawodnie umrzeć z głodu przed czasem, muszę więc płodzić i gęsto i długo.

Ne jest w tém usprawiedliwienia, niepotrzebuję dowodzić — ale natomiast nasuwa się inna uwaga, a razem przestroga dla młodzieży obierającej bez potrzeby zawód piśmienny.

Najwięksi mistrze pióra żyli wprzód, nim pisali; dzisiejsi mało żyjąc, odrazu robią się autorami i wymagają od samej wyobraźni tego funduszu, jakiego nie umieli zebrać w ciągu życia, na drodze doświadczenia; albo też, w grube tomy pakują martwą erudycyą wylataną ze stosów książek. Wszystko to jest jak widzimy chybionem powołaniem — bo jaki taki nie drażniąc wyobraźni, mógłby zostać bardzo zręcznym rzemieślnikiem, kupcem, urzędnikiem, gospodarzem — inny znowu zamiast kompilować stare szpargały — czyli znosić cegiełki do cegiełek, aby z nich nic nie złożył, nie wolał żeby obrać zawód rachmistrza, buchaltera, zawiadowcę fabryki?... Przecież nie mówię z chętki marnego zrządzenia, ale z przyglądania się temu co jest, przychodzą te przestrogi. Czyż nieczęste mamy przykłady na tych młodzieńcach, co niedokończywszy nawet gimnazjum, z kopyta zostają autorami?

— Chcesz panie świat budować i uczyć —

a gdzie twój zakładowy kapitał? gdzie doświadczenie życia?

— Mniejsza o życie i o kapitał — pisząc, będę żył i uczył się. — Przecież jakiś mądry człowiek powiedział: Kto chce nabyć jakiej umiejętności, powinien o niej książkę pisać.

— Nie przeczę, ale tylko *dla swego użytku* — tymczasem wspaniały autor ofiaruje ją zawsze *pro publico bono*.

Zmieniły się czasy! — dawniej usiłowano żyć i uczyć się, a potem pisać — dziś odwrotnie; i dlatego położenie pisarza z powołaniem i wyższym talentem, stało się podobne do wonnego kwiatu przygłuszonego wielkolistami chwastami.

IV.

PRZEWODNICTWO POEZJI W DZIEDZINIE MYŚLI.

Felicjta — Dramat E. A. Odyńca.

I.

Bez wielkiego łamania głowy, wyjąwszy uparcie ślepych, można widzieć w całym społeczeństwie dzisiejszym, ruch coraz silniejszy ku powrotowi do punktu, z którego wyszło. Błędne koło wyraźnie się kończy, szczerze szukanie prawdy zaczyna.

I jakieżże prawdy nie dostaje społeczeństwu, że się tam niepokoi? Jakaż potrzeba przyciska, mianowicie umysły oświećsne, dusze podnioslejsze, że te rezultaty na jakie patrzą nie cieszą, ani sycą?

Przecież umiejętność zrobiła szalone postępy; nauki przyrodzone doszły do kresu o jakim nie marzono, bo tak podniosły przemysł i rękodzieła, środki komunikacyjne i handel, że człowiek nie może już narzekać, żeby wszystkie rozkosze ziemskie niestały na jego zawołanie; a jednak zkadże ten niesmak i niepokój?

Zkąd? — przyczyna jasna; oto umiejętność zastosowana do życia materialnego nie może wystarczać człowiekowi, w jakimkolwiek go stanie postawiła Opatrzność. Dusza ma również potrzeby i nieustannie domaga się zaspokojenia onych i w skutek tego nietylko istota moralna cierpi, ale i umysł choruje na czczość coraz większą.

Ani wątpić, że duch ludzki popadł w czczość niezmierną odkąd z własnej winy zerwał nic tradycyi i uronił prawdy istotne, dające życie jednostkom i całym narodom.

Zdawało się pysznym rozumom, że pod chorągwią racjonalizmu i skeptycyzmu mogą bezkarnie wywijać się sofizmami; a wszędzie w każdym przypadku stawić się wyżej nad wiarę i zrywać z całą przeszłością. Szczególniej wiek upłyniony zrobił sobie z tego

lekkomyślną zabawkę; że zaś utrzymywał się kosztem tych prawd moralnych, jakie dawniejsze wieki w życiu i obyczajach nagromadziły z tak mozolną pracą, przeto nie przestawał igrać i dowcipkować, nie patrząc na szkody późniejsze. Nasyciwszy się więc przyjemnościami rozpasanej swobody, wyczerpawszy wszystkie zasoby rozpusty umysłowej, pograżył się w obojętność, albo raczej zapalał pogardą dla wiary i dla głównych obowiązków.

Ostatnie katastrofy ośmnastego wieku, i w bieżącym powtarzają się jeszcze konwulsyjnymi rzutami; anarchia głów przybiera na pozor inne, głębsze niby formy, ale w gruncie panuje ten sam błąd, ta sama ślepota, i to jest właśnie przyczyna dlaczego miota nami ta sama obawa, dlaczego pragnęlibyśmy ażeby prawdy moralne znalazły sposób usadowienia się na niewzruszonej podstawie.

Jakoż społeczeństwo trwożone objawami niedającymi uspokojenia wewnętrznego, uciecze się o pomoc do racjonalizmu dla odbudowania ruin? Niepodobna; racjonalizm zdeskredytował się swoją filozofią i próbkami swych rządów. Któż jeśli nie ten ojciec kłamstwa

i wykrętu, popłodził te niezliczone systemata, wywracane lada malutkiem doświadczeniem? Utopie racjonalizmu oparte na samych abstrakcyach obudzają dziś wstręt powszechny i jeśli gdzie mającą to w lichych artykułach tuzinkowych dzienniczków. Natomiast jaki taki woła o fakta pojedyncze, coby znalazły rozwiązanie w fakcie ogólnym i o fakta ogólne, któreby miały swoje potwierdzenie w prawie wszechświata. Tym więc obrotem idą rzeczy w sferze pomysłów.

Jak widzimy ta sama odbyła się rewolucja w umiejętnościach moralnych, jaka nieco przedtém zaszła w naukach przyrodniczych. Badacz wymaga, aby położona zasada nie była przypuszczeniem, ale opierała się na rzeczywistości; aby wypływała z doświadczenia i ścisłych badań; wszelka synteza za nic jest poczytana, jeżeli jój nie poprzedziła analiza. Metoda analityczna wzięła górę, hipoteza nie śmie oczu pokazać, a przynajmniej jeżeli występuje to podszywając się pod fakta, mniej więcej dowiedzione.

Nie jeden zmordowany i złamany wątpliwościami, rzucił się na tę drogę, a jeżeli badania fizyologiczne i psychologiczne przyszły dziś do

wziętości, jeżeli nauka historii codzien nabiera większego znaczenia, jeżeli prace archeologiczne zamieniły się prawie w modę (bo któż się archeologią nie bawi?), jeżeli mozolna badawczość zapuściła się w mroki najodleglejszej starożytności, gdzie przewiewa popioły ludów i złada śladu chce odbudować początki, tedy cały ten szal umiętniczy wypływa z potrzeby dotarcia do pierwiastków życia ludzkości, z żądzy wniknięcia w tajniki pierwszych zawiązków społeczeństwa; słowem jest to rodzaj instynktu, który nam szepce, że jeżeli odkryjemy zkąd idziem, natenczas wiedzieć będziemy dokąd dążym.

Owóż w ten sposób umiętność zmienia swój przedmiot, a zarazem cały tryb postępowania; odtąd bowiem droga *wywodowa* główną gra rolę; z lada wskazówek danych rozwija się szereg nieskończonych wniosków. -- Ale raz zaplątawszy się w tę gmatwaninę wywodów, nie można tak łatwo z niej wybrnąć, a co gorsza niepodobna za daleko zapuszczać się w przeszłość, bo im głębsza, tém więcej zacierają się ślady wszelkie, i tylko niepewność, jak gęsta mgła na oceanie, otacza śmiałego żeglarza. Z tych to przyczyn

opanowuje gorętsze umysły niecierpliwość, gdyż widząc, że na drodze poszukiwań do pewników dojść nie mogą, wielkim głosem wzywają na pomoc *wiary*.

Tak tedy czego badawczość rozumu nie mogła otrzymać, mniemano, że się znajdzie w natchnieniu. Badając tajemnicę wszystkich wiar spodziewano się dojść do prawd pierwotnych; ale jeszcze większy powstał zamęt, gdy zaczęto wszędzie widzieć symbole i tłumaczyć ich znaczenie, że w końcu nieledwo zrobiono religie wymysłem ludzkim. Oszukani w swoich zaciękach, upadli, zasypując ruinami pole umiejętności.

Jak się przekonywamy, wszystkie władze duszy powołane zostały do odbudowania gmachu umiejętności moralnych; lecz tylko większy powstał nieład wyobrażeń, z których duch nasz nic nie może ze sobą wynieść prócz zwątpienia. Dzisiejsze też plemię zmęczone nadaremnnymi wysileniami rozmaitych szkół filozoficznych, zawiedzione w nadziejach, któremi się karmi jeszcze drobna rzesza zwolenników, zwraca nakoniec myśli i uczucia do zasad kościoła, stojącego nienaruszenie i na silnym fundamencie pośród tysiącznych prze-

wrotów dokonywających się wkoło niego. — Jaki taki niesyty czczą umiejętność, bo im więcej jój pochłaniał ~~tóm~~ głód wewnętrzny się wzmagał, zaczął od kościoła dopominać się o przekonania dla rozumu, o pociechy dla serca, i o to wszystko, za czém dusza tęskni, bo za jednością, trwałością i prawdą obowiązującą świat cały.

Taki zwrot pojęć i umiejętności dokonywający się za naszych czasów, jest najwspanialszym owocem 19go wieku, wracającego na tor prawdziwy, odrabiającego złe, jakie się przez ciąg kilku wieków nagromadziło. Średnie wieki zaczynają znowu odkrywać się w całej swojej doskonałej harmonii; porwane tradycje odszukują się, lecz nie na to, aby wracać do tych samych form, jakie wyrobiły sobie w innym stanie cywilizacji, bo to jest niepodobieństwem, ale do ducha, który przenikając społeczność dziś rozbitą, nada jój nowy porządek trwały, bo oparty na wiekuistej prawdzie; nową siłę, bo idącą z wysoka; głębszą jedność, bo nie na widokach ziemskich osnutą.

Kilkowiekową historję pychy rozumu ludzkiego starałem się podać w tym pobieżnym

ustępie, ażeby mi to posłużyło do pokazania jak niewłaściwemi są dziś wszelkie wybryki tak zwanych *wolnodumców*, którzy mają sobie za jakąś zasługę dla ludzkości podkopywać jej wiarę, podsuwać wątpliwości; albo też w imię tak zwanéj prawdy historycznéj, lub ścisłości naukowej, rzucać zaprzeczenia uświęcone tradycją tym najwyższym historycznym faktem, na który wprawdzie nie dostarczą cytat pomniki i autorowie, ale dostarcza wiara i sumienie narodów.

Krom tego miałem jeszcze i to na względzie, żeby objawiające się u nas wyższe i głębsze dążności, podciągnąć pod regułę, do jakiej świat najbardziej rozwiniętej cywilizacji tak stanowczo i tak wyraźnie powraca. Ci bowiem, co się u nas ludzą zwietrzałemi teoryami i systematami chrzconemi mianem postępu, są właśnie w opóźnieniu, wloką się za wiekiem 18tym, albowiem rzeczywisty postęp wyobrażeń i społecznych i politycznych i naukowych i literackich rozwija się na zupełnie innych warunkach i całkiem różne od spodziewanych przybiera formy. Wszędzie nurtujący protestancki racjonalizm, lub też grubym materyalizm nieuznający w świecie ducho-

wym innych sił, prócz sił natury, oto są dwie główne formułki, w jakich się lubią szanować pyszne rozумы niechcące zrozumieć ducha wieku.

Sąto istoty tak zakochane w sobie, tak upojone własną mądrością, iż nie uznają żadnej wyższej powagi, choćby powagi samego Boga zstępującego na ziemię. Nie dziw, że lada prostaczek dalej widzi gołém okiem, niż oni przez teleskopy i mikroskopy. To pewna, że umiejętność źle przyjęta wyradza niesłychaną pychę, mierzącą na skalę wzgardy i lekceważenia wszystko, co się nie nadaje do jój formułek. Tymczasem, nie ja to pierwszy mówię, ale tyle światłych mężów dowiodło, że uprawiacze téj dzisiejszój umiejętności daleko późniejszymi są od uczonych średnich wieków, którzy żadnej gałęzi nauki nie uprawiali i nie pojmowali w oderwaniu dla samój siebie, ale ją odnosili do wielkiej jedności. — Uczeni przed systematem apostatycznym Bakona i Kartezjusza, odkrywali przez intuicyę i przez pojmowanie się w jednej całości największe prawdy astronomiczne, fizyczne, matematyczne, a odkrywszy je, dopiero sprawdzali przez analizę, dziś przeciwny wzięły

umiejętności kierunek: Analiza ma doprowadzić do rozwiązania najwyższych prawd, lecz dotąd podobność nie doprowadziła do niczego, tylko do systematyzowania, które nic nie odkrywa i do rozdrobnienia nauki za specjalne gałęzki uprawiane same dla siebie, i jak sztuka dla sztuki, tak dla nauki nauka. — Takie odbieżanie od celu umiejętności daje więcej pozorne niż rzeczywiste zdobycze, a co najgorsza: połowiczna ta mądrość rodzi pychę i tém samym zamyka sobie bramę do wielkich prawd świata, mających źródło w religii objawionj; rzecz bowiem dowiedziona i sprawdzona, iż gruntowna, szeroko pojmowana umiejętność, jakkolwiek nadyma się wielkością spisanych tomów, a lekce waży mądrość Kościoła, nie pozbywa się cech niedouczoności, jeżeli postawimy pewnik, że prawdziwa uczoność wolna jest od pychy niedowiarstwa.

Mimoходом potrafiłem o te ważne pytania, które w dojrzałszych krajach stanowczo już rozwiązane i w praktykę zamienione bywają. U nas mógłby je kto za wsteczną dążność poczytać, o co daleko łatwiej, niż o głębsze zastanowienie się nad tym przedmiotem, a tém bardziej, że błędna droga znaj-

duże ni ezmierne poparcie w tém mnóstwie dzieł protestantów niemieckich, jakie zalewają księgarnie i służą za przewodników we wszystkich gałęziach nauk uprawianych u nas. Weźmy jedną tylko z tych nauk; filozofię i estetykę pomijam, bo w nich żywioł racjonalno-protestancki rozsiada się w całej pełni, ale weźmy historię powszechną. W jakimże duchu znajdziemy ją pisaną? Oto zazwyczaj podania Mojżeszowe bywają zredukowane do małego znaczenia w porównaniu do podań aryjskich, czyli staro-hinduskich, albo znowu do egipskich misteryów, z zupełném zaprzeczeniem, żeby pierwsze objawienie i tradycja kosmogoniczna miały się najczyściej utrzymać między wybranym ludem. To jeden tylko przykład, ale z niego wysnuwa się długi szereg błędów, które spotęgowane, skupiają się szczególnie w średnich wiekach i nowożytnéj historii, gdzie mowa o reformie i jéj dobroczynnym wpływie na cywilizacyę. — Nie potrzeba mówić jaki zamęt wyobrażeń rodzi się z tak podanych dziejów, w których prawie zawsze wypływa idea fatalizmu, a wpływ myśli bożéj redukuje się do bardzo małego znaczenia.

W krótkim tym rysie stanu wyobrażeń chciałem streścić ten moment dzisiejszego przejścia od zużytych doktryn do tych, co mają zaród nieśmiertelnego życia. Praca ta dokonywa się i wewnątrz i na zewnątrz. Wprawdzie głębokie jakieś cierpienie widzieć się daje w społeczeństwie europejskiem i wszelkiem ucywilizowaném, które niczém inném nie jest, tylko zwątpieniem. Wszelako ten niepokój, ten niesmak, ta ustawna chęć zmiany, smutne cechy dni naszych, smutniejsze przepowiednie na przyszłość nie powinnyby przy głębszém zastanowieniu się, odejmować wszelkiej wiary w lepszość; przeciwnie, piękniejsze obudzać nadzieje. Już samo zwątpienie, ten rak społeczny, przebyło kolej kilku przeobrażeń, w upłynionym wieku widzieliśmy jak człowiek religijnie i obyczajowie wychowany psuł się wciągając w siebie wątplenia i sztyderstwa ówczesnej filozofii libertyńskiej; wątplenie jego miało przynajmniej jakiś cel, o którym nie wątpił, to jest: zburzenie tradycyi i instytucyi kościoła i monarchii; przeciwnie za nowszych czasów widzimy jak człowiek zmęczony błędami i szaleństwami zaczyna powątpiewać o tych samych doktrynach, które po-

ślubił był z takim zapałem i wiedziony instynktem szuka dokoła siebie prawdy, aby się mógł na nią oprzeć i wytchnąć duszy złamaną tylokrotnymi zawody. Nasi ojcowie toczyli się po lekkiej ale niebezpiecznej pochylności, wiodącej ich do zepsucia obyczajów, do zupełnego rozbratu z kościołem i do oddalenia się od prostego ludu, który wierzył po staremu i mówił po staremu; dzisiejsze społeczeństwo obrachowawszy poniesione szkody zaczyna się opamiętywać i wraca do religii i moralności, a zatem do pomyślności publicznej i przydatnej. Zapewne nie idzie to tak spieszenie jak szło zepsucie, bo ostatniemu zazwyczaj wszystko pomaga, ale ważąc ze sobą przymioty dawniejsze i dzisiejszego społeczeństwa podług opowiadań i opisów jakie nas doszły, nie można powiedzieć, żeby nienaprawiło wiele stron życia.

Już nie od dziś głębsi dostrzegacze przepowiedzieli tę restaurację religijno-moralną. Ogromne wstrząśnienia polityczne przebiegające w początkach tego wieku cały ład europejski, zdawały się odbierać wszelkie prawdopodobieństwo, aby kiedykolwiek miano pomyśleć o odbudowaniu społeczeństwa na za-

sadach religii; a jednak kolej wypadków cudownie snuta w widokach Opatrzności, stwierdza tę przepowiednię. Zbrodnie i błędy dokonane przez wyznawców fałszywej filozofii, muszą być odrobione na każdym polu: czy politycznym czy społeczeńskim, czy naukowym, czy literackim. Świat idzie do tego tak wyraźnie drogą nakreśloną palcem Opatrzności, że wątpić dziś o tym niepodobna, choćby kto dostarczył stopy przeciwnych temu argumentów branych z życia, argumenta mogą być prawdziwe i ważne, ale zawsze nie sięgające miarą swoją do wyższych kolei, jakimi Opatrzność prowadzi ród ludzki; kto bowiem chce badać społeczeństwo, i z minionych lub bieżących wypadków czytać przeszłość, powinien się wzbić o wiele wyżej nad poziom ziemskich zajęć, ażeby tym sposobem uniknąć mnóstwa szczegółów i wyjątków; ustępu nie brać za poemat; sceny, za skończoną trilogię dramatu, i nie dać się oszukać na proporcji i naturze zdarzeń; — co spotyka zazwyczaj wszelkie rozumowania, które obrwawszy sobie ciasny punkcik widzenia, i to na płaszczyźnie, zostają zasypane pyłem kurzawy wzniesionej pochodem spraw świata. Je-

żeli nam idzie o to, abysmy z jakąkolwiek pewnością odgadywać mogli przyszłość społeczeństwa, niepuszczajmyż z oka tak pochodu i rozwijania się wyobrażeń, jak kierunku uczuć, niemniej nie pomijajmy ważnych faktów, wszakże nietakich, co najwięcej robią hałasu lub sieją blasku, ale co mają największą donośność i co każą się spodziewać najszerszych wpływów. — Inaczej postępować byłoby to z jednej sceny sądzić o planie i układzie całego dramatu, lub co ideę lub uczucie poety na równi stawić z materyalnem narzędziem służącym do wydania jego pomysłów.

Poezya, zwiastun zwykle najwcześniejszy, każdego nowego zwrotu w dziedzinie wyobrażeń i uczuć, z końcem już zeszłego wieku zaczęła przyodziewać szatę religijności.

Karpiński, który pozostał najwierniejszym staroświeckiej narodowej tradycji, odzywał się wśród dowcipujących i przedrwiwających śpiewaków Stanisławowskich tonem wyższego nastroju i od niego poważna ta lutnia dostała się Woroniczowi, który żeby się utrzymać na tém stanowisku musiał je podciągnąć pod chwałę i nieszczęścia nowego Sionu. —

Odtąd to wyżej, to niżej gra ciągle ta nuta tak zgodna z wewnętrznym usposobieniem słuchaczy; lubo, w nowszych czasach nie sam tylko elegiczny żywioł przemaga w religijnej poezji, ale że tak powiem wielki duch katolicki rozpościera się przez wszystkie rodzaje sztuki, i odzyskuje ją dla tej idei najgłębszej w narodzie. Zwrót ten rehabilitujący sztukę, na który mało w ogóle dawano baczenia i zastanowiano się nad jego znaczeniem, lepiej tłumaczy bieg rzeczy niż najgłośniejsze zdarzenia, i daleko pewniejsze na przyszłość zapewnia korzyści niż wszelkie kombinacje mędrców rozprawiających o nowej organizacji a raczej dezorganizacji społeczeństwa. — Ludzie są niczym, fakta wszystkiem. Człowiecze zamiary rozwiewają się jak mgła przy silnym wietrze, a Opatrzność ma upodobanie pokazywać ułomność i nicość tych dzieł, którym pycha ludzka naznaczała ogromną wagę i obiecywała nieprzemienią trwałość.

Ależ mógłby kto na to powiedzieć, że poezja nie zasługuje na takie względy badacza, który przedsięwziął roztrząsać stan społeczności i w przyszłość zaglądnąć? Poezja, przecież to nie coś tak żywotnego jak n. p.

rólnictwo, przemysł, handel? Poezya, to tylko obłoczek przelatujący po błękitnie; to rodzaj snu na jawie, to plód exaltacji zapалу biorący za wzór do swoich tworców kaprysy wyobraźni, i mogłaby poezya reprezentować jakąś rzeczywistość żywotną, dawać najniższy punkt oparcia, służyć za kompas dla oznaczenia kierunków i dążeń wieku? Rzucaż ona choć promyk nadziei na wzrastające pokolenie, lejeż gojący balsam na pokolenie zstępujące do grobu? Cóż to jest ta poezya: gdzie jest pokażcie nam? Kto ją znał, kto określił jej granice, kto jej naturę wytłómaczył? Czy podobna, aby czyzy cień, widmo, karmiące się mżonkami, przemykające się wśród nas w nieprzejrzystej i tajemniczej zasłonie, opromienione światłością niebiańską, w której jak w zwierciadle odbijają się wspaniałości ziemi, a zjawisko to napowietrzne, miało jakiś wpływ na losy ludów, losy, któreby jedynie powinny zależeć od potęg rzeczywistych, dotykanych? — Takie rozumowanie codzien się sły-szy, i nic w tym dziwnego; dla znacznej bowiem części tak zwanych światłych ludzi, społeczność jest niczym innym tyłkoz biorowiskiem jednostek połączonych ze sobą jedynie

na podstawie potrzeb materyalnych; dla nich serce człowieka to machina do rachunków; dla nich piękność duchowa nie istnieje; dla nich wszystko marzeniem: uniesienia cnoty i zgryzoty występku; dla nich nakoniec kolebka bez ułud, grób bez nadziei. Ależ puste te gadania, giną w spaniałej harmonii łączącej religię z ludzkością, niebo z ziemią, Boga z człowiekiem. Głos wyższej prawdy zawsze odnosi zwycięstwo nad jadowitym sykiem praktycznego materyalisty, podobnie jak zatruty oddech gadu zagłuszają balsamiczne wonie bujnej roślinności na Wschodzie.

Cóż ztąd, że poezya nie da się ściśle określić jak matematyczne twierdzenie? Czyż dla tego przestanie być rzeczywistością i to wysokiego znaczenia? Któż umiał określić i wytłumaczyć serce matki? a mimo tego serce matki nie należy do urojeń fantazyi. — Małeńki to człowiek, co wszystko chce definiować i tłumaczyć; ciasny to umysł, który nie pozwala na żaden fakt jeżeli mu się przedstawia w uroczém idealném okoleniu. Taki nie zna ani natury, ani serca, ani ducha człowieka, krótki wzrok jego mógł się utopić w jakiej gałęzce umiejętności, ale nigdy nie zdołał ob-

jąc harmonijnego drzewa nauki; za ledwie zobaczył kilka gźémsów i kawałek kolumny, a jemu się zdaje, że patrzy na ogromny fronton i ogarnia całą budowę.

Ktokolwiek obrabia pytania odnoszące się do poezyi, moralności lub religii, a uczucie pomija, ktokolwiek z cyrklem w ręku przechadza się wśród tworów natchnień i serca, niemniej jest śmiesznym jak ten, coby twierdził, iż najlepszą metodą w rozwiązywaniu zagadnień wysokiej matematyki jest spuszczenie się na własną wyobraźnię lub na popęd uczuciowy. Dosyć mi wiedzieć, że poezya jest swobodnym wylewem duszy, natchnieniem tajemniczym wyrażającym się na zewnątrz harmonijnemi słowy, malującym z miłością przepychy natury, sceny z życia, i lejącym w te obrazy wzruszenia i uczucia ich charakterowi odpowiednie. Poezya krom tego zdobywa się na ideały, stwarza nowy świat odkryty w chwili boskiego natchnienia, i odsłaniając go oczom naszym wlewa do serc urok nieznany. — To wszystko wystarcza przecież, aby przyznać poezyi ważność nie poślednią, aby ją policzyć do rzędu rzeczywistości, gdzie powinna zajmować wysokie miejsce wśród objawów przed-

stawiających stan społeczny, lub pozwalających na pewniejsze wnioski o tajemnicach przyszłości.

Nic bo też nie ma rzeczywistszego i prawdziwszego jak to, cośmy uczuli, żadne też wyrażenie nie bywa czystsze i prawdziwsze, jak słowo wyrzucone ogniem wyobraźni i zapалу. . Bynajmniej nie chcę tu powiedzieć, aby tylko sami poeci tworzyli kwiat społeczeństwa i w rękę trzymali losy innych śmiertelnych.— Przeciwnie społeczeństwo tworzy poetów; społeczeństwo używa im natchnienia, powierza im swoje potrzeby, napełnia ich swymi wyobrażeniami i uczuciami; a kiedy mniemamy, że się poddają wyłącznie swemu natchnieniu i uniesieniu, kiedy w ich twórcach postrzegamy piętno indywidualnego ich geniuszu, charakteru lub fantazyi, pokaże się mimo tego, że wyrażali tylko pomysły, uczucia, typy, marzenia, oryginalności tego społeczeństwa, pośród którego żyli i śpiewali. Jeżeli zaś w języku ich poetycznym trudno poznać żyjące postacie, to jedynie dla tego, że język ten nie zawsze bywa zrozumiały pospolitej rzeszy, że prawdy społeczne w usciech piewcy zamieniają się w szczytne dźwięki, że przedmioty codzienne umieją

ubrać si w szatę wspaniałych form, że nakoniec myśl ogółu, przechodząc na ich własność tak się wydelikatnia, tak pięknieje, iż tylko podnioslejsze umysły są w stanie pojmować poetę do głębi.

Widoczna rzecz, iż człowiekowi niepodobna usunąć się od wpływu społeczeństwa, pośród którego żyje, jak niepodobna niechęć oddychać otaczającym go powietrzem. Największe genjusze, nie mogły się od tego wyzwolić, nawet gdy uderzali na współczesnych, gdy chcieli towarzystwu nadać przeciwny kierunek — zawsze byli żywym organem potrzeb ogółu. Powszechnie twierdzą o wielkich geniuszach, jako niekiedy zmieniali pochod społeczeństw; a tym sposobem wpływowi jednego człowieka przyznawano ogromne wypadki. Nie zewszystkiem godzę się na to; nie zaprzeczając bowiem wielkich wpływów geniuszu na zmiany religijnej i politycznej, mam przekonanie, iż w tej mierze panuje przesada, albowiem pojawienie się takich ludzi nadzwyczajnych było zawsze prawie wynikiem nadzwyczajnych okoliczności w jakich zostawała społeczność; oni zaś na to są, aby rozwijać jej wyobrażenia i uczucia lub w rzeczywistość pragnienia i da-

żności zamieniać. Możliwość z historią w rękę usprawiedliwić tę uwagę; czytając ją bowiem z zastanowieniem się, widzimy nie raz, jak mierni częstokroć ludzie zmieniali fizyonomię jakiego narodu lub wielu narodów:

Opatrzność prowadzi ród ludzki drogami nakreślonymi w przedwiecznym planie: ludzie talentem i cnotami siejący dobre ziarno na ziemi, dają się przyrównać do gwiazd przychylnych, pod którymi rodzą się szczęśliwi; przeciwnie burzyciele świata, podobni są do komet przebiegających strop niebieski i budzących złowrogie przeczucia.

Aczkolwiek uwagi te mogą się zastosować do wszelkiego rodzaju wpływów, jednakowoż głównie stosują się do poezyi. Co powiedziałem głównie zamierzało do pokazania jak żywy wyraz, prawie najżywszy, społeczeństwa mieści się w poecie i jak twory jego są prostym wynikiem otaczających go przedmiotów, zdarzeń i ludzi.

Od tych ogólnych postrzeżeń radbym się przenieść na pole czysto literackie, ażeby niepomówiono mi, iż zbyt długo przebywam w sferze marzeń, przypuszczeń śmiałych oddalonych od praktyki i rzeczywistości.

Obszerne byłoby tu pole pomówić o wpływie Mićkiewicza na wyobrażenia i uczucia narodu — lecz niezbędne szczegóły i przykłady zaprowadziłyby dalej, niż zakres dowodzenia pozwala, a z resztą wpływu ocenić nie można, dopóki takowy trwa i zapewne nierychło skończy się, jak sława i wziętość wieszczka.

Co zaś najważniejsza, dzisiejsze starsze pokolenie, patrzyło własnymi oczyma na tę zmianę, za dotknięciem różeczki czarodziejskiej dokonaną — patrzyło i czuło w sobie, jak się nowy świat w piersi tworzył, jak topniały złodowaciałe formułki poosadzane w głowach i sercach przez naśladownictwo zwietrzałych wzorów. Tylu żyjących niezapomniało zapewne wrażenia jakiego na sobie doznać musieli, gdy duch ich skrzydeł dostawał, a serce otwierało się do samej głębi....

To był pierwszy cud poezyi, oczy otwały się na prawdę i zaczęły ją szukać i tęsknić do niej a duch począł snować ze siebie.

Odtąd zwrot do katolicyzmu w literaturze i w rzeczywistości stał się wyraźniejszym, szczerzym i głębszym, choć jeszcze majaczyły i majaczą teorye pychy rozumowej przybranej w szatę erudycyi.

Z drugiej strony możemy się poszczycić nie jednym tworem ducha katolickiego tak nie rozłącznie spojonego z istotą narodu, że choćby przedmiot opiewał nawet obce odległe dzieje, ze świata, który przemiął historycznie i prawie stał się idealnym, nadludzkim wielkością cnót i poświęceń się, — to przecież wszystko wydaje się w nim tak sympatyczne, tak nam znajome, tak trafiające do potrzeb serca, tak wyobrażeniom odpowiednie, że nazwać by go można naszym światem, naszym oezym, choć w niej niewidać ani karabel, ani kontuszów, ani słyhać brzęku kielichów węgrzyna.

Nie formy, nie koloryt są najgłówniejszą cechą poezyi narodowej, ale idea jaka ją przenika.

Kilka słów dłuższych o *Felicycie Odyńca*, może myśl tę lepiej wyjaśni i udowodni.

II.

W chwilach, którebym nazwał twórczemi, a które przychodzą w dziejach literatur czasem raz tylko, czasem kilka razy, wyrabia się jakaś tajemna potęga ducha, rozdzielająca się na głowy stojące bliżej ogniska skupiającego w sobie najwyższą treść i siłę epoki. — W następstwie zazwyczaj słabnie ta potęga duchowa; a choć się zjawiają utwory wykończenie doskonałej formy, czyli utrzymujące się wszystkimi siłami sztuki, jednakowoż brak im oryginalnego, twórczego, pierwiastku. Już dziś nawet moglibyśmy prawdę tę stwierdzić zastosowaniem w naszej literaturze na pisarzach występujących po epoce Mićkiewiczowskiej; jak na tych, co jeszcze z tej epoki pozostali. Nie jest to żadne uprzedzenie się dla pewnych

inijon lub rzecz smaku, ale rzeczywiŝta wartoŝć tych pŁodów, które wyniańczyły nową generacyę piszących. Samo przemijające wrażenie, jakie robją ich utwory, chociaŝ nacechowane niezmierną biegŁoŝcią wierszowania i wyzyskiwania tajemnic i kombinacji artystycznych, najwymowniej ŝwiadczy, ŝe intuicya, i ciepŁo, sŁabną w potomŝwie apollinowém. Jeŝeli jeszcze co zaŝwieci, co rozgrzeje i porwie, to taki tylko utwór, co wyjdzie z pod pióra owego grona naleŝącego do epoki litewskiego wieszczza przedŁuŝającej się do dziŝ, i utrzymującej naszą literaturę na pewnej wysokoŝci....

PodŁug niektórych pojęć o postępie, powyŝsze twierdzenie policzonoby do ubliŝającego bŁuŝnierŝwa; lecz jak wiadomo do prawa postępu wcale nie stosuje się teoria o przyspieszonym biegu ciaŁ ale raczej teoria ŝwiatŁa i ciepŁika. Im się bardziej oddalamy od ogniska tem większy chŁód ogarnia.... Ogień w odbiciu się nie grzeje.

Wychodząc z powyŝszej uwagi, znajduję wymowne jej potwierdzenie w ŝwieŝym utworze A. E. Odyńca. Pisarz ten przyjaciel Adama, wŝpólnik prac niektórych, acz nieubiegający się o wŝpółzawodnictwo z wieszczem *par excel-*

lence, umie w kreacyach swoich utrzymać cząstkę tego wielkiego ducha jaki ożywił wieszczą i jego epokę. Co tylko wyjdzie z pod jego pióra, nosi to niestarte piętno dające się wysledzić nawet tam, gdzie świetność pisarskiego talentu, siły ducha i czucia, niedosięgają wysokości po arcydziełach wymaganėj. Głęboką prawdą chrześcijańską, przepojony duch i serce Odyńca, wyciska na jego utworach piętno nadające im wartość wewnętrzną i odróżniające od tylu innych pisarzy, co hołdując samemu bożyszczu sztuki, poprzestają najczęściej na powierzchownych przymiotach, znachodzących chwilowe tylko powodzenie i wyznanie. Słowem, jest to pisarz z treścią, mąż wyrobiony wewnątrznie, dla tego myśli jego mają siłę zapładniającą, zostającą w czytelniku, i zmuszają nie jako łamać się z niemi, roztrząsać w sumieniu, i jeżeli nieprzyznawać im zupełnego zwycięstwa, przynajmniej wyciskać dla nich szacunek, jak dla wszystkiego co dobre i piękne. Nie jest to pisarz wstrząsający światem wyobrażeń, z rzędu tych, co wszystko ciągną pod pręgierz opinii, co serce biorą na próbę, przysłuchując się, kiedy pęknąć; co uniewinniają każdą namiętność, a zwycięstwo

nad namiętnością, poczytują za brak temperamentu, czyli raczej niewierzą, aby zwycięstwo zdało się na cokolwiek — przeciwnie, u niego panuje cisza i spokój wewnętrznej siły, a w blasku świętej prawdy dającej mu natchnienie, nawet szpetności natury zepsutej nie razią swoją potwornością. W tym tu punkciespotyka się u niego klasycyzm grecki z klasycyzmem poezyi chrześcijańskiej tamta przez harmonijne uczucie proporcji i konturów, upiękniała nawet cielesne brzydoty, ta przez uczucie wielkiej miłości Chrystusowej, upięknia moralne.

Odyniec w dramacie swoim *Felicyta*, umiał wybornie utrzymać ten wysoki klasycyzm chrześcijański, chociaż nasuwała mu się łatwa sposobność skorzystania z wszystkich dogodności kontrastu, przez zestawienie potworności zepsutego społeczeństwa rzymskiego, z zawiązującym się społeczeństwem Chrześcijańskim, tak pełnem niewinności, tak gotwem do poświęceń się, tak bohatyrskim w prostocie ducha i wiary. — Każdy, mniej katolicki poeta byłby niezawodnie niepomiął tych przeciwieństw; choćby dla tego, że gruby cień szpetności, podniósłby świetne i białe postacie męczenników i niejako uwydatnił ich kontury.

Lecz użycie kontrastu jak w malarstwie, tak w poetycznej kompozycji, należy tylko do sposobów i środków, któremi rozrządza sztuka, chociaż przeto nie stanowi samej treści, i ducha utworu. Poeta przenikniony wielkiem uczuciem chrześcijańskim, snowa i piękne i szpetne i wzniosłe i niskie obrazy życia, z tego nieśmiertelnego źródła, które ma początek w Bogu a światłość niebiańska cienie i dysharmonie łagodzi; dla tej przyczyny, niepodobna mu robić się artystą potworów natury ludzkiej w upadku, studiowanych w rzeczywistości z całą drobiazgowością, i z tak gorącym zamiłowaniem, że możnaby nieraz posądzić poetę sztukmistrza, jako piękność i szpetność moralną uważa synonimicznie, jako go nieobchodzi przedmiot podług wewnętrznej swojej wartości, ale podług tego, jak poetycznie da się na tém tle fantazyować. — Cały grzech tak zwany romantycznej literatury w tym sposobie pojmowania miał swoje źródło; najlepiej go też wyjaśnia, potępiona dziś, acz bardzo jeszcze uprawiana teoria: Sztuka dla sztuki,

Felicyta Odyńca uważana z tego względu, ma niezmierną wyższość nad dramatami nie tylko u nas, lecz i za granicą pisanemi. Poeta

poszedł całkiem inną drogą, jaką mu rutyna tak zwana historyczna wskazywała. Zazwyczaj bowiem pisarz zabierający się do historycznego dramatu czy poematu, niezanie dbuje robić starannych studiów, żeby i bohaterom swoim włożyć w usta właściwą mowę, i ubrać ich archeologicznie, i wprowadzić obyczaje odpowiedne wiekowi, i osobom fiziozonię zatrzymać ściśle historyczną, zgoła w cały ten zewnętrzny przybór wkładana bywa wielka pilność i skrupulatność — co wszakże nieprzeszkadza, że większa część tego rodzaju płodów, bardzo może szacowna pod względem historyczno-starożytniczo-archeologicznym, spada jednak do zera, pod względem twórczości poetycznej. Są to zazwyczaj kombinacye sceniczne od dawna zwietrzałe, przeżute, tysiąc razy kopiowane, tem niby tylko osłonięte w swojej nicości, że im dano szaty nowe, brzmiące historyczne nazwiska i dekoracyę malowniczą. Autor Felicyty uniknął tego wszystkiego, a jednak nikt mu zarzucić nie może, żeby dramatyczny jego obraz męczenników kartagińskich nie miał głębokiej historycznej cechy w prawdzie serca ludzkiego.

Ani wątpić, że zamierzywszy utworzyć

Felicytę, musiał poznać ówczesną historję Rzymu, stan umysłów, doktryny filozoficzne, obyczaje pogańskiego społeczeństwa; jak nawzajem, co było główniejszem zadaniem, przejąć się opisami prześladowań Chrześcian na początku 3go wieku w Afryce, i wyznaniem pochodzącemi od samychże męczenników jak św. Perpetua i Satur, niemniej oprzeć się na świadectwie Tertuliana, który był świadkiem męczeńskiej ich śmierci poniesionej w cyrku kartagińskim. Poeta Chrześcianin przejęty Boskim duchem tych świętych ofiar za prawdę wiary, wcielony niejako w ich życie i myśli, rozlewa odblask swój miłości nawet na katów, i robi ich raczej ślepemi, posłusznemi narzędziami władzy, niż przeciwnikami potężnymi przekonaniem i wiarą w nieomylność i zbawczość pogaństwa. W tym też względzie schwycał mistrzowsko ducha epoki. W Afryce, oddalonej od Rzymu, środka władzy Cezarów, tępiała owa zawziętość nieubłaganych prześladowców, duch ogarniający ojczyznę Orygenesów, Tertulianów, Cyprianów, Augustynów, musiał oddziaływać i na wykonawców srogich ukazów rzymskich.

Wreszcie w owej epoce stan umysłów

Dzieje hist.

6

w państwie rzymskiem miał już podwójny charakter różniący się między sobą. W małej liczbie zaczęła się objawiać przecuciowo jakaś niepewna wiara, jakaś mistyczna nadzieja w przyszłość niezależną zupełnie od woli i siły ludzkiej, były to dusze wybrańsze, po części wtajemniczone. — Większa zaś massa ogółu oddawała się samym bezowocnym żalom za straconą przeszłością, trapił ją fatalizm nieuleczony, myśl rozpaczy na widok nieuchronnego upadku.

Ten podwójny stan umysłów, maluje się jeszcze w poezyach Wirgilego. Kiedy jest wierzący, natchniony, kiedy jak prawdziwy wieszcz cudownym instynktem poety zbiera rozsiane prawdy śpiewane przez wyroczenie, rzucane na wiatr z Sybillińskich lochów, wtedy znajduje początek nowój ery w dziecięciu, które matka wydała na świat po dziesięciu miesiącach boleści, widzi on drugiego bogów potomka, i mieni go „*wielkim Jowisza przyrostem*“ — Wtedy w przepyszném uniesieniu wzywa wszystko stworzenie, aby oddało pokłon temu dziecku bogów, i już widzi „świat chwiejący się kulistym ogromem, i wszystko cieszące się z wieku co teraz nachodzi.“ —

To był rzeczywiście proroczy wybuch, lecz raz tylko, bo już potem nie rozumie głosu wyroczni, i zapadając w ciasną ciemnotę natury ludzkiej, przeraża się fatalnością, która wszystko i świat i ludzi pędzi ku gorszemu. — W Georgikach losy ludzkości porównywa do łodzi, którą siła wioślarzy z trudnością tylko pcha przeciw prądowi rzeki; niech tylko na chwilę ręce ustaną, a prąd porywa czółno, i siła fali rzuca je wstecz daleko...

Takie poddanie się fatalizmowi, przy zwątpieniu w siebie, wyrodziło jako konieczne następstwo, ową rozpaczliwą rozpustę, ową zwierzęcość obok wyrafinowania materyjalnej cywilizacji; wybitne cechy przy upadku społeczeństwa pogańskiego. Obrazy to nęcące i jaskrawe, poeta mógł tylko sięgnąć po nie, aby niemi upstrzyć swój dramat i efektowemi kontrastami uderzać i oslepiać czytelnika. — Lecz idea dodatnia chrześcijańska przemogła i wszystkie te ujemne strony umiała powlec piękną boskiej nauki.

Dla téj przyczyny dramat ten przepełniony pięknosciami pierwszego rzędu, zalecający się czystością i wdziękiem postaci wyprowadzonych na scenę, nie mógł sprawić tak ogólnego

nego wrażenia, jak niejedna rękawko pijacka gawęda, co nie przeszkadza zająć mu bardzo wysokiego miejsca i zaszczytnego w utworach oryginalnych jakimi poszczycić się może nasza literatura.

Sama świętość przedmiotu użytego w dramacie, jużby wstrzymała mię od rozbioru pod względem prawideł poetyki i estetyki, bo zawsze się przypuszcza i wierzy, iż kto taki przedmiot obiera, nie robi sobie artystycznej zabawki, ale jak w modlitwie, składa najcześniejsze swoje uczucia, przekonania i wierzenia Panu Bogu w ofierze.

Słowa autora wyrzeczone w przedmowie jeszcze mię więcej utwierdzają w tém przekonaniu. Zaczyna on od wyrazów: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i dodaje: ta myśl i to uczucie (na chwałę Chrystusa) przewodniczyły téj pracy i w tym duchu i w tém uczuciu przyjm ją i osądź chrześcijański Czytelniku.“ Pokazuje się, że nie żąda innego sądu tylko takiego, coby wykazał uchybienia niezgodne ze świętością przedmiotu; że zaś tychże trudno dopatrzeć w utworze pełnym namaszczenia religijnego i wzniosłości duchowej, przeto winienem pominąć drobniejsze,

podrzędne niedoskonałości, wynikające ze zbytniego rozmiłowania się w wyczerpywaniu argumentów świadczących o nieomyślności wiary naszej, przez co powstały w niektórych scenach niepotrzebne dłużyzny, zapuszczania się w dogmatyzowanie i dydaktykę wstrzymujące pochod i akcję dramatu. Poeta wyznając na wstępie, że dramat ten dla samej treści, tak przeciwniej dzisiejszemu duchowi teatralnych widowisk, nie był pisany dla sceny, już tém wyznaniem chciał odsunąć od siebie zarzuty jakie możnaby mu zrobić; chociaż z drugiej strony, nicby nie uwłaczało Felicycie, żeby ją był w doskonalszej formie i proporcjach wykończył, tém więciej że niedostatku nie widać, ale owszem zbytek pochodzący z szlachetnej chęci wypowiedzenia tych wszystkich myśli i prawd, jakie się nasuwały poecie przejętemu wielkością i świętością przedmiotu. — Sama natura rzeczy tak wzięła nad nim przewagę, że się jój poddał, nie myśląc wcale czy wdzięk i harmonia artystyczna na tém nie ucierpi, wszakże wzgląd konieczny zrobienia wrażenia silnego na czytelniku, uniesienia go w świat tych ideałów doskonałości moralnej i poświęcenia się, powinien był przeważyc

nad szerokiem rozwodzeniem się i wykładem tajemnic i prawd chrześcijańskich, które i systematyczniej i ściślej i zupełnie są wyluszczone w księgach poświęconych tej nauce. Dwóch celów naraz ściagać nie można, bo się z obydwoma można minąć. Nie śmiem jednak powiedzieć, żeby Felicytę zarzut ten dotyczyć mógł w całej obszerności; ale to pewna, że większa ściśliwość nie byłaby zaszkodziła jej wewnętrznej wartości, a czytelnik łatwiej ulegałby wpływowi cudownego uroku, jakim tchną te wzniosłe postacie kartagińskich męczenników.

O całym tym utworze niepodobna zdać inaczej sprawy, tylko przebiegając treść jego jak się sama rozwija scenami i aktami. Rzecz dzieje się w Afryce, Kartaginie na początku 3go wieku za panowania Cezarów: Gety i Karakalli.

Prokonsul Afryki Olimpiusz wita powracającego z Rzymu prefekta Kartagi, a osobistego swego przyjaciela Aspera, i dowiaduje się niepokojących dla siebie wieści: że dwór Cezarski nie jest zadowolony z jego zbyt łagodnych rządów w Afryce; niejaki Vulpiskus słuźalec Karakalli a zacięty wróg Olimpiusza,

tak uprzedził przeciw niemu obu Cesarzów, że wydali edykt upominający go o surowsze postępowanie, mianowicie z Chrześcianami, co więcej, ten sam Vulpiskus za chwilę stanie w Afryce z owym edyktem i będzie miał oko na rządy Prokonsula wzbudzające podejrzenie. Ta wieść napełnia Olimpiusza przerażeniem, przyznaje się Asperowi, że nie pojmuje za co Chrześcianie cierpią tyle prześladowań, bo on znając ich niewinność nie może przenieść na siebie tych okrucieństw.

I nieraz w myślach, sam z trwogą się prawie
Na sąd przed sobą Prokonsulem stawię.

Wtém kapłan przychodzi w imieniu Arcykapłana z zaproszeniem do świątyni na obchód uroczysty zdobycia Kartagi, która

„Sama czió musi pamięć swęj zniewagi.“

Na tym obchodzie Olimpiusz zdradza się oburzeniem na słowa chóru opiewającego, że ktokolwiek chciałby być wrogiem Romy, dla tego niema przytułku w całym świecie, myśl buntu przeciw edyktowi budzi się w nim, Kapłani szepcą między sobą, że Prokonsul jest skrytym Chrześcianinem, drugi przeczy, powiadając, że zakochany w Felicycie córce

Arcykapłana. — Tymczasem Feliccyta kapłanka Feba ma ogłosić wyrocznie ludowi...

Gdyż właśnie:

„Samotna u stóp wieszczego trójnoga,
„Czeka natchnienia złotój lutni Boga...”

— Wtém wpada kapłan i donosi Arcykapłanowi, że Feliccyta jego córka zniknęła z przybytku, że znalazł na ziemi stargany wieniec i białą zasłonę Dyany.

Na tę wiadomość Arcykapłan domyśla się, że jego córka została porwaną. Któż sprawcą gwałtu?... tu przystępuje do Olimpiusza:

Słuchaj Rzymianinie!

„Słuchaj! wiesz co mam mówić. Gad i żmija
„Gdy je zbyt depcą, ma jad, co zabija.
„Myśmy zdeptani, lecz krew co w nas płynie,
„Wiedz, że dojrzewa ogniem tego słońca,
„Które wyradza i lwy i szkorpiony...”

Ten wybuch uciśnionego obywatela nieszczęśliwej Kartagi, pełen wielkiego efektu dramatycznego, wprawia w zadziwienie Olimpiusza, który nie wie o porwaniu Feliccyty i z trudnością tylko w obec zrozpaczonego ojca uniewinnia się z podejrzania, aby mu wyznać, że kocha Feliccytę, i właśnie dziś nasto-

nowił prosić go o jęj rękę. W zniknięciu jęj widzi tylko niepojętą zawilość i błaga aby ją odszukał... W tak gorącej chwili niepewności, odgłos trąb zwiastuje przybycie rzymskiego gońca — Vulpiska!

„O! trzebaż losu! by wróg mego życia

„Wybrał tę chwilę swojego przybycia!“

Woła Olimpiusz w rozpacz i zaklina Arcykapłana, aby spokojnie przyjął gońca Cesarów.

Przybywający Vulpiskus odczytuje edykt cesarski, karcący Olimpiusza, że dopuszcza Chrześcianom odprawiać bezbożne obrzędy, lecz wina przebaczona mu będzie, jeżeli się poprawi, przyczem obwieszcza jako boska cześć ma być oddawana posągowi zmarłego cesarza Sewera.

„Ty sam, kapłani i lud cały spolem
 Palcie kadzidla i bijcie mu czołem.
 Kto zaś doniesion byłby do urzędu,
 Jako uczestnik Chrześcian obrzędu,
 Ten, prócz palenia kadzidl i pokłonu
 Winien poprzysiądz u podnóża tronu
 Cześć naszym Bogom i nam posłuszeństwo,
 Łaska pokornym, śmierć za przeciwieństwo.“

Widzimy w tym edykcie zawiązek do nowego prześladowania, przypominający Szyllerowską czapkę Geslera, nie przeto, żeby poeta nasz był naśladowcą téj myśli, lecz, że to jedna ze zwykłych form tyranii wystawiających na próbę posłuszeństwo niewolników. Olimpiusz poddając się woli obu Cezarów, usiłuje tłumaczyć swoje postępowanie z Chrześcianami.

„Że łez nie piję, że w krwi się nie pławię,
 Toć przecie w żadnem nie kazano prawie,
 Ani mieć chciano Prokonsula celem
 By sam był sędzią i donosicielem.“

Trudno ściagać winnych, kiedy ich nikt nie donosi, kiedy cesarze: Antonin, Pius i Marek, Aureliusz kazali fałszywych donosicieli karać.

„Miałoby prawo uwłaczać powadze,
 „Że się niewinny nie karze w Kartadze,
 „Lub że w niej świadectw fałszywych narzędzia
 „Znaleść nie może, i nie szuka sędzia?“

Wreszcie jakież owoc przyniosły srogie męczarnie i prześladowania? Czyliż Chrześcianie dali się zachwiać temi okrucieństwami, oni,
 „...co ból szczęściem, a śmierć zważ zwycięstwem?“

Polityka nakazywała mu lekce ważyć tę sektę, która w prześladowaniu rosła... lecz jeśli inaczej chce wola Cezarów, ogłasza, że jutro rozpoczną się igrzyska na cześć Septima Sewera, i każdy, kto by odmówił ofiary, śmiercią zginie. Po tej urzędowej scenie Olimpiusz oddał się z Vulpiskiem. — Wbiegają kapłani, wyprawieni na odszukanie Felicyty, zdając sprawę, że zbiegłszy wszystkie ścieżki świętego gaju, dowiedzieli się od pasterza, jako widział dwie niewiasty, jedną podeszłą drugą młodą spieszącą w stronę pieczar Chrześcijańskich, gdzie się odbywają tajemnicze ich obrzędy.

Wiadomość ta rozpala zemstę w Arcykapłanie; chwyta się tego pozoru tém silniej, że fanatyzm jego rozbudzony został świeżo ogłoszonym edyktem. — Wszakże lubo nie przypuszcza, żeby tą młodą niewiastą mogła być jego córka, postanawia iść na czele straży szukać jęj w pieczarach i ten sam rozkaz wydaje kapłanom :

„Idźcie! a hasło — „na śmierć Chrześcianie!“

Na tém się kończy akt pierwszy pełen ak-

cyi, scen patetycznych i silnie zawiązanego interesu.

Akt drugi w pieczarach Chrześcian, zgromadzonych na obrzęd przyjmowania Ciała i Krwie pańskiej, zaczyna się wspaniałym religijnym hymnem. — Zebraniu przewodniczy Satur biskup kartagiński; oświadcza on swoim owieczkom, jako zewsząd doszły go listy pełne nadziei dla krzewiącej się wiary ... Deodatus Trybun legii Afrykańskiej, wybucha całą zapalczewością żołnierza wierzącego w miecz, że czas już położyć koniec tym cierpieniom, że:

„Co ma być kiedyś, czyżby ludzką siłą
Nie można sprawić, aby rychlej było?“

Wszakże Rzym coraz popada w niemoc,
a Chrześcianie coraz silniejsi i liczbą i duchem—
Niech tylko hasło dane będzie, a

„Tysiące braci jak dziś na męczeństwo,
Czyżby nie radziej biegli na zwycięstwo,
By z mocy piekieł Niebu podbić ziemię,
I stargać więzy, które ludzkie plemię
Wlec jeszcze musi przez wiekowe lata,
Nim je przegryzie rdza krwi i łez strata?!“

Satur, święty biskup poskramia porywczosć
młodziana.

„O Deodacie! tybyś krwią Chrystusa
 Chciał tylko spełnić dzieło krwi Brutusa;
 Krzyż zrobić godłem krzywd rzymskiego ludu...“

Poklasnąć tylko tym prześlicznym wierszom oddającym tak wybornie to usposobienie niektórych umysłów stosujących religię do politycznych widoków... Cała ta odpowiedź Satura należy do najpiękniejszych miejsc; trzeba ją całą powtórzyć, tyle w niej głębokiej prawdy, przynajmniej ten ustęp przytoczę, gdzie kreśli co ma czynić Chrześcianin względem swej ziemskiej ojczyzny.

„.. Chrześcianin w ojczyźnie widomój,
 Nie służyć tylko jój chwale znikomej,
 Lub grzesznej pysze: lecz całą swą siłą
 Czynić ma, Bogu by się stała miłą.
 A w jakich cnót ją chce widzieć ozdobie
 Takie ma naprzód rozwijać sam w sobie.
 Wówczas, jeżeli Pan przyjmie te chęci,
 W pomoc mu przyjdą aniołowie święci,
 Słowom i czynom jego, Boską władzą,
 Nad ludźmi siłę Boskiej woli dadzą.
 Aż na wzór jego stanie naród cały
 W wieńcu tryumfu i cnotliwej chwały.“

Artaxyzus filozof szkoły Alexandryjskiej uzupełniając niby zdanie Satura, dodaje, że

prawda nietylko siłą oreża się krzewi, ale i słowem — że wprzód należy słowem roznieść prawdę między ludźmi, rzucić iskry, które Bóg później w płomień rozdmucha. — Na tę teorię propagandy, jakże zwyczajko odpowiada Satur: Mylisz się, jeżeli sądzisz, że ucząc, co sam umiesz, staniesz się obrazem Mistrza.

„W słowie Chrystusa był czyn i cud razem...
Czyn, Bóg w człowieku; cud, moc Ojca w Synu.
Nam grzesznym cuda niedawne; — lecz czynu
Na wsparcie prawdy naszych słów potrzeba,
By w nie cud łaski moc swą natchnął z nieba.“

Daleko zatem pewniejsza droga:

„Nie jak wieść drugich, lecz jak iść do Boga.
Bo wonczas każdy prostując w pokorze
Własne swe ścieżki, i bratu też może
Dać wzór i radę lub go w błędnej drodze
Wstrzymać, miłością nie pychą w przestrodze.“

W tej odpowiedzi Satury, skreślił poeta całą pychę tych narzucających się mędrków i całą jałowość ich nauki opartej na gołym rozumie, niechcącej nic wiedzieć o działaniu łaski Boskiej na słowo, nic o pokorze i miłości.

„Z wiary w szatana są filozofowie,
Co sami prawdą głoszą się w swém słowie,

I jak kłamliwych Sybilli wyroki
 Myśli swe płaczą w słów ciemnych obłoki,
 Jakby chcąc przez to ujść za Bogów w tłumie,
 Że ich nie pojmie nikt i nie zrozumie.“

Obaliwszy zwycięzko argumenta wyznawcy siły materyjalnej i wyznawcy rozumu, zostaje Saturowi trzeci jeszcze przeciwnik Kwintus, młodzian libijski, uosobienie młodzieńczego zapału, który dowodzi mu potrzebę ofiary męczeńskiej — wszakże jak powiada, — kiedy wszędzie tylu wyznawców idzie na stosy, lub na pożarcie zwierząt, dlaczegoż tak mało ognia w kościele Kartagi, dlaczegoż tulim się pod łaskawe skrzydło Prokonsula rzymskiego? dla czego czas marnujemy na modlitwach, rozprawach i posługach w pielęgnowaniu chorych? Czuję, że nie zgrzeszę, jeżeli niepomny na nic, wyrwę się i wyzwę do walki Romę i bogów pogańskich.

„W kim duch mnie równy, — ze mną na męczeństwo!
 Im więcej ofiar, tém bliższe zwycięstwo.“

Deklamacyę pyszałka nieoglądającego się na wolę starszych, potężnie ściera Saturn.

„Że krew młodzieńcza wre ogniem w twych żyłach,
 Zkąd śmiesz tak ufać w ducha twego siłach?“

Wszakżeś nie cierpiał jeszcze byś marzył
tylko o zwycięztwach. — Bog chce ofiary, ale
z powinności nie z szalu, ofiary z posłuszeń-
stwa, nie z pychy.

„Lecz chcieć być nadto w uniesieniu dzikiem ;
Nie już ofiarą, lecz i ofiarnikiem ;
Prześladowania stawać się pochodnią
O! to już nie jest szaleństwem — to zbrodnią.“

I w rzeczy samej, gdy przyjdzie chwila
próby na ognistego młodzieńca, on jeden się
zaprze i nie dotrzyma. Wszystkie te trzy posta-
cie są wiernym wizerunkiem trzech głównych
typów grających zazwyczaj rolę we wszelkich
walkach, gdzie idzie o zwycięztwo jakiej pra-
wdy religijnej, czy politycznej. — Siła, puste
gadulstwo, i nierozważna gwałtowność zapa-
leńca — są to żywioły psujące najświętsze
dzieła, bo co chwila stér ich wytrącają z po-
ważnych rąk mędrców pańskich, lub mężów
powołanych do przewodniczenia. — Długa ta
scena zbyt za długa, bo więcej w rozumowa-
niach niż w akcji odbywająca się, przeszkadza
szybkemu biegowi dramatu, jak może prze-
szkadzać rozłożysta kita piór na hełmie rycerza
w boju, chociaż czyni go groźniejszym i oka-

zalszym. Opuścić tę scenę, byłaby prawdziwa szkoda, bo to perła w swoim rodzaju — można było jednak mniej pokazać w niej intencji dania przestrogi terażniejszości; te same myśli bardziej przelane w działanie, mogłyby silniejsze wyrzucić wrażenie. Ależ to uwaga tylko, zaiste niewczesna, kiedy całość już związana przemawia tak silnie do duszy czytelnika.

Podczas, gdy te rozprawy toczą się w gronie Chrześcian, jeden z wiernych oznajmia przybycie dwóch niewiast pragnących mówić z Saturem na osobności. — Satur przypomina sobie sen tajemniczy tej nocy i przewidując nadchodzącą chwilę ciężkich doświadczeń, oddala i błogosławi obecnych. Niewiasty te, — to Felicycyta i jej powiernica Kryspina. — Satur przewiduje, jakie klęski spadną na jego owieczki przez przybycie córki Arcykapłana, lecz nieodpycha jej, bo nieszczęśliwa przychodzi wzywać pomocy. Tu następuje długie wyznanie Felicycyty, jak będąc kapłanką Dianny, ujrzała raz Olimpiusza w czasie uroczystości i pochała go całą siłą duszy, jak znowu raz w poświęconym gaju zadumana przy świetle księżyca ujrzała go nagle przed sobą — w jednej chwili spełniały się jej najpiękniejsze marze-

nia, ziemia pod nią drżała, wzrok ćmił się...
 lecz dumny Rzymianin zamiast odgadnąć i po-
 jąć jej wzruszenie, jej tajemną trwogę — tego-
 dła tajemnicze świętości uczuć — z tryumfu-
 jącym, spokojnym obliczem, jakby zstępujący
 z nieba bożek po należną mu ofiarę:

„Pierwszem słowem, śmiałem, poufałem,
 Jak pan ku brance: serca mego wiarę
 Zabił ku sobie, i z dumnym zapalem
 Postąpił ku mnie i podniósł ramiona
 Jakby mię z łaski przygarniał do łona.—“

W oczach Afrykanki odmalowała się
 wzgarda obrażonej czystości dziewiczej, serce
 czuło się upokorzone... Odtąd zaczęły się stra-
 szne dla niej męczarnie. — Sierota bez matki,
 nie miała komu zwierzyć swoich udręczeń. —
 Ojciec kochał ją, ale nie mogliby zrozumieć, bo
 owszem mając sobie za szczęście związek z Na-
 miestnikiem Romy, rozniecał raczej ten ogień
 w sercu córki i zalecał jej występować w pu-
 blicznych ofiarach i ceremoniach. Z początku
 dogadzało to Felicycie, bo wtedy mogła pa-
 trzeć na luby przedmiot — lecz po owem stra-
 sznym dla niej spotkaniu — wolałaby raczej
 pójść za przykładem zrozpaczonej Safony, niż
 wystąpić z Olimpiuszem na czele chóru.... —

Piastunka jej Kryspina przyjęła zwierzenia się dziewicy, i stała się jedyną ulgą w cierpieniach — Kryspina bowiem była Chrześcianką, ona nawet jej matkę przy śmierci ochrzciła:

„W zwierzaniu przed nią wszystkich mych boleści
Znalazłam echo w jęj duszy niewieścięj,
I głos zbawienia poczułam w jęj słowie;
Ojczy! tyś resztę dokonał; tyś wiarę
Moję oświecił; ty oznaczył drogę
Mysłom i sercu, ty wskazał ofiarę
Którą uczynić chciałam i nie mogę.“

Bo Olimpiusz zawsze panuje w jęj duszy — poczuła to, gdy wewnętrzny głos woli Bożęj kazał jęj wyrzec się całkiem lub ziemi lub nieba.... Właśnie wczoraj Arcykapłan objawił wolę swoję, żeby wystąpiła na czele chóru w uroczystości publicznej.

„Błagała — ojciec był nieubłagany — Cóż począć,
Uleść? lub jawnie złamać posłuszeństwo?
Wyrzec się Boga, lub iść na męczeństwo
Bez żadnej siły w duszy, prócz rozpaczy?“

Ogarnęły ją myśli samobójcze — lecz Kryspina podała jej sposób ująć z świątyni i dostać się do pieczary Chrześcian, aby prosić o chrzest, jeżeli godna tęg łaski, a potem, aby

ją wyprawić gdzie na puszcze Tebaidy, dla uniknięcia zemsty Arcykapłana i Rzymian.

Satur każe przygotować do obrzędu chrztu mającego się spełnić na Felicycie, tém śpieszniej, że właśnie przyniesiono wieść, jako każdy musi składać ofiarę bałwochwalczą przed posągiem Sewera, a ktoby się wzbraniał, umrze...

Następuje ceremonia chrztu Felicyty, — wśród chórów wiernych wyznawców Krzyża; poczem Satur powierza obie niewiasty Deodotowi i każe mu zaprowadzić je do Biskupa Scylity, aby je ukrył w jakiej jaskini.

Tymczasem coraz bardziej przerażające wieści nadchodzą z miasta. — Satur każe się rozpierzchnąć Chrześcianom i szukać bezpiecznego ukrycia. — Gwałtowny młodzianin Kwintus wybucha przeciw niemu, że wiedzie w błąd owczarnią, każąc jej unikać najpiękniejszej spłosobności do poniesienia męczeństwa... Gromi go Satur za ten czczy zapał wzdętej pychy, powiadając, że jako pasterz trzody sam może się poświęcić za nią, ale nikomu nie może narzucać poświęcenia się... — Następują błogosławieństwa i pożegnania, lecz gdy już opuścić mają podziemne schronie-

nie, otaczają ich strażę Arcykapłana, który pałający zemstą za porwaną córkę każe imać i wiązać Chrześcian... Kilka tych scen jest pełnych dramatycznego życia, między innymi epizod żołnierza Pomponiusza, który między Chrześcianami znajduje Perpetuę, żonę własną z dziećmi... Wtém przyprowadzają dwie niewiasty w zasłonach. Arcykapłan posuwa się, aby odkryć twarz jednej z nich... Satur go wstrzymuje:

„Ty nie przeczuwasz co się pod nią tai...”

Felicyta podnosi zasłonę:

„Jam jest, mój Ojczy!”

ARCYKAPŁAN.

O córko! o Febie!

Teraz pojmuję, ty byłaś ich branką,
Śmiercią ich wszystkich pomszczę się za ciebie;
O pójdź, pójdź!

FELICYTA.

Ojczy! jam jest Chrześcianką.

To wyznanie uderza gromem Arcykapła-

na Feba, który pada zemdlony na ręce Kapłanów...

Aczkolwiek zemdleńie nie jest nową sytuacją w wielkich katastrofach dramatycznych, jednakowoż tutaj nie razi i odpowiada zarówno charakterowi osoby, jak wyobrażeniom religijnym. Arcykapłan Kartagińczyk, służąc urzędowej religii narzuconej temu narodowi przez Romę, nie może być fanatykiem gotowym zamordować własne dziecko odstępcze... Widzieliśmy przytém jakimi uczuciami wybuchnął przeciw Olimpiuszowi, gdy go posądził o porwanie córki. — To pewna, że w początku trzeciego wieku pogańskie wyobrażenia wszędzie były zachwiane i podkopane nie tylko samym wpływem Chrześcijaństwa, ale przez filozofów i przez tych samych Cezarów nawet, co różnych Bogów wprowadzali do Rzymu, lub sobie cześć boską wyrządzać kazali... Wszystkie te charaktery pogan w dramacie Odyńca, są zachwiane i miękkie, wyjąwszy jednego Vulpiska, który nie w imię wyobrażeń religijnych stoi niezgięty i spełnia okrutne wyroki Romy, ale jako reprezentant władzy Cezarów, surowy urzędnik, którego zapewne mało obchodzą różnice wyznań,

a wszystkiém jest litera prawa i własna posada.

Drugi ten akt zakończy się pięknym obrazem miłości Chrześcijańskiej, przebaczącej prześladowcom, a nawet niosącej pomoc i ulgę cierpiącemu prześladowcy. Satur, już jako więzień, wydziera się swoim oprawcom i sam jeden trzeźwi i przywraca do życia nieprzyjaciela swego Arcykapłana; spełniwszy zaś ten chrześcijański uczynek, obraca się do kapłanów i mówi:

„Teraz jam znów więźniem waszym.“

Początkowe cztery sceny trzeciego aktu są odbiciem się wrażenia o wiadomój ucieczce Felicyty do pieczar chrześcijańskich, na umysłach i charakterach, że tak powiem, urzędowego świata rzymskiego. Olimpiusz zrazu zostający w niepewności o losie córki arcykapłana Dianny, robi sobie nadzieję, że ojciec ją odszuka i że będzie mógł przyprowadzić zamiar swój do skutku i pojąć ją za żonę. Co się zaś tycze dalszego postępowania w urzędzie prokonsularnym, powiada, że nie odstąpi od raz przyjętej maxymy: łagodnych i wyrozumiałych rządów i dlatego właśnie na dzień następny nakazał publiczną ofiarę, aby dono-

sicielom niewiele zostawić czasu do robienia donoszeń, bo jak mówi:

„Tak i Cezarom oddam hold powinny,
I rąk mych we krwi nie zbroczę niewinnój.“

Asper przyjaciel jego, rodzaj malkontenta, nalega nań, aby zaufał przychylnym legiom, zrzucił jarzmo i ogłosił się niepodległym panem, co prędzej lub później musi nastąpić, zwłaszcza, że dzisiejsi Cezarowie krwi pragnący nie dadzą mu rządzić po sprawiedliwości. Przybycie Vulpiska, tego ajenta dworu rzymskiego, potwierdza tę konieczność, donosi on bowiem, to co już wiemy z drugiego aktu, że w skutek łagodności dla Chrześcian sekta ta zaraziła same legie, a nawet, o zgrozo! córka Arcykapłana znalezioną została wśród zgromadzenia Chrześcian! — Olimpiusz nazywa to fałszem, lecz wpadający Arcykapłan wyznaje co go spotkało: córka jego została za pomocą czarów zwiedzioną przez Chrześcian. Nie pozostaje nic innego tylko wyrwać ją z błędu! Biedny ojciec wzywa promieni Feba, aby rozproszyły jej ciemności.... Olimpiusz w rozpacz: naciskany od Vulpiska, nie ma sposobu uniewinnić Felicyty: oskarżona o na-

leżenie do wyznawców Chrystusa, musi ponieść śmierć niechybną — lecz chyba jedna miłość ocali ją... Rozkochany Prokonsul wyobraża sobie, że to ziemskie uczucie wyrwie tę nową Eurydykę z przepaści Plutonowych. — Wyprawia zatem Aspera, aby Arcykapłanowi raz jeszcze powtórzył, że Felicytę chce pojąć za żonę. — W jego rozumieniu szczęście być przezeń kochanym, powinno przeważać w umyśle dziewicy ów nierozsądny rozpaczliwy krok rzucenia się w potępioną sektę.

Sceny te uzupełniają myśl poprzedzającego aktu, lubo przyczyniają się do wybitniejszego odznaczenia charakterów, lubo nastreżają moment dramatyczny, w którym Olimpiusz walczy z powinnościami powierzonych mu władzy a skłonnościami serca. — wszelako w dramacie ściśle pisanym dla sceny, nie mogłyby się ostać, z tego powodu, że wódz wprzód już wiedział o całym zdarzeniu z Felicytą, zanim się Olimpiusz i inni Rzymianie dowiedzieli o niém.

Tutaj niech mi będzie wolno zrobić uwagę co do dramatów — poematów, czyli poematów dramatycznych w ogóle: jestto rodzaj całkiem dzisiejszy, to prawda, ale wynalazek

tęj nowej formy w poezji, niewielki przynosi zaszczyt nowożytnej twórczości, dlatego, że właściwie nie jest żadnym wynalazkiem, tylko pomieszaniem wyobrażeń ścisłych o naturze pewnych gatunków i form w poezji. Wiadomo, że właściwy dramat pilnuje tylko samej rzeczy czyli akcji; wszystkie podobne opisy, reflexy, rozumowania, jeżeli się nie łączą wprost z głównym interesem, zostają obojętne dla widza. W opowieści czyli epos, interes może się dzielić, gdyż nic nie nagli do pośpiechu, tam, gdzie się całe życie rozwija przed nami, przeciwnie momenta w dramacie są policzone. Arystotelesowe przepisy tak są wysane z samej natury naszej, że choć lekce waży je jaka generacya, to następna rehabilituje. Toż i Felicyta o wiele byłaby zyskała przez ujęcie tego przedmiotu w ramy ścisłego dramatu; nigdy bowiem choć najpiękniejsze, lecz luźne obrazki dramatyczne, nie robią tak potężnego wrażenia, jak kiedy konieczność snuje scenę ze sceny i tworzy skończoną, harmonijną całość.

W Felicycie częste przerzucania sceny na różne miejsca, sprawują pewien zamęt i osłabiają znaczenie głównych figur. Po takiej ka-

tastrofie jaka zaszła w końcu drugiego aktu, kiedy Arcykapłan znalazł swą córkę w pośrodku zgromadzenia Chrześcian, oczekujemy teraz walki między ojcem a córką, między poganinem a chrześcianką, któraż strona wyjdzie zwycięzko? — Felicycyta w więzieniu modli się — ale z takim poddaniem się jakby już była wytrawną chrześcianką, co wszystkie uciechy i burze ziemskie poświęca w pokorze i prosi tylko o śmierć, w nadziei, że jej krew obróci się w źródło nawrócenia dla obu: to jest dla ojca i Olimpiusza... Przypuszczam, że za łaską Boską może być prędkie i cudowne nawrócenie, lecz biorąc rzeczy po ludzku, zdawałoby się, że Felicycyta powinna była silniejszą staczać walkę z ziemską namiętnością dla Olimpiusza; wszak i zwycięztwo zaszczytniejsze jest, im większą ponosi ofiarę. Poeta trudności te ominął tym sposobem, że Felicycie włożył w usta bierną modlitwę, w której nie ma nawet przygotowania się do tego, co musi nastąpić, to jest do rozprawy z ojcem. Jakoż w następnej scenie widzimy Arcykapłana przychodzącego z wyrzutami. — Słabe są jego argumenta co do wyższości religii oficjalnej rzymskiej nad chrześcijaństwem i prędko z nie-

mi kończy, za to próbuje poruszyć ją w imie rodzicielskich uczuć: wszak od dzieciństwa zastępował dla niej miejsce matki, a jeżeli sobie ma co do wyrzucenia, to chyba

„...że dar bogów w tobie (w córce)
Więcej niż dawców nieraz ważył sobie.

Obudziwszy te najtkliwsze struny miłości dziecięcej robi zwrot wymowny i pyta:

„... Córko! czém jest ten Bóg, który
Każe rwać węzły najświętsze natury,
Pozwala dziecku, by samo bezkarnie
Skazało ojca na żal i męczarnie...
Córko! co zbrodnią byłoby we wrogu,
Czém to zwać będziesz w nowym swoim Bogu?“

Odpowiedź ugodzonej tém pytaniem Felicyty należy do miejsc szczęśliwie i głęboko pomysłanych. Pada mu do nóg i przyznaje się, że tylko samolubna bojaźń przywiodła ją do tego kroku.

„Nie Bóg mi kazał uchodzić od ciebie.
On mi przed tobą kazał wyznać Siebie,
Wyznać ci prawdę, znieść wszelką mą dołę,
I w nim zaufać pełniąc Jego wolę.
A ja się bojąc twych uczuć wybuchu,
O wsparciu Jego zwątpiłam w mym duchu;
I śmiałam stanąć w świętym Jego progu,
Niewdzięczna ojcu, nieposłuszna Bogu!“

Lecz Bóg pewnie jój ten grzech przebaczył, teraz niech i ojciec przebaczy, a przekonaj się, jaka to cześć córki chrześcianki dla rodziców, bo ta religia nietylko każe kochać ojca, ale nawet wroga,

„...i nic nie rozrywa,

Lecz tylko wszystkie uświęca ogniwa.“

To wszystko przecież nie jest zbrodnią, aby ją miano wlec na pożarcie zwierzętom, i ty sam ojcze! nie znajdziesz nic zdrożnego w tej nauce... Do tych argumentów mogących rozbroić nietylko ojca, lecz najsurowszego sędziego, przybywa jeszcze ostatni: Felicyta wyznaje, że może Pan Bóg przeznaczył jój skończyć to, co jój matka zaczęła — była bowiem Chrzescianka..... Arcykapłan wybucha i zadaje jój kłam, lecz Felicyta pokazuje własnoręczne pismo nieboszczki matki, która poleca córce, aby służąc prawdziwemu Bogu, cnotami swemi i miłością nawróciła ojca. — Tyle dowodów zachwiały do reszty słaby charakter i słabszą jeszcze wiarę Arcykapłana Feba, z gwałtowności przechodzi w mięką prośbę i pozwalając córce wyznawać nową wiarę, błaga jój, aby ochraniała zwątloną je-

go starość, wszak jest dla niej droga ocalenia; Olimpiusz ją kocha i prosi o rękę.. Z wykrzyku Felicyty: On? o mój Boże!“ odgaduje uszczęśliwiony ojciec, że jest nadzieja wyrwania ją prześladowcom... Skłonność serca zagadała tak głośno w wejrzeniu Felicyty, że starzec bojąc się, aby ta zbawcza nić nie zerwała się w rozprawach o wierze, porzuca więzienie i zostawia ją rozmyślanii i samotności.

W całym trzecim akcie właściwie jedna ta scena: ojca z córką ma znaczenie; inne sceny są tylko amplifikacją poprzedzającego aktu.

Lirycznym monologiem Olimpiusza zaczyna się czwarty akt. Prokonsul rzymski melancholizuje jak sentymentalny kochanek skarżąc się na marność sławy wojennej, na nicność zaszczytów obywatelskich, zgoła na marę wielkości opartej tylko na człowieku, filozofom wyrzuca, że struli w nim wiarę, poetom, że w jego sercu zapalili nieczyste ognie rozpusty, tak, iż teraz czcze i przesycone, nie jest w stanie wznieść się do jasnoskrzydłej Felicyty pierzchającej przed nim... Przyznam się że zamiast tych lirycznych apostrof wiotkich jak pajęczyna, wołałbym był chwilkę hamle-

tycznej reflexyi, godnej męża władającego częścią ogromnego Imperium, byłoby to się lepiej zgadzało z jego stanowiskiem i charakterem, tém bardziej, że Olimpiusz, jak to sam powtarza, ma się za Rzymianina w całym historycznym znaczeniu tego wyrazu. W następnej scenie przybywa powiernik jego Asper, naradzają się nad środkami ocalenia Felicyty, Asper upewnia go, że legiony i lud są za nim, byle miał szczerzy zamiar osiąść tron Cezarów, a każdy za niego krew przeleje — przeciwnie, gdyby się domyślano, że celem powstania jest tylko ocalenie dziewicy, nie ręczy za gotowość. Olimpiusz oburza się; dla podłej zgrai co nic nie umie poświęcić, on miałby poświęcić miłość, szczęście i kochankę?

„Przez wszystkie Bogi! Cóż mię może nęcić?
 Sława? — widziałeś zem miał jój dowoli;
 Władza? — Pół świata słucha mojej woli.
 Szczęście narodów? — O był czas, że szczerze
 Wierząc w nie, krew dlań lałem, gdym w Sewerze
 Rękojmię jego mniemał jednać światu!
 Lecz dziś znam wartość Romy majestatu:
 Wartość jój włości i jój władzy, w której
 Więcej jest wstydu i krwi, jak purpury:
 Bym pierwszy tylko w niewolników tłumie
 Chciał, służąc wszystkich chciwości i dumie,

Drzeć przed wszystkimi: By Didius nowy
 Na wagę złota nie kupił mój głowy,
 Lub pretor w prochu nie skalał przed gminem?
 O! nazbyt jeszcze jestem Rzymianinem!
 Niech idą za mną z miłości i ofiary;
 Niech mi w niej dadzą szczęście: a ich prace
 Szczęściem ich samych i świata odpłacę.“

Piękny to jest wybuch szlachetnego serca,
 lecz więcej młodzieńcowi przystojny, niż pro-
 konsulowi Afryki, który przecież powinien
 był znać ludzi, a jeszcze pogan, w chwili zwie-
 trzałych cnót butwiejącego Rzymu; jest tam
 nawet pewna niekonsekwencya: wprzód bo-
 wiem jaskrawemi farbami maluje nikezemność
 tłumów niepojmujących żadnego wyższego
 celu, a następnie chciałby, żeby ten sam tłum
 szedł za nim z *miłości i wiary*...

W sali tronowej spaniale przybranój, wi-
 dzimy wchodzącą Felicytę przyprowadzoną
 pod strażą z więzienia. W monologu opowia-
 da, jak umyślnie dla próby, czy urągowiska,
 wiedziono ją około cyrku, gdzie widziała przy-
 gotowane stopy i narzędzia męki; słyszała ryk
 zwierząt dzikich mających rozdzierać ofiary...
 Któż chciał ją przerazić widokiem? Oto Olim-
 piusz; sam to wyznaje w najbliższej scenie,

lecz nie chciał przerazić ją strachem, tylko odsłonić prawdę nagą i drugą prawdę swego serca:

„o! ja kocham ciebie!

Tys rozjaśniła pomrok duszy mojej,
Tchnęła w nią świętość niewinności swojej;
Samym mym wstydem i żalem zgryzoty,
Tys mię z miękkości zbudziła do enoty;
Przez ciebie znowu jestem Rzymianinem.
O skończ twe dzieło!...

FELICYTA.

Bądź Chrześcianinem,
Olimpiuszu! a Bóg przez mię skończy,
Wszystko co jeszcze z tym światem mię łączy.“

Tu się rozwija walka między Prokonsulem a Felicytą. Oboje wiedzą o wzajemnym przywiązaniu do siebie, ale dziewczica Chrześciana nie pojmuje innej miłości tylko w połączeniu się duchowem przez uznanie jednego z nią Boga. Olimpiusz przepojony pogańskimi wyobrażeniami, zastawia się argumentem, że on bóstwo czci w blasku jój oka, w stworzeniu. Wyborną mu daje na to odpowiedź, która i dzisiejszych panteistów wymownie ściera:

Dzieje hist.

„O! znam ja waszą cześć Boga w naturze,
 W cudach sztuk waszych w plótnie i marmurze,
 Cześć pychy ludzkiej, której Bóg widomy:
 W stworzeniu. Człowiek ludzkości pan Romy.“

Nie o takim ona Bogu mu obwieszcza, ale o żyjącym w sobie udzielnie, przedwiecznie i wszędzie. — Olimpiusz przyznaje, że każdy człowiek czci takie bóstwo. — Felicyta przeczy, powiadając, że Boga nikt nie pojmie przez siebie, przez rozum, bo ci co go tak pojmowali, oddawali tylko cześć grzeszną kruszcom, bydłom, płazom. Bóg Chrześcijański zstąpił na ziemię i objawił prawdę, i własną krwią odkupił grzeszny ród ludzki.

„W Imie Jego

Uwierz! a poznasz Ojca Niebieskiego,
 A Duch — Bóg z Boga, w Trójcy Nierozdzielny,
 Zstąpi w twą duszę, jak dzień nieśmiertelny.

OLIMPIUSZ.

Któż mi rozjaśni ten labirynt ciemnic?
 Kto da moc pojąć prawdę tych tajemnic?

FELICYTA.

Łaska Jezusa Chrystusa! o którą
 Błagaj z miłością, a czekaj z pokorą.

OLIMPIUSZ.

Uczę mię błagać, o ty! czy natchnięta,
 Czy obłąkana, lecz wzdy niepojęta!
 Wzdy najpiękniejsza i równie mi droga!
 Kochasz mię?

FELICYTA.

Kocham w Bogu i dla Boga,
 Kocham, jak z ludzi nikt nie kochał ciebie.

OLIMPIUSZ.

Bądź moją!

FELICYTA.

Jestem, na ziemi i w Niebie,
 Uwierz!

OLIMPIUSZ.

Dziewico! w twych słowach i wzroku,
 Czuję dwuznaczność ciemnego wyroku.
 Krótko i jasno: oddaj mi twą rękę.

FELICYTA.

Uwierz!

OLIMPIUSZ.

To znaczy: idź na śmierć i mękę.

FELICYTA.

Pójdziemy razem, i chwilą gorzkości
Okupim wieczność szczęścia i miłości.“

Cała ta scena, z której podałem powyższy ustęp jest streszczeniem walki ducha chrześcijańskiego ze zmysłowością pogańską; dziewica wszystko gotowa poświęcić dla Chrystusa, nawet najmilsze uczucie miłości dla ukochanego. — Olimpiusz wszystko pojmuje, na wszystko się zgadza, ale pojąć nie może, jak szczęście miłości można oddać za duszne zbawienie, jak śmierć ponosić doczesną, dla wiecznego żywota. Jakoż pośrednią obierając drogę, powiada jój: jeżeli Bóg twój patrzy w głąb serca, tedy nie poczyta ci za występki, jeżeli dla pozoru rozbroisz prawo i rzucisz bałwanom szczyptę kadzidła. Chrześcianka odpycha ten niegodny jój wybieg:

„Stało się! zegnaj! Tyś sędzia, jam branka.

„Sądz jak syn Romy! ja, jak Chrześcianka . .

- „Zniosę sąd; o nic nie będę Cię winić.
 „Czyż, co rozumiesz, żeś powinien czynić.
 „Lecz gdy prośb moich Pan wysłucha w Niebie,
 „Olimpiuszu! krew ma zbawi ciebie.“

Felicyta oddała się do więzienia; Olimpiusz w rozpacz, że nie może pojąć Boga Chrześcian; a choćby go i pojął, czyż podobna dla rozognionej wyobraźni niewieściej skazywać się na śmierć niechybną?

Bardzo trafnie schwycony tu rys ówczesnego pogaństwa nieuznającego jeszcze w kobiecie istoty równiej mężczyźnie; wierzone w potęgę rozumu, potęgi ducha nie znano; i dopiero z uznaniem jej niewiasta została podniesioną do godności nowożytniej.

Przybycie Aspera, tego wyobraziciela siły ziemskiej, który w swych rękach trzyma nić spisku, pokrzepia Olimpiusza; drogą ofiary zdaje mu się niepodobną, szaloną, zgubną, pozostaje z ręcznie ukartowane porwanie Felicyty z placu kary. Stała więc narada, że za pomocą Pomponiusza legionisty, którego żona Chrześcianką i skazaną na śmierć, plac męczeński otoczony zostanie przychylną strażą, aby pod jej zasłoną tém łatwiej powiódł się zamiar uprowadzenia Felicyty.

Cały ten plan porwania zdaje się tak niepewnym, tak skomplikowanym, że czytelnik zaraz przewidzieć może nieudanie się. Olimpiusz jednak widocznie uspokojony, poddaje się nadziei.

W końcu tego aktu przenosi nas poeta do więzienia napełnionego Chrześcianami. Pudens dozorca więzienia oznajmia skazanym, że- podług praw Rzymskich każdy zbrodniarz dniem przed śmiercią może zażądać wszystkich przyjemności, aby sobie osłodzić ostatnią kroplę życia. Widok śpiącego Satury, starca z pogodnym obliczem przejmuje go:

„Nie, to nie może być śmiertelny człowiek!“

„Kłękaj razem z innymi więźniami i zostaje widokiem tym nawrócony.

Odtąd zaczyna się zwycięstwo Chrystusa nad pogany, nie już siłą przekonań, nie słowem natchnionem, ale czynem i przykładem. Satur przyjmując nowo nawróconą owieczkę, odrzuca zwykłą rzymską wieczerzę, a natomiast każe Pudensowi przynieść wina i prawnego chleba, poczem opowiada widzenie swoje prorocze we śnie, w którym maluje przejście ducha na łono wieczności. Wspaniały to

obraz! Poeta skreślił .po mistrzowsku duszę
 ulatującą w niebo:

„Poczułem tylko, jakby z myśli głowa,
 Pięrs spadła z serca, ze mnie moje ciało.
 A jam wciąż czując sam siebie i życie,
 Rozwiał się, zda się, jak w Niebios błękicie,
 Jak w świetle słońca, jakby w wiatrów tchnieniu;
 •Byłem we wszystkiém i wszystko w stworzeniu.
 Widziałem razem i jakby wszystkiego
 Piękność i zgodność śród siebie samego
 Czulem, wiedziałem, że jest dziełem Pana.
 A taka radość niewypowiedziana,
 Takie zdumienie, takie uwielbienie,
 Taka cześć, miłość, wdzięczność, zachwycenie,
 Niosły mię w górę: zem jak śpiew natchnięty
 Czuł i brzmiał tylko: Święty, Święty, Święty!
 I wszystko wkoło i przy mnie wy wszyscy,
 Co choć nie widząc, czulem żeście bliscy:
 Wszystko to razem było jedném pieniem
 Światłością, wonią, jakby jedném tchnieniem
 Boga! co każdy z nas, wszystkich myślami,
 Czuł, widział, żeśmy w Nim, a On w nas, z nami.“

Widzenie to całe jest najszczytniejszą
 poezją prawdy chrześcijańskiej. Miejsc takich
 nie brak w Felicycie, która choć nie zawsze
 pod względem artystycznym wolną jest od
 zarzutów krytyki, ale wartością swoją wewnę-

trzną będzie zawsze należeć do prawdziwych klejnotów literatury naszej. Dla takich to właśnie miejsc, prawdziwie namaszczonego niebiańskiego natchnieniem, jak i dla całej dążności przeprowadzonej w tym dramacie, ustępują zwykłe literackie i estetyczne uwagi, bo tu o coś większego idzie niż o sztukę, to jakby hymn na cześć Zbawiciela; wtórujemy mu do chóru, oceniamy i pojmujemy uczuciem, ale nie podciągamy pod przepisy krytyki, bo takowe nie śmia się ocierać o to, co już wchodzi w dogmata wiary, chyba w takim przypadku, jeśliby poeta pozwolił sobie pojmować je i wystawiać inaczej, niż je pojmuje i wystawia kościół. Gdy zaś w Felicycie nigdzie poeta nie odbiegł od żywych prawd i obrzędów kościoła, jeżeli w czém pozwoliłem sobie zrobić uwagę, to tylko w ustępach przedstawiających grę charakterów i namiętności ludzkich. — Akt ten kończy się jak był zwyczaj u Chrześcian, gotujących się na męczeństwo, wspaniałym obrzędem przyjęcia Ciała i Krwie Pańskiej, poczem chór przyszłych męczenników zanucił hymn, a raczej parafrazę modlitwy Pańskiej, pełną wysokich lirycznych piękności i prostoty, niezbędnej tam,

gdzie rzecz sama obejść się powinna bez wszelkich ozdób.

Tłum ludu na forum. Poeta trafnie otwiera piąty akt objawieniem opinii publicznej w gronie obywateli rozmawiających przed świątynią Feba o mającej się spełnić karze na Chrześcianach. Niektórzy cieszą się z tej kariery, drudzy obawiają o poruszenia ludu; inni znów wychwalają ten zapał religijny w Kartadze, najmądrzej jednak odzywa się obywatel:

„Lud w moich oczach, jest to obłok czarny,
 A czarny nawpół z ciemnoty, wpół z brudu.
 Wrzask, to grom jego; myśl, to miech Eola,
 Zkąd wszystkie wiatry na wsze świata strony,
 Dmą wszystkie razem: Eury, Akwilony,
 Czasem i Zefir. A zaś jego wola,
 To istne morze; — gdzie je wiatr popędzi,
 Wre, szumi, huczy, pryska w nieba stropy,
 A w koło pierwszej wyższych skał krawędzi,
 Już tylko skacze i liże jej stopy“

Słowa te charakterystyczne i pełne prawdy; historia stwierdza je tak często, a mimo tego bożyszczę to bywa stawiane na ołtarzu, ale jak zasłona, za którą zwykle ukrywa się jakaś am-

cibya lub zbrodnia, używająca ludu za narzędzie.

Cały początek aktu poświęcony przygotowaniom do uroczystości, Pomponiusz z żołnierzami toruje drogę dla kapłanów, którzy idą processjonalnie niosąc swoje bożyszcza. — Arcykapłan, nieszczęśliwy ojciec, wzbudza politowanie w tłumie, a choć słyhać z ust jego bluźniercze słowa, nikt się niemi nie gorszy.

„Bo nie nam sądzić kto tu winien raczej:
Czy ten co cierpi, czy co przesładuje.“

Zjawia się Olimpiusz, krótkiem słowem: „ona nie umrze,“ uspokaja Arcykapłana i każe mu rozpoczynać obrząd. Chóry kapłanów i kapłanek śpiewają hymn:

„Jo Pean! Boże Febie!“

Po skończonym hymnie Olimpiusz wydaje rozkaz przyprowadzenia więźniów.

„Niech Bóstwu Sewera
Każdy, lub złoży swą cześć lub umiera.“

Orszak Chrześcian nadciąga, śpiewając:

„Za śladem Twoim Panie!
Krzyż Twój niesiemy w duchu;

Wrogów Twych urąganie
 Głos nasz tłumi w ich uchu.
 Lecz Ty go usłysz w Niebie,
 Odpuść temu ludowi,
 I niech śmierć z nas jak z Ciebie
 Prawdą do serca przemówi.“

Vulpiskus każe milczeć śpiewającym, występuje przeciw niemu Kwintus, ów młodzian, karcony dawniej za swoją zapalczywość przez Satura i oskarża Vulpiska, jako go namawiał w więzieniu do krzywych świadectw, tak przeciw współbraciom, jak przeciw Olimpiuszowi. Vulpiskus prosi Olimpiusza, aby mu oddał sąd nad Kwintusem, i obracając się do żołnierzy powiada: „niech umiera!“ — Kwintus szydząc z tyranów Romy, obraca się do swoich i mówi:

„Bracia! jak umrzeć bierzcie wzór z Kwintusa.

S A T U R.

Ach! on chce wslawić siebie nie Chrystusa!
 Módlmy się bracia! bo o mocy swojej
 Kto zbyt w niej ufa, w próbie nie dostoi,“

Pyszny młodzian w rzeczy samej odwołuje wszystko na torturach. Epizod wzięty ży-

wcem z natury, zawiera głęboką naukę i przestrożę osobliwie dla tych, co upojeni szaleństwem, nie umieją wejrzeć w siebie i siły swoje obrachować, aby nie zawiodły w dniach próby.

Tu następuje miejsce najwięcej mające dramatycznego żywiołu. Olimpiusz zapytuje z urzędu każdego z przyprowadzonych Chrześcian czy chcą wykonać ofiarę na ołtarzach Romy. Nie jest to jednak zimne, surowe, przemówienie władzcy, ale słowa przyjaznej perswazyi, mogącej rozbroić wszelką zaciętość i upór zbrodniarza, ale nie świętych wyznawców wiary Chrystusa. Szczytne są odpowiedzi Chrześcian, zaczawszy od Satura, do którego się odzywa:

„Starcze! znam w tobie i wagę człowieka,
Wiem, słowo twoje jest u nich powagą;
Cnotliwym mędrcom, zowie cię Kartago.
Sprawdź to dziś czynem; mów! Zbaw ich od kaźni.
Mów, niech szaleństwo potęgi nie drażni.

S A T U R.

Bóg jest potęgą, której kto się boi,
Olimpiuszu! nie zna obaw innych:

I tam przed sądem śmiało nawet stoi,
Gdzie sędzia nie śmie uznawać niewinnych.

OLIMPIUSZ (do Deodata).

Żołnierzu Romy! tyż wieńczone skronie
Dasz pod miecz hańby, w walce tak niegodnej?

DEODATUS.

Potomku Prisków! zjrzyj mi na tronie,
Że ginąc w więzach, czuję, że'm swobodny.

OLIMPIUSZ (do Artaxiusza).

Artaxiuszu! ty mię pojdziesz przecie;
Ty wiesz, że pozór prawdy nie stanowi.

ARTAXIUSZ.

Bóg zstąpił z nieba, by swój czyn na świecie
W śmierci za Prawdę wskazać człowiekowi.“

Zawiedziony w oczekiwaniu Prokonsul,
który jak wiemy niczego bardziej nie pragnął
jak bodaj pozornego zaprzania się Chrześcian,
aby tym sposobem ocalić Felicytę, uniewinnia
się, a tych, jak powiada: „szaleńców“ robi
winnymi losu, jaki sobie sami zgotowali i po-
leca spełnić na nich wyrok... Tych samych
słodkich sposobów używa, obracając się do

Felicyty.. Chwila to okropnej próby wobec
starego ojca i kochanka.

„A ciebież nie wzruszy
O! nie już miłość — lecz patrz! ta wpółływa
Na licu starca bladość przeraźliwa?
Te łzy wstrzymane w osłupiałem oku,
Oczekiwaniem, jak gdyby wyroku
Słowa, z ust twoich, z ust swego dziecięcia?

FELICYTA (rzuca się ku Ojcu).

Puśćcie mię! — Ojcze!

ARCYKAPŁAN.

O! pójdz w me objęcia,
Pójdz, córko moja!

OLIMPIUSZ (wstrzymując go).

Stój! niech wprzód obwieści,
Że chce żyć dla nas.

FELICYTA.

O Matko boleści!
Wspieraj mię! ból ten przeszedł moje siły.“

Łzy się rzucają z ocz Felicyty, Olimpiusz
nabiera otuchy, że serce jej zmięknie w dzie-
cięcym płaczu, każe z niej zdjąć kajdany

i podać jój lutnię, aby na cześć Feba zanuciła hymn, który wyjedna jój przebaczenie... Tu następuje śpiew, w którym opiewa chwałę Chrystusa; są w nim miejsca ożywione liryzmem, ale to wszystko ciągnie się przez cztery kartki, z pretensją do szczytności, jest zbyt za długie, zwłaszcza w chwili, w której się dzieje, a również wśród słuchaczy jakimi była otoczona; każde bowiem jój słowo od samego początku było bluźnierstwem w uszach pogańskich kapłanów i kapłanek. Jedną uwagą możnaby to usprawiedliwić, że sami poganie zostali porwani boskością jej natchnienia, i dopiero gdy skończyła, opamiętali się i zawołali chórem:

„Bluźnierstwo! na śmierć, na śmierć ją! Znieważa
Natchnienie Feba!“

Zapewne byłoby to mogło, lecz mgliste, symboliczno-mistyczne obrazy i przenośnie, nie wiem, czy łatwo mogły słuchaczy tak owładnąć, aby cierpliwie dosłuchali do końca tej improwizacji w guście Deotymy... Tego rodzaju długości aczkolwiek piękne, przeszkadzają czytelnikowi, że mu trudno znaleźć się w całym tym dramacie.

Lud chce się rzucić na bluźniącą Felicytę, Olimpiusz wstrzymuje go i wybucha przeciw Vulpiskowi, który usprawiedliwiając gniew tłumu, Prokonsula podejrzywa o zdradę. — Tymczasem Chrześcianie zostają odprowadzeni przez Aspera na miejsce, gdzie mają uczcić posąg Sewera, lub ponieść śmierć męczeńską. Następuje scena między Olimpiuszem, Arcykapłanem i Vulpiskiem; w chwili tej rozstrzygającej o losie drogich osób, spadają maski, — w Arcykapłanie odzywa się krew ujarzmionej Kartagi, przeklina panowanie Romy. — Vulpiskus każe go imać jako zdrajcę. Olimpiusz zasłania starca powagą swoją, i gotów jest w téj chwili rozwinąć chorągiew buntu na czele przychylnych sobie legionów..... Tymczasem w zamieszaniu tém przybywa Dekurion po Dekurionie i opowiada jak śmierć męczeńską ponosili w Hipodromie: Deodat, Artaxiusz, Satur, a nareszcie Felicyta i Perpetua... Gdzież Asper, ów przyjaciel Olimpiusza, co miał porwać i uprowadzić Felicytę? — Asper wchodzi, Olimpiusz rzuca się nań z mieczem i woła: Zdrajco!

A S P E R.

Masz, uderz! lecz wierz, jest Bóg żywy
 Bóg Chrześcijański! Słyszałem straszliwy
 Głos jego w sobie; spełniłem głos Boga.
 Każ mię wieść na śmierć! Świętych niewiast droga,
 Jest drogą moją. Biada naszej dumie,
 Że chcemy Boga szukać w swym rozumie!
 On tam! moc jego przyszła na mnie z góry.
 Każ mię wieść na śmierć! W męczarniach tortury
 Wyznam Go. Dla mnie nie ma już nic, czego
 Mógłbym tu żądać — prócz śmierci dla Niego.

Tryumf zupełny Chrześcijaństwa, nawróce-
 nie pogan, mieści się w tych słowach, reszta
 jest tylko parafrazą téj myśli. Lud Kartagi
 oświecony widokiem świętych ofiar, przejrzał
 i skruszył bałwany, którym przed chwilą cześć
 bałwochwalczą oddawał.

Poeta w całym tym ostatnim akcie zamknął
 i duchową i historyczną prawdę początków
 chrześcijaństwa. Widok męczenników i mę-
 czennic idących na śmierć jak na rozkoszne
 gody, z uśmiechem na ustach, z niebiańską
 pogodą w oku, więcej zyskiwał nawróceń, jak
 świadczą dzieje, niż najgorliwsze słowo. Czyn
 poświęcenia się najwymowniejszy apostoł.

Kończąc przegląd tego znamienitego utworu Odyńca, to tylko dodam, że jakkolwiek nie jest on ujęty w karby ścisłego dramatu, mimo tego nie przestanie być wspaniałym szeregiem obrazów przenoszących czytelnika w owe wieki walk duchowych, które mniej są od nas odległe, niż uczy chronologia, a więcej zrozumiałe i budujące, niż niejeden systemat uległy w głowie świat przerabiającego pyszałka.

Praktycznie święta myśl: że udoskonalenie wewnętrzne zdolne jest złamać cielesną władzę szatana, i zapewnić tryumf prawdzie, nie tylko obudza się i utwierdza w duszy czytelnika po odczytaniu Felicyty, ale nadto wskazuje mu drogi do tego doskonalenia się, stawia wątpliwości i sidła, i uczy pokonywać je głębokością przekonań i wiarą. Niektórzy, spokój chrześcianina, cierpliwość i pokorę, radzi nazywają biernością, kwietyzmem, negacją czynu i t. d., — ale zalecając ruchliwe szamotanie się w czczości, zapominają, że takowe nigdy nierozstrzyga, jak nie byłoby rozstrzygło tryumfu Krzyża nad pogany.

V.

IMPROWIZACYA I POEZJA

Charakterystyka Deotymy.

Podjazdowe artykuły dziennikarskie uderzające dość trafnie na pobłażliwe a często przesadne pochwały objawione przez krytyków, dających sąd o improwizacjach Deotymy, wyteżyły się zanadto w jedną stronę; chcąc za wiele dowieść, ogołociły Improwizatorkę z tego, co się jej słusznie należy, co wywołało u jednych podziw aż do zapomnienia o tém co było, a drugich nabawiło takim kłopotem, że nie wiedząc do jakiej kategorii odnieść zjawisko, poczęli na prawdę wierzyć: że już nade-

szło owe drugie zaranie, owa trzecia wiekowa doba zwiastowana przez Deotymę, i że to ona jest tym *filozofalnym kamieniem* poezyi ukazującym się do zdobycia ołtarzów wiedzy...

Jeżeli utwór jaki sprawi aż takie wrażenie, choćby krótkotrwałe, — ma już tém samém coś, czém się zaleca, co go wynosi nad popo-
litość, co głośniej mówi, niż cały szereg łatwo dających wytknąć niedoskonałości. Deotyma przez to, że jest improwizatorką, niechybnie najpierwszą z wszystkich improwizatorów, których nazwiska tak łatwo świat zapomina — zasługuje być poczytaną za fenomen naszego czasu; za istotę obdarzoną nadzwyczajną bystrością w szerokim ogarnieniu przedmiotu, w złożeniu tych części w całość przenikniętą jedną myślą; za talent niezmiernie posunięty w sztuce rymowania, i tak łatwo władający językiem, że w najśmielszych zwrotach nie potknie się, a niekiedy myśl najoderwanszą umie ubrać w formy jak kryształ przejrzyste, wcielić obrazy, jeśli niedrgające życiem i prawdą, to tak złudnemi barwy i kształty nawiedzone, że gdybym był starym Grekiem, nieinaczej wyobrażałbym sobie świat cieni — Elizyum.

Przy wielkiem bogactwie pomysłów, przy całej umiejętności wszechstronnego wypełniania przedmiotu — do czego ma na usługi całą ziemię od bieguna do bieguna z pagodami, obeliskami, sfinxami, katedrami, z palmami i cyprysami, z kondorami i kolibrami, wulkanami i metalami, i cały firmament z siedmią nieb i tam dalej — przy śmiałym przerzucaniu tém wszystkiem jak czółenkiem w misternój tkaninie Arachny — świat stworzony przez Deotymę, jest tylko cieniem rzeczywistości — mającym pustyni, pięknem *fatamorgana*, a czasem dekoracją... Znajdziesz tam nie człowieka, ale cień jego; nie naturę, ale jój odbicie; nie uczucia, ale metafizykę albo jak sama nazywa: *estetyczny zachwył*. Nie dziwota więc, dlaczego przeniosłszy się w tak sztuczną sferę, zaludnia ją widziałami; a raczej ideami odzianemi w formy zmysłowe: *vanae fingentur species*; co pojmujących i czujących prawdziwą poezję, tak im gniewem zapala, że nieledwo gotowi jój zaprzeczyć zadziwiającego talentu improwizatorki.

Już to dla postawienia utworów Deoty my w prawdziwem świetle, już dla obrony tego, co jest niezaprzeczoną jój własnością, winniem

tu pomówić cokolwiek o naturze improwizacji, a t \acute{e} m sam \acute{e} m poprowadzi \acute{c} lini \acute{e} graniczn \acute{a} oddzielaj \acute{a} c \acute{a} j \acute{a} od poezji tworzonej pod wplywem cichego i spokojnego natchnienia, a raczej od poezji wytryskuj \acute{a} c \acute{e} j z walki zycia, z cierpi \acute{e} n i z uciech, z wrz \acute{a} c \acute{y} ch nadziei i bolesnych rozczarowa \acute{n} , ale rzeczywistych, ale doznanych i przebola \acute{y} ch -- nigdy urojonych.

„Improwizacja, ten rzadki dar, jak m \acute{o} wi autor studi \acute{o} w Rzymskich, doskonale znaj \acute{a} c \acute{y} si \acute{e} na improwizatorach, — ma t \acute{e} w \acute{l} asno \acute{s} c \acute{e} , \acute{z} e jest gotow \acute{a} na pierwsze zawo \acute{l} anie, i na podany sobie temat rozwija \acute{c} szereg my \acute{s} li i obraz \acute{o} w; — co nieodzownie wymaga dw $\acute{o$ ch wy \acute{z} szych zdolno \acute{s} ci: *talentu*, jakiego u \acute{z} ycza natura, i *sztuki* zasadzaj \acute{a} c \acute{e} j si \acute{e} na g \acute{l} ęboki \acute{e} m poznaniu j \acute{e} zyka, kt \acute{o} ry musi by \acute{c} pos \acute{l} usznym instrum \acute{e} ntem. Bez talentu, sama sztuka nic nie dzia \acute{l} ala; bo mo \acute{z} na wybornie pisa \acute{c} , a my \acute{s} le \acute{c} ci \acute{e} zko i poma \acute{l} u; gdy przeciwnie chc \acute{a} c improwizowa \acute{c} , potrzeba my \acute{s} le \acute{c} p \acute{r} edko. Tak samo bez dzielnego w \acute{l} adania s \acute{l} owem, nie podo \acute{l} alb \acute{y} najwy $\acute{z$ szy talent. Kiedy za \acute{s} improwizator lub improwizatorka obeznani s \acute{a} z j \acute{e} zykiem poetycznym i potocznym, kiedy w wysokim stopniu posiadaj \acute{a} mechanizm wiersza; kiedy do

tego służy im rozległe, choćby powierzchowne odczytanie się w przedmiotach naukowych i sztuk pięknych, a pamięć zawsze czujna pomaga, natenczas pozorna trudność zachowania miary, jarzmo rymu, staje się owszem pomocą, jak rumakowi ostroga. Improwizatora sama harmonia unosi, a jeżeli natrafi na zawadę, jeżeli zmuszony jest łamać się z trudnościami prawideł wierszowania, na które nie zwraca nawet baczenia, bo z niemi igra; natenczas myśl jego wahająca się, zaparta na chwilę, bierze inny obrot, i wybucha silniej często niespodziewaniej i szczytniej. Słyszałem doświadczonych w tej materji, utrzymujących, że silna wola zrobiłaby każdego improwizatorem, byle tylko znał dobrze język, mechanizm wiersza, miał dostateczną naukę i wyborną pamięć.“

Z powyższych własności improwizacyi pokazuje się, że siedlisko ich jest raczej w umysłowych władzach niż w sercu; pamięć zna czy tu więcej, niż czucie; reflexya, niż fantazyja; a wiemy, że zdolności te wbrew są przeciwne poetycznemu usposòbieniu. Same bowiem potęgi umysłowe to mają do siebie, że ich nie zaspokaja prosty rzut oka na świat zewnętrzny. Umcom potrzeba koniecznie, aby za każdym

zjawiskiem, widzieć zaraz przyczynę tego zjawiska; ztąd też nieradzi zatrzymują się dla odebrania zwykłego wrażenia, ale pragną dobiec w moc jakich to praw organicznych odbył się rozwój tego lub innego przedmiotu: a dobiekły, dopiero im się zdaje, że przedmiot pojęli, gdyż przedtém wiedza ich nieprzedzierając nawet wierzchniej powłoki, nienniła wyobrażenia o tém, co się tam wewnątrz święci.

I tak widok najpiękniejszego krajobrazu niewystarcza uczonemu, który przenosi teorię widzenia, nad samo widzenie. Psycholog nie bada namiętności ludzkich podobnie jak poeta lub malarz ze strony ich plastycznej, nie szuka w nich malowniczości, ani w czém obudzają interes — on je bierze *a priori*, bada jaka ich natura, z jakiego źródła płyną, czy są wrodzone lub nabyte? Oddany rozbirowi, radby dostać do najtajniejszych sprężyn poruszających machinę całego świata.

Poeta zupełnie ma cel odmienny. Wzruszony widokiem tego, co go otacza, z czém dzieli się życiem, nie systematyzuje, nie rozbiera. Cóż go mogą obchodzić nieznanne przyczyny zjawisk widzianych w rzeczywistości? Wielkość stworzenia budzi w nim zapał, a nie-

pożyta wspaniałość tych cudów rodzi tysiące harmonijnych hymnów; dość dla niego widzieć, słuchać, używać. Kiedy słońce skłania się ku zachodowi, poeta wychodzi na wzgórze, lecz nie na to, aby jak Newton zapytywał gwiazd i ścigał siłę utrzymującą i pędzącą je w przestrzeni niebios, ale żeby podziwiać ozłoczone obłoki, przysłuchiwać się odgłosom zegnającym gwiazdę dzienną, napawać się wonią — tym śpiewem łąków, łąk i kwiatów.

Porównajmy ucztę Platona z Romeem i Julią, a zobaczymy, jak starożytny filozof wykrywa jedne po drugich spreżyny namiętności aby ich mechanizm okazać; kiedy przeciwnie angielski poeta obiema dłońmi uderza w ten brzmiały organ tém jedynie zajęty, aby jak najwdzięczniejsze wydobył tony.

Widzimy w jaki sposób wiedza i poezya dzieli się państwem świata; ostatnia oddaje wrażenia odebrane ze zjawisk, pierwsza dochodzi ich przyczyn; tamtój widok wystarcza, ta zdziera zasłonę i rozczłonkowuje; pierwszą włada uczucie, drugą ciekawość.

Wyjaśnienie powyższe tłumaczy naturę poezyi, a oraz i naturę improwizacyi w ogóle, w szczególności zaś improwizacyi Deotyminy. Ona

rymując na zawołanie przedmiot, do jakiego mogła nie być w danej chwili przysposobioną, od którego uczucia jój mogły być na sto mil odległe, — nie wywołuje natchnienia, bo takowe na zawołanie nigdy nie przychodzi, ale ucieka się do pamięci umeblowanej estetycznymi formułami, a do tych formuł i idei przykrawując reminiscencye opisów i obrazów, stanowiących jakby dowody i argumenta brane z rzeczywistego świata, zawiązuje całość filozoficznym wnioskiem: *quod erat ad demonstrandum*.

Nowej formy, lub różnorodności form niepodobna wymagać od niej, bo nagłość nie pozwala; dlatego ma gotowy plan i jedną formę, w którą swój improwizowany przedmiot wlewa; a chociaż ten krój jednostajny, ten niedostatek różnorodności stylu, gniewa jój krytyków; wszakże dla wyż przytoczonych przyczyn inaczej być nie może. — Dla dowodu, weźmy pierwszą lepszą jój improwizacją, na przykład *Budownictwo*.

Od czegoż zaczyna? Oto, *ab ovo*: Człowiek wygnany z Edenu, poznaje ze smutkiem, że natura nie chce go uznać za króla, że teraz mu nie pozostało, jak zmódl naturę której niegdyś niósł rozkazy, i w tém utrapieniu, żali się Bogu:

Ty co błyszczysz na lazurze!
 Każdej istocie w naturze
 Daleś schronienie bezpieczne,
 Ptaszek w gniazdku, lew w jaskini
 Wszystko ma strzéchę przyjemną.
 Jaż mam wieść tułactwo wieczne
 Kiedy wszystko walczy ze mną?

Głos z góry mu odpowiada: spójrz w niebo!
 Spogląda i widzi obłoki, ni to zamki i wieże,
 i uśmiecha się, bo wyczytuje: Szkice architek-
 tury.

To jakby założenie. — Potem idą dowo-
 dy brane z różnych porządków architekto-
 nicznych, na które składa się Indya, Egipt,
 Grecya, wieki średnie, odrodzenie i t. d.

Nie wchodzę, czy szczęśliwie zcharaktery-
 zowane te rodzaje; czy nie możnaby sporu wy-
 wytoczyć o pewne przejście z jednej epoki do
 drugiej — lecz, że to rzecz architekta, a nie
 poezyi, przeto wiedza niech się ściera z wie-
 dzą. Po takim tedy dostarczeniu dowodów,
 jakiż wniosek? Oto, że z tego wszystkiego nic
 nie zostaje (wiemy o tém nie szukając daleko)
 tylko ruina, z której woła puszczyk:

Tylko słowa z jądrem wiary,
 Tylko myśli prawd filary,

Tylko serce co cierpiało
Są świątynią wiecznotrwałą!

Kto zna Dzwon Szyllera (a kto go nie zna w oryginale lub przekładzie?) może się przekonać, że służy za wzór, za aryngę Deotymie, podług której przykroiła wszystkie swoje improwizacje; łatwe to porównanie przekona nie tylko o ścisłym podobieństwie formy dydaktycznej, ale w części i o powinowactwie duchowem między Dzwonem a improwizacjami.

Nie myślę o to robić procesu Deotymie, wiedząc, że jak świat światem źródła poezji na to biły, aby w nich wszyscy czerpali i odświeżali się; ale zwracam na to uwagę, ażeby pokazać, iż to właśnie, co Szyllera najmniej ze strony poetycznej zaleca, ona przyswoiła sobie wyłącznie. W czém jest ta niepoetyczność Szyllera, objaśni najlepiej zdanie Göthego w rozmowach spisanych przez Eckermana.

„Szyller — powiada on — zawsze uwielbiał metafizykę, jałową samą przez się, która go ciągnęła w nadaremne zacieki, w tę prawdziwie umysłową torturę. Ztąd niektóre

jego karty noszą piętno fałszu i kłamstwa; jeniálny ten pisarz zadawał sobie tysiące mąk, aby wyłamać się z prostoty, i wzbic się do eteryczności, do czystego idealizmu. Próżny wysił! poezya bowiem tylko w grunt rzeczywisty, powinna zapuszczać korzenie; ideał uczucia raz odcięty od prawdy, jedynéj swéj potégéi, znajdzie się zawieszony w takiéj mglistéj otchłani, że nie wiedzieć co z nim poczwać.....“

„Nie było rzeczy, którejby nie rozbierał, i nie odnosił do filozoficznych kategorii; pierwsze drgnienie serca, pierwszy poryw wrażenia, głuszyła w nim potrzeba rozmyślenia i zdawania sobie sprawy z wszystkiego. Piękny boży świat, nie był dlań przedmiotem głębszych studyów. Zniżyć się do tych spostrzeżeń, czuł wstręt i nie miał woli po temu. Dlatego wszystkie krajobrazy zawarte w Wilhelmie Telu, nie są owocem jego osobistych wrażeń, lecz dokumentów dostarczonych przeze mnie, którym on umiał mocą prawdziwego poetycznego geniuszu wyraz rzeczywistości nadać.“

To więc co ujmowało prostocie i poetyczności Szyllera, ta nieszczęsna metafizyka, ta wymę-

czona abstrakcja, stało się żywotnym zasilkim Deotymy. Sam styl jój, sam sposób obrazowania wyraźnie pokazuje, na czém były szczepione. Dla kochających i czujących poezję, to niedość, to mało — ale dla improwizacyi, aż nadto wystarcza, bo jój użycza pewnej pompatyczności, pewnej podniosłości stylu i myśli, mającej wszystkie pozory liryzmu, wszystkie ułudy szczytnego natchnienia.

Lotne te słowa i obrazy, póki je druk nie utrwalił, musiały robić na słuchaczach nielada efekt; bo lubo improwizatorka w razie danym nie może być zawsze pod wrażeniem rzucanego jój przedmiotu, wszakże przy rozległym odczycaniu, przywoławszy pamięcią cokolwiek napisano o nim, przykrawuje go do raz obranej formy, a choć nie jest w stanie tyle rozmaitych obrazów i porównań rozgrzać gorącem swego uczucia, lub wyrwać je z pod serca, zawsze zostaje jój środek tłumaczyć ich naturę, wykazywać estetyczne piękności, i tu owdzie wplatać pożyteczne sentencye. Duch działa tu na inną drogę: wiedza służy mu za środek i za cel.

Dziwnie mi tedy było, kiedy Deotymie przypisywano jakieś sybillińskie wieszcznienie;

ja bym to nazwał ideologiczném rojeniem dziś z deskretytowaném jako owoc pychy chcącój przesadzić i ewanielię i kościół. Wprawdzie Deotyma nie wysnuła tego ze siebie, więc nie ma grzechu; dowiodła tylko słabój strony improvizacyi żywiącej się sztucznemi sposobami, i wystrzelającój tak sztucznym kwieciami, jak owe rozkwitające wazoni w rękę magika.

Któryś z naszych poetów miał to wszystko nazwać: „poezyą wiedzy“ — a chociaż to nie bardzo zrozumiałe, bo wiedza nie może być czém inném tylko wiedzą, a poezya poezją; jednakże słówko na pozór trafne, daleko więcéjby objaśniało naturę tych improvizacyj, gdyby powiedzieć, że jest w nich: „wiedza poezyi.“ Deotyma — ani wątpić, zna tajemnice tego boskiego daru; umie poznawać, jak biegły lekarz gdzie biją najsilniój tętna życia, wie z czego się rodzą uczucia i namiętności, jak rozwijają się, jak giną; co je wzburza, co uśmierza — ale na ten cały warsztat wewnętrzny spogląda jak bogini z swego Olimpu, zdaleka i przez mgły... Stopy jój nie dotknęły ziemi, tóż i ta ziemia nie uniosła jój wirowym pędem, i nie podała wieńca *passiflory*, o któ-

rym często marzy w swojej krainie abstrakcyi, w Elizyum.

Powtarzam tedy, że własności i wymagania improwizacyi, zatrzymały Deotymę w sferze poetycznej choć produkującej wszystkie przybory poezyi — co wszakże nie pociąga za sobą, aby z tak górującymi zdolnościami nie miała kiedyś trafić na prąd rzeczywisty. Z tego względu nie godzę się ze zdaniem jednego krytyka, który twierdzi, że Deotyma nie miała młodości, że reflektuje i filozofuje tak jak starzec. Jest bowiem rzeczą dowiedzioną, pierwsza młodość, jak późna starość, mają za sobą wiele wspólnego. Starzec przebiegłszy drogę życia, robi sumnę swoich doświadczeń i spostrzeżeń, i z téj wysokości spogląda na życie, a nie mogąc brać w niem udziału, karmi je morałem lub filozoficzną formułą. Jestto dydaktyka, spotykana zawsze na schyłku pewnych kreatywnych okresów... Z drugiej strony młodość w przeczuciu przyszłych kolei w praktyce życia, najpierw chwytą za owoc starych doświadczeń i ubiera się w gotowe formułki, jak chłopię w poważną perukę swojego ojca, którą przecież odrzuci, odkąd pozna, że mu własny jego kędzior do twarzy. — Po-

dobnie jak starość i młodość zawsze bywa *dydaktyczną*; bo wprzód nim zetrze się z życiem, otacza ją nauka, karmi morał i sentencya; nie zdobywa pracą wewnętrzną, ale do gotowego przychodzi, i z tego też zasobu, jeśli się żyłka odezwie, snuje swą tkankę.

Ktokolwiek w młodości brał się do pióra, zawsze od dydaktyki poczynał....

Odłączając talent improwizatorski, fenomenalny prawie, uważam Deotymę w tym pierwszym okresie. Jaki będzie drugi? Nie wiem, i wyznaję, iż mimo usilnej chęci zbadania dróg, którymi pójdzie, niepodobna mi było odgadnąć.

Darus sum non Edipus.

VI.

AUTORKA MALWINY I PIELGRZYMA.

**„Wielkie rzeczy zamilknieniem najlepiej
się mówią.“**

Zaczynam od tych słów naszego moralisty, Andr. Max. Fredra, mając opowiedzieć żywot bardzo cichy, ale wielki i głośny zasługami, które dopiero na mogile zgasłej osoby, wolno pozbierać, jak najwonnejsze kwiaty i położyć przy sercu. Kto je tam umieści, będą mu balsamem na te wszystkie rany zadawane przez świat samolubny i próżny, wymagający a dokuczliwy, obojętny na cierpienie i nieskwapli-

wy do usług, kiedy te nie mają mieć rozgłosu, lub prędkiej nagrody.

Budującym jest żywot chrześcijańskiego poświęcenia się w ubożuchnym stanie; lecz w stanie wielkości, dostatków i dostojenstw, żywot prosty, skazujący się na ubóstwo przez miłosierne uczynki, na wytrwałą pracę służenia bliźniemu, budzi w nas tém większe uwielbienie, gdy z sfer swoich wysokich dopatrzeć umie i najdrobniejszej istoty, a by ją wesprzeć ramieniem, gdy upada... Takim był żywot księżnej Maryi Wirtemberskiej — a żywot bardzo długi, bo przechodzący zwykły nieledwo zakres lat dzisiejszych ludzi. Marya Anna, córka księcia Adama Kazimierza na Żukowie i Klewaniu Czartoryskiego, Generała Ziem Podolskich feldmarsz. wojsk austr. i Elżbiety (Izabelli) z Flemingów podskarbianki W. Ks. Litewskiego, przyszła na świat dnia 15 Marca 1768 r. Była ona najstarszą z rodzeństwa, które szło w tym porządku: Adam (ur. 1770), Konstanty (1773) i Zofia (Zamoyska) 1774 r.

Od pierwszych lat dziecięctwa, rozwijała się w niej ta wrodzona słodycz duszy i charakteru, ta niewyczerpana dobroć, która złączona z urokiem młodości i z wysokimi da

rami umysłu, robiła z niej istotę wyjątkową, prawdziwą rozkosz i pociechę rodzicielskiego domu. W pańskim tym dworze wszyscy, do najniższego sługi, gotowi dla niej do poświęceń bez granic oświadczyli tém samym, ile szczęścia umiała rozlewać w swoim kółku, ile obudzać sympatii. Nieraz, kiedy jój miłosierdziu i chęci oświadczenia zbywało na sposobności wywiązania się względem podobnych sobie istot, zwracała pieczołowitość swoją do zwierząt, a nawet roślin, zagrożonych czémkolwiek; śliczna ta dusza nie mogła znieść, kiedy co cierpiało; a choćby cierpień swych opowiedzieć nie mogło, miała na to dar zgadywania, miała tę *domyślność serca*, którą położyła na tytule miłosnej i tkliwej powieści: *Malwina*. Wychowanie Maryi staranne i pańskie odbyło się pod okiem matki wśród przepychów i spaniałości *Puław*, tego czarującego ogrodu opiewanego przez Delila i tylu innych rymotwórców zeszłego wieku. Dwór prawdziwie książęcy, napływ gości sąsiednich i zagranicznych, wabionych uprzejmością, dostojenstwem i światłem gospodarzy, głośnie uczty, festyny; zgoła ten wir wielkiego świata, który po Warszawie miał tu drugą stolicę— wszystko to nie mogło ani jój skrom-

nych nawyknień, ani w strętu do wykwintnego życia przerobić. Zostając zawsze przy uroczej prostocie, poczytywała się najszcześniejszą, kiedy składając wymuszoną etykietę przywiązaną do swego położenia, mogła w świecie zmieścić się w tłum i zniknąć, aby pośpieszyć do swoich ulubionych wieśniaków i poufnych przyjaciół, których jój serce wybrało.

Zaledwie wstępowała w lata panięskie, kiedy w r. 1784 na d. 28 Października przyszło jój oddać rękę Ludwikowi księciu Wirtemberskiemu*) Lubo przez związek ten wchodziła w powinowactwa z dworem Pruskim i Rosyjskim, nietylko, że nie wzbija się w dumę z tego wyniesienia, ale owszem nie mogła się z tém oswoić, że jój tyle nowych wielkości przybyło. Małżeństwo to wypłynęło ze względów politycznych. Fryderyk II. król pruski, postrzegłszy pod koniec swego świetnego panowania, że mimo całej wielkości odgrywał tylko podrzędną rolę na północy, zaczął o tém przemyślać, czyliby jakie książe niemieckie, nie mogło wstąpić na tron po Stanisławie Auguście, aby

*) Byłto stryj dziś panującego kr. wirtemberskiego — śmierć jego przypadła w r. 1817.

się tym sposobem od zbyt przeważnego wpływu gabinetu północnego zasłonić.

W tych widokach, zwrócił się myślą na swęgo siostrzeńca Ludwika księcia Wirtemberskiego, upatrując w nim przyszłego elekta czy kandydata; ażeby mu zaś, przygotować umysły w kraju, ułożył sobie ożenić go z księżniczką Maryą. — Poboczne wpływy i namowy, a zwłaszcza własnoręczny list króla Fryderyka skłoniły rodziców do przyjęcia téj propozycyi, w której zdało im się upatrywać dość wyraźną rękojmię zbliżenia się Prus do Rzeczypospolitój.

Księżniczka Marya uległa woli rodziców, a może téż i chętnie przystała na związek, który zyskiwał takiego sprzymierzeńca.....

Książę Ludwik chociaż zostawał w służbie rzeczypospolitój, i miał za sobą córkę pierwszego obywatela tego kraju — musiał odstąpić i pierwszego zaszczytu i rzec się drugiego szczęścia.

Jak zaś usunął się i od jednego i drugiego, opowiada w współczesnych pamiętnikach Kitowicz (Tom III. w Poz. 1845).

„Książę Ludwik, który w czasie pokoju dosyć się dobrym żołnierzem pokazywał, pilnie

i pożytecznie jazdę i piechotę swojej komendzie oddaną exercytował, że u całego narodu zyskał wielką reputację i wdzięczność. Aż gdy wojna nastąpiła, w roku 1792, w której wodzem był synowiec królewski książę Józef, on się najprzód uczynił chorym na nogę, a gdy mu tę racyę żona wyperswadowała, pogroziwszy rozwodem, jeżeli nie zechce służyć krajowi w tej potrzebie — wynalazł drugą, że niema o czém jechać na kampanię. Król wiele się po nim dobrego spodziewając, ułatwił mu i tę przeszkodę, kazawszy wyliczyć ze skarbu koronnego 20 tysięcy czer. zł. Nabrawszy tego złota, poszedł z wybornym pułkiem swoim od generała Byszewskiego niedawno nabytym. Jednak nieposzedł z nieprzyjacielem do rozprawy — gdyż król Stan. August nie chcąc go wystawiać na trudną próbę kazał mu zdać komendę na rzecz Jen. Judyckiego. — Poczém książę wyjechał za granicę.“

Zapewne w tych czasach i rozwód nastąpił.

Z małżeństwa tego został się jedyny owoc syn Adam, urodzony d. 16. Stycznia 1792 r. w *Fulawach*, który był generałem brygady.

Taka jak widzimy była osoba księcia w stosunkach zewnętrznych; w wewnętrznych zaś

ezyli domowych, nie mogło zapewne panować więcej harmonii, jeżeli weźmiemy na uwagę skromne nawyknięcie Księżny, jój życie całkiem sercowe, zmuszone każdej chwili ścierać się z zimną etykietą dworską, której po niej w każdym kroku zapewne wymagał małżonek. Ani pochwały, ani uprzejmość Fryderyka W. nazywającego ją swoją siostrzenicą i zaszczycającego uprzedzającemi względami, nie miały dość mocy pogodzić ją z nowem jój położeniem, które musiało zapewne i tego wielkiego monarchę razić, kiedy jak powiadają, miał raz odezwać się do matki księżnej: „*Qu'est-ce qui vous a porté à donner votre ânge de fille à mon cousin?*“ — Odezwanie się to tém więcej niewytłumaczone, że przecież jak widzieliśmy wyżej, związek ten ukartowany był z natchnienia samegoż Fryderyka. Jak widać dyplomacya nigdy nie jest w kłopotcie o zrzucenie ze siebie pozoru winy; a Fryderyk w umiejętności téj nie był przecież poślednim mistrzem.

Owóz księżna Marya, jak to sama w starości swojej mawiała, nigdy się nie czuła bardziej nieszczęśliwą, jak od téj chwili, kiedy dama honorowa i szambelan zaczęli składać

główną część jęj dworu. Do nięj to możnaby zastosować słowo poety: „Wyniesiona do szczytu, pragnęła się zniżyć.“

Zawieziona przez księcia małżonka swego do domu rodziców, którzy wtenczas przebywali w Montbeliard, mieście francuzkięm, ale należącęm do Rzeszy, miała być przez starych Księstwa prezentowaną na dworze Wersalskim; mąż zaś miał wracać jako zostający jeszcze w służbie króla pruskiego do swego garnizonu w małym miasteczku Pomeranii.

Była to nader pociągająca pokusa poznać ten dwór pełen uroku dowcipu, a nadewszystko królowę Maryą-Antoninę będącą wówczas przedmiotem uwielbienia i dumy całej Francyi; pokusa tém większa, że już strapienia domowe dawały się jęj uczuwać dotkliwie; jednakże w duszy swęj chrcześciańskiej umiała odróżnić czego po nięj wymagał obowiązek małżonki, i bez wahania się wróciła z mężem swoim do Pomeranii. Jeżeli dziś Pomerania liczy się do bardzo smutnych krajów, to cóż musiało być w upłynionym wieku, kiedy ciemnota i nieokrzescanie jej mieszkańców odpowiadały zupełnie dzikięj i jałowęj ziemi? Nic naturalniejszego, że się znalazła tam zupełnie obcą,

prawie wygnanką; jednakże wielka dusza, umiała sobie złagodzić to położenie, dzieląc nudne i długie chwile między modlitwą, a nauką.

Wykształciwszy swój umysł na literaturze francuzkiej, postanowiła pisać w języku autorów, których uważała za swoich mistrzów; i wtenczas to miały wypłynąć z jój pióra wiersze pełne wdzięku, jednakże świat nigdy ich nie znał; jeżeli je zachowała, to tylko jako prywatną pamiątkę, wspomnienie chwili.

Rzecz pewna, że tylko w pierwszych latach swojej młodości, kiedy jeszcze szukała, a nie odkryła ostatecznego powołania do jakiego Pan Bóg ją przeznaczył — poświęcała się literaturze z całym zapałem i gorliwością. Zrobiwszy sobie imię w ojczystém piśmiennictwie, wydaniem dwóch szczupłych, ale znaczących dziełek, odrzuciła później te zwodnicze ponęty miłości własnej, i jeżeli kiedy brała pióro do ręki, to na to, aby kreślić ustawy miłosiernych swoich zakładów. Ktokolwiek téż mniemał, że się jój przypodoba przez naprowadzenie rozmowy o jój dawniejszych pracach literackich, aczkolwiek pełnych powabu i dowcipu, mocno się mylił. Nie lubiła nawet

wspominać o nich. Matrona oddana Bogu i wielkim obowiązkom chrześcijańskim przyjętym na siebie, żałowała może zmarnowanych chwil na tych igraszkach dowcipu i wyobraźni młodzieńczej.

Jednak, choćby jęj czyste cienie oblokły się wyrazem politowania nad marnością ziemskiej sławy, niech wolno będzie pomówić o tych dwóch utworach, któremi ubogaciła literaturę naszą. Wspaniały dawca może być nierad, kiedy odbierający rozgłasza imię i hojność jego, jednakże głos wdzięczności świadczy, że datek niepadł na grunt jałowy.

Powieść *Malwina, czyli domysłność serca*, ukazała się bezimiennie w 1816 r. w Warszawie. Poufne osoby wiedziały zapewne kto był jęj autorem i że ją mogła tylko pisać kobieta; ale właściwe nazwisko, pomimo wielkiego powodzenia, nie ukazało się nigdy na licznych wydaniach, których było do 1828 r. aż cztery; nie licząc w to przekładu na francuzki język dokonanego przez Annę Nakwaską.

O ile wnosić można z barwy i szczegółów zawartych w romansie, utwór ten mógł być napisany w czasach Księstwa Warszawskiego. Już w nim nie widać tęg młodziutkieg kobiety,

co, jak sama powiada o swojej Malwinie — ledwo z dzieciennych lat wychodząc, nigdy nad przyszłością nie była się zastanowiła, a ja dodam, i nad rzeczywistością i ludźmi, którzy ją otaczali — „co o szczęściu, o nieszczęściu stanowić nie mogła, świata bynajmniej nie znała, i żadnego innego uczucia, żadnej innej myśli nie miała, prócz przywiązania do rodziców.“ — Taką mogła być zapewne i była nią księżna Marya, kiedy w pierwszych latach zamężcia rzucona w jakiś głuchy zakątek Pomeranii, nie znajdując szczęścia w pożyciu małżeńskim, szukała go w książkach, i w tych natchnieniach serca wylewających się na papier w mowie francuzkiej, uznanej wówczas za jedyne narzędzie mogące oddać tkliwe i delikatne uczucia. — Ta uwaga naprowadza, w braku bliższych szczegółów, na ten domysł prawdopodobny, że *Malwina* powstała daleko później, kiedy jej autorka przeszła już przez gorzką szkołę doświadczeń, nauczyła się postrzegać i poznawać ludzi, patrzeć z wysokości swojej moralnej na grę namiętności, odciniać skryte pobudki, zgoła ogarniać świat rzeczywisty grający dokoła niej wszystkimi interesami i sprężynami życia. Serce jej, któ-

re tyle cierpiało, które zasługiwało, aby kochać i być kochanym, szukało choćby urojonego świata, urojonych postaci, urojonej miłości, dla powierzenia im własnych tęsknot i marzeń. To była właśnie ta poetyczna szata, w jaką oblokła swoją bohaterkę i bohatera, i scenę, na której ich pokazała; — reszta jest owocem poznania charakterów i stosunków towarzyskich, tak, jak je malowała rzeczywistość. — Ztąd możnaby dwie strony ukazać w tym romansie: jedną, jako plód wyobraźni i manieri urobionej podług ówczesnych romansów francuzkich przedstawiających świat i ludzi zbyt konwencyjonalnych, a często nieprawdziwych; drugą, jako owoc studyów branych z natury, postrzeżeń schwytych na uczynku, słowem odbicie się tego, na co autorka codzien własnymi patrzyła oczyma.

Co do pierwszego: *Malwina* ma główną zaletę w ruchliwości akcji, w utrzymaniu ciekawości czytelnika do końca przez wplątanie go w najdziwaczniejszą intrygę; żywa wyobraźnia autorki zatrudnia co chwila różnemi niespodziankami, które niekiedy trącają o nadzwyczajność i niepodobieństwo, a częstokroć są powtórzeniem scen i obrazów używanych

i zużytych przez tamtowiecznych romansistów. Nie opowiadając tu treści znanéj powszechnie, • tyle napomknę, że zawikłana tajemnica tych dwóch Ludomirów jest tak nieprawdopodobna, jak i owe turnieje, które zapewne dały powód, wcale nieusprawiedliwiony, pewnemu krytykowi *), że *Malwinę* położył tuż obok *Koloandra i Leonidy*.

Dodajmy do tego spotkania się nadzwyczajne, znikania nagłe, trafy losu najdziwaczniejsze, a znajdziemy wkompozycyi *Malwiny* nic innego, tylko powtórzenie tych samych środków i sprężyn, jakimi się posługiwali w modzie będący pisarze romansów francuzkich z czasów cesarstwa.

Druga strona o której nadmienilem, strona własnych studiów nad otaczającym autorkę społeczeństwem wyższego świata Warszawy, zasługuje na rzetelne uznanie, jako pierwszy krok stawiony na drodze samodzielnych postrzeżeń. Któż przeczytawszy *Malwinę*, może zapomnieć tę elegancką, zalotną, mieszającą się we wszystko, kłócącą wszystkich, złośliwą kobietkę Dorydę, „która nielubiona od niko-

*) Sowiński o uczonych Polkach. W Warszawie 1821.

go, bo nikogo nie lubiła, nie mogąca wytrzymać życia wielkiego o świata, gdzie pierwszych ról grać już nie mogła, a nie umiejąca się zatrudnić w samotności, ciężaru nudów w znieść dłużej w Warszawie nie mogąc, umyśliła nareszcie długie przedsięwziąć podróże, i tęsknotę swoją z miejsca na miejsce przenosząc, nie więcej szczęścia za granicą, jak na ojczyźstiej ziemi znalazła.

• Podobne postrzeżenia trafnie pochwycone z czasów Księstwa Warszawskiego, mieszają się tu i owdzie w ciągu opowiadania romanśowych zdarzeń, a niektóre nawet osobne rozdziały, stanowią skończone w sobie studia. Do takich należy najlepszy, pod napisem: *Kwesta*: — Malwina z karbonką czy woreczkiem, wychodzi w piękny dzień marcowy zbierać dla ubogich i puka do mieszkań nieznanych sobie osób.

Tym sposobem jak w latarni czarnoksiężkiej, pokazuje nam różne warstwy społeczeństwa: tu miłosierdzie przy ubóstwie, owdzie zatwardziałość przy bogactwie, gdzieindziej pysznośkapstwo i próżność, lub światowe roztargnienie i zepsucie przy niezłém sercu. Sąto wszystko szkice domowego życia, nie powiem

skończone i doskonałe, ale często bardzo szczęśliwie schwycone z flamandzką wiernością, a nadewszystko pierwsze w swoim rodzaju.

Przypatrując się jakimi kolejami rozwijała się u nas powieść domowa, zawsze autorce *Malwiny* zostaje ta nieoceniona zasługa, że ona pierwsza półspójrzaniem uwieczniona jeszcze w sferze urojonego romansu, drugą połowę ośmieliła się zapuścić w odmet życia i rysować z natury. Wprawdzie rysunek jeszcze niepewny i efekta szukane; ale droga prawdziwa już odkryta.

Kreśląc ten żywot tak niezupełny w szczegółach, miałem sobie za obowiązek nagrodzić te niedostatki podniesieniem choćby talentu pisarskiego księżnej Maryi, którym ubogaciła naszą literaturę; a talent to nie urojony, ani pośledni; bo przed nią, gdzie jest powieść, któraby na ten ślad trafiała? a i po niej jakże nieprędko znaleźli się tacy, coby nań trafili.

Zjawienie się Walterscockich romansów pchnęło pióra ku historycznym postaciom, którym znów nie dostawało życia, tak samo, jak go nie miały sentymentalne Julije i Adolfy, żyjący przypożnieniami Heloizy i Werterów.

Czy więcéj w tym rodzaju co pisała księżna Marya, nie wiadomo mi; to jednak dałoby się na pewne przypuścić, że gdyby była powołanie autorskie przyjęła za cel swego życia, ona jedna, byłaby w stanie nas obdarzyć obrazami współczesnego jéj towarzystwa, tak doskonałemi i trafniemi, a pełnemi delikatnych cieniowań i postrzeżeń nie każdemu dostępnych, że kto wie czy przy nabytej wprawie w język i styl, nie byłaby tem, czem jest p. Zofia Gay, w nowszej literaturze francuzkiej.

Jeżeli dzisiaj wartość literacka *Malwiny* nie mogłaby wytrzymać porównania z utworami młodszego miotu, to zawsze zostanie ona drogą pamiątką uczuć i marzeń księżnej Maryi, tem droższą, że przypatrzywszy się uważniej niektórym rysom *Malwiny*, poznajesz jakby własny jej portret przez nią samą skreślony i pamiętniki z kilku chwil życia, ale nie tych szczęśliwych w Krzewinie lub Stolicy — tylko w posępnym Głazowiu.

Posłuchajmy tej ile mi się zdaje autobiografii:

„Idąc za mąż *Malwina*, choć daleka od tego, żeby powab albo przyjemność w przyszłem

obiecowała sobie postanowieniu, wstręt nawet i odrazę czując do męża, którego jej radzono, przyjęła go jednak, bo rodzice przyjąć kazali; lecz nim ostatecznie dała swoje zezwolenie, oświadczyła przyszłemu mężowi, że nie czując żadnego do niego przywiązania, jedynie z rozkazu rodziców za niego idzie; na co jej odpowiedział: że bynajmniej to nie szkodzi; że raz będąc jego żoną, do niego się przyzwyczai, i że w wypełnianiu swoich obowiązków znajdzie i **szczęście**. — Zupełny ten brak delikatności przejął trwogą serce Malwiny, nader smutnym nadal wróżąc jej losem...

„Mąż, który niewyrozumiałą zazdrość, do wielu innych łączył przywar, wywiózł ją zaraz od rodziny i znajomych, do odludnego zamku w głąb najdalszej prowincyi... Tam, dzikością charakteru, zazdrością bez powodów i ustawicznymi popędliwymi wyrzutami, że go nie kocha — truł młode jej lata, dnie i godziny... Malwina wprawdzie kochać go nie mogła, ale żadnej mu przyczyny nie dawała, aby mógł słusznie powiedzieć, że mu w czem uchybia...

„Po dwóch leciech takiego pożycia, uprzykrzył sobie męczyć żonę niedzieloném ko-

chaniem ; zmieniawszy całkiem sposób życia, dnie całe trawił z kilką sąsiadami równie jak on grzeczniemi, na gonieniu, męczeniu i zabijaniu biednych sarn, lisów i zajęcy, a wieczorami z polowania wróciwszy, z tymiż samymi sąsiadami, pił okropnie do późnej nocy...

„...Zrazu to zupełne opuszczenie zasmuciło i zatrwożyło Malwinę, ale szczęściem natura dała jej imaginacyę żywą i chęć zatrudnienia się. Te dwa przymioty, broniąc ją od nudów uczyniły stan Malwiny nietylko znośnym, ale często nawet przyjemnym.

„Obfita biblioteka pozwalała jej kształcić umysł dziecinny jeszcze i w zasady pewne ustalić... Przytem nie gardziła niewieściami robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim przechadzkom pomiędzy skałami, lasami i t. d. — Nieraz w tych samotnych przechadzkach, serce jej znajdowało miłe zajęcie, gdy do ubogich chat wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie co zatem idzie, z sobą przynosiła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci odbierała w nagrodę, i wieczór do ponurego swego zamku z najpogodniejszym sercem wracała “

Po tym ostatnim rysie, będącym niejako

programem całego jej życia, któżby nie poznał portretu księżny Maryi?

Kiedy Opatrzność dotknąwszy ją srogim losem, zapewne w tym widoku, aby duszę swoje oderwaną całkiem od ziemi, skierowała ku niebu — natenczas małżonka i matka nieszczęśliwa przysła pod dach rodzicielski szukać przytułku i pociechy. Odtąd żyła tylko obowiązkami dziecięcia względem swoich rodziców, i temi, które Bóg wkłada na bogatych względem ubóstwa. Spełniała je też z gorącością chrześcijańskiej miłości.

Nie było nic bardziej rozrzewniającego, jak słyszeć ją, kiedy pod koniec życia mówiła o swojej matce; myślałbyś, że się dopiero wczoraj rozstały: głos drżący, oczy łez pełne, towarzyszyły każdemu słowu: „Jakżeż to słodko! — mawiała — kiedy córka nie odłącza się od matki! Bóg i rodzice moi — to mi wystarczyło w życiu, aby zapełnić wszystkie tajniki serca mego!“ — Serce tak zapełnione musiało być niewyczerpanym skarbem. Miłosierdzie jej doznało też nowego popędu kiedy się znalazła w tych *Puławach*, błogosławionych przez dwa pokolenia. Pożyteczne zakłady mnożyły się; a młoda dobroczynna pa-

ni przemyśliwała tylko o nowych ulepszeniach.

Wiadomo, że ojciec jój założył był szkołę kadetów, a matka jój w swych dobrach założyła instytut wychowania ubogich córek szlacheckich. Do tych zakładów dołączyła księżna Marya szkołę dla dziewcząt wiejskich, gdzie się takowe kształciły na poczciwe i umiejętnie gospodynie. Jeszcze prawie nikt w tamtych prowincjach nie myślał o szkołach wiejskich, kiedy ona utworzyła zakład, z którego w wielkiej liczbie wychodzili parobcy i rolnicy doświadczeni.

Dla użytku tych szkółek, widząc brak elementarnych książek, ułożyła ona popularne dziełko *Pielgrzym w Dobromiłu*, drugie, które nam przekazała w spuściznie. Są to rysy z dziejów, wplecione w opowiadania z żywota wieśniaczego. Nieporównana prostota stylu, połączona z wielką moralnością praktyczną, zrobiła niezmierną wziętość téj książeczki; od roku bowiem 1817, kiedy się ukazała po raz pierwszy, do dziś, nie wiem już wiele wyszło edycji. I w téj pracy przy księżnie Maryi zostaje pierwszeństwo pomysłu — forma przyjęta przez nią, okazawszy się nadzwyczaj uła.

twiającą nauką, znalazła później częste zastosowanie.

Ależ wszystkie te prace dobroczynne, nie wystarczały jeszcze téj szlachetnej duszy; chciała ona jeszcze głębiej wejrzeć w przyczyny zepsucia lub nędzy wieśniaków, aby im skutecznie zaradzić. Tym końcem postanowwszy nie odmawiać nikomu z wieśniaków, kiedy ją prosili, aby im dzieci trzymała do chrztu, weszła z nimi w duchowe krewieństwo, czyli jak u nas mówią: pokumała się. Przez ten stosunek mogła niezmiernie wpływać na poprawienie obyczajów i życia prostego ludu, który czy to w obawie zasłużenia na jój nieukontentowanie, czy w chęci zyskania pochwał, wszystkich sił dokładał, aby nie wykraczać z karbów moralnego i pobożnego życia.

W późniejszych czasach gdziekolwiek zmuszoną była przebywać, wszędzie używała tak swego czasu i dochodów, jak w rodzinném miejscu w *Puławach*. Do dóbr swoich w Wysocku, które miała w Galicyi, sprowadziła z wielkim zachodem Siostry Miłosierdzia; a chcąc im zapewnić utrzymanie i fundusze opatrzyć na szpital dla chorych, uposażyła je wsią *Moszczaną*.

Ktokolwiek cierpiał, czy swój czy obcy, już tém samém doznawał jój wspaniałości i poświęcenia się nierobiącego różnicy. Cały świat był jój ojczyzną, kiedy szło o członki cierpiące Chrystusa. I tak przed jakie trzydziestą laty przejeżdżając przez Genewę, chciała mieszkańcom tego miasta tę samą zapewnić korzyść, jaką zapewniła wieśniakom klucza Wysockiego. — Po przełamaniu tysiącznych przeszkód, sprowadziła tamże zakonnice świętego Wincentego à Paulo i uposażywszy je, osadziła w stolicy Kalwina. Dziś może już tam zapomniano o dobroczynnej fundatorce, ale dla tego miłosierny zakład trwa dotąd; a tak protestanci jak katolicy jednogłośnie błogosławią tym aniołom miłości chrześcijańskiej, w murach swoich.

Stratę majątku, zniosła księżna Marya ze zwykłą sobie pogodą i tylko wtenczas przypomniała sobie, że była dawniej bogatą, kiedy szczupłe zasoby nie pozwalały iść za popędem miłosiernych uczuć. — Sądząc po zwykłych jój datkach, w ostatnich latach, nie można się było domyśleć, że szczupłe miała dochody; albowiem kiedy miała majątek ogromny, oddawała wszystko, co jój od potrzeb

zbywało; a kiedy odjęto go jój, z równaż hojnością ogołacała się z samychże potrzeb ..

W osmdziesiątym roku życia opuściła Wiedeń, gdzie długi czas bawiła i pojechała do brata przepędzić z nim resztę dni życia...

W późnej starości zachowała umysł czerstwy, wesoły i żywość młodociana, bo też i czystą była, jak młodość. Umiała należyć do każdej rozmowy, prowadzić ją z ujmującym wdziękiem, i niekiedy dowcipem ożywiać.

Nigdy nie traciła wiary w dobroć, w poczciwość ludzi, a chociaż wiele złego doznała w ciągu tak długiego żywota; nikogo nie pomawiała o złe uczynki. Nie wzięwszy nic od świata, a oddawna objaśnioną będąc światłem wiary i słońcem miłości bożej, w całej czystocie oddała piękną duszę Niebu na dniu 21 Października 1854. Ostatniem słowem pożegnała ukochanego brata, ostatnią myślą wzniosła się do Boga.

VII.

TRADYCJE SZLACHECKIE

i koloryt miejscowy w powieściach

Zyg. Kaczkowskiego.

Dowcipny i oryginalny sędzia utworów literatury Saint-Beuve, wybornie wytłumaczył co jest krytyka: „jest to coś, co umie czytać, i uczy czytać drugich.“ Jąbym mógł dodać, że krytyka bywa częstokroć miłosiernym, a nawet bohatyrskim czytelnikiem, zmuszonym czytać za siebie i za bliźnich swoich. U nas bowiem wszyscy o tém sądzą, co czytają tylko niektórzy; bo téż nie znam kraju jak nasz, gdzieby chciano więcej umieć, a mniej się uczyć; gdzieby miano więcej pociągu do sądów ogól-

nych, a mniej chęci do niepodległego roztrząsania. Z tego powodu wyrobiła się wielka stronniczość w krytykach dających pewien ton, tak dalece, iż po pismach czasowych rzadko się spotkasz z prawdziwą analizą, a zawsze prawie z przesadzoną pochwałą, zakrawającą na panegiryk, lub z naganą na paszkwil. To sprawia, iż zamiast prawdziwych zdań literackich, opartych na stałych pojęciach o sztuce, o kompozycyi, o piękności, powstaje tylko wrzawa wykrzykników: to piękne, to cudowne! to istny Walter-Skot, a to Balzak! dobrze jeszcze, że nie Szekspir, Dant lub Homer.

Jak niegdyś na elekcyjnym polu, tęgie pierśi przeważały wota na tego lub owego kandydata, tak dziś to samo ma się z artykułami dziennikarskimi, które nie dając się odezwać sądem umiętnym, forytują swoich kandydatów zupełnie na sposób żurnalów mód, propagujących formę nowego kapelusza, lub mantyli, dopóki ta się nie zużyje i nową zastąpioną nie będzie.

Nie znam nic płytszego jak panowanie mody w literaturze; niejeden bowiem piszący, któremu się udało coś niezłe, nie idzie już da-

lój; tylko zostaje własnym swoim naśladowcą, rozrabiając później w grube tomy, co z razu w szczupłych lecz misternych mieściło się ramach. Taki modny autor natychmiast tworzy sobie estetykę dla własnego użytku: podobałem się, a więc to mój arcywzór, podług którego będę już wszystko robił! — i robi, ale już nie tworzy, nie studjuje więcej; pierwiastkowa woń natchnienia coraz w subtelniejsze rozdziela się cząsteczki, życie ulatnia się, maniera zostaje i trwa tak długo, jak wiosenna moda: *l'espace d'un matin*.

Że się piszący temu oprzeć nie może, nic dziwnego; autorowie nie są wyłączeni od zwykłych ludziom słabości; ale że ci, co pióra swego używają, aby tłumaczyć czytelnikom naturę literackich utworów, wykazywać ich zalety i wady, ulegają takiej słabości schlebiania, biją w trąbę pochwalną z gorączkowym zapalem, to już dowodzi albo koteryjności, albo nieumiejętności sądzenia. Ostatnie, czyli brak sądu najęściej się zdarza, a głównie w tém, że krytyk nie wiedząc, w jakiej kategorii pomieścić sądzony utwór, zawiesza go albo w obłokach odurzających kadzideł, albo szarza po błocie. Pierwszy z tych dwóch

przypadków spotkał powieści p. Kaczkowskiego, o których chciałbym pomówić w niniejszym zarzysie zamierzającym rozbiór ich spokojny, bezstronny, gdyż dotąd słyszeliśmy same tylko wykrzykniki, same wielkie słowo, a między innemi: że prześcignął autora Listopada, że to prawie Walter - Skott Sanocki. — Wprawdzie jak w Sanockim tak i w Szkocyi są góry, ale nie idzie za tém, aby *Murdelio* miał być Guj - Manneryngem, *Bracia ślubni* Wawerleyem. Sam p. Kaczkowski nierad zapewne tym kompromitującym eksklamacyom, które go nie uczą, które nawet nie tłumaczą natury jego utworów, ani ich stawiają na tém miejscu, z którego sąd umiętny i zimna rozwaga wyruszyćby ich nie mogły.

Główną zasługą p. Kaczkowskiego jest pochwycenie tradycyi utrzymujących się jeszcze w Sanockim, tym zakątku naszego kraju, gdzie najdłużej przechował się nietyle staroświecki, ile szlachecki z końca 18 wieku obyczaj. — Ziemia ta, stojąca na boku różnych prądów cywilizacji nowoczesnej, pielęgnowała dłużej żywot patryarchalny i towarzyski; i kiedy wszystko w okół się odmieniało, ona nie wyzuwała się z właściwej sobie fizynomii.

Fizyonomia ta i ten obyczaj, noszące cechę swojską, a zatem dość względem reszty oryginalną, mogły dostarczyć wiele kolorytu i rysów zajmujących pisarzowi powieści; a to głównie z téj strony, że do rozpowiadań o dawniejszej szlachcie, zanadto stereotypowanych i zużytych przez wielu piszących, zanadto tchnących konwencyonalną manierą, przymieszała się cząstka prawdy, przez co i więcej życia wstąpiło w postaci dawne i więcej rzeczywistych opisów nadało im niejako historyczny interes. Tak tedy p. Kaczkowski dostawszy takie tradycje użył je do swoich powieści, ale że tradycya nierówna tradycyi, więc i te, które on sobie przyswoił, należą bardziej do warstwy niższej, odnoszącej się do powszedniego, więcej zaściankowego niż publicznego życia. Prócz wzmianek o konfederacyi Barskiej, która, że tak powiem, jedném skrzydłem zaczęła o te góry, wszystko obraca się w kole pospolitych pijatyk, burd jarmarcznych, zjazdów, procesów, konkurów, wykradzeń i t. p.

Że jest inna jeszcze strona wyższej tradycyi, sięgającej w głębszą przeszłość, pokazującej poważne i wielkie oblicze narodu, wprowadzającej na widownię figury napół histo-

ryczne, charaktery szlachetnie wzniosłe, umysły widzące szerzej i dalej, trzymające ster pojęć i ducha publicznego, niemniej ducha rodziny, że jest inna jeszcze tradycya o tém przekonywamy się z poematów W. Pola, jak: Zgoda Senatorska, Sejmik w sądowej Wiszni lub Czasy konfederackie, qsnutyh także na Sanockich tradycyach zaśłyszanych z ust poważnych starców, którzy sami należąc do nich, mogli byli jészcze patrzeć na ludzi i wypadki mające więcéj niż powszednią wagę. — Tak tedy jedne kompletując się z drugimi, dopiero przedstawiłyby rzetelny obraz; inaczéj bowiem, wzięte li ze sfery pozioméj, nie zawsze korzystne dadzą wyobrażenie o tém minioném społeczeństwie, które aczkolwiek w części minęło, nie miało przecież tych warunków rozkładowych, jakie przygotowują upadek wszelkich społeczeństw.

Tradycya, odkąd poczęła dostarczać elementu pisaćym, nie zawsze popadała w szczęśliwe ręce, jedni obracali ją na swoje koło, podsuwając dzisiejsze wyobrażenie i teorye, i ci najgorzéj jój dokuczyl; inni traktowali zbyt lekko, jako materyał, który potrzeba przeżuć i zużyć, a nie jak świętość narodową

jako jedyny klucz do tajemnic dziejowych; najlepsi tylko umieli tradycję oprawić jak drogi dyament w złoto i srebro poetycznej twórczości. Za rzetelną zasługą poczytać należy p. Kaczkowskiemu, że nie poszedł śladem pierwszych, za mniejszą, że nie ostatnich. — W powieściach jego nie znajdujemy nigdzie owych dążeń do propagowania pewnych teoryjek, choćby z pogwałceniem prawdy dziejowej i zdrowego rozsądku; nigdzie nie widać, aby umyślnie fałszował mowę lub czyny swoich bohaterów, dla przypodobania się jakiej koterii i zyskania jej oklasków. Co mu tradycja przyniosła, stara się pogodzić o ile może z prawdopodobieństwem; fakt zachowuje, lecz za to pozwala sobie nie zważać na epoki i wprowadzać nazwiska osób i rodzin, jakichby może nie pokazały rzeczywiste tradycje ziemi Sanockiej.

Nie więcej on swoje figury ceni, niż pisarze komedyi obsługujący się Demonami, Orgonami, Zacniewskimi i Fiutyńskimi. Z tego powodu, ponieważ wielką wagę przywiązuje do wiarogodnej tradycji starałem się zasięgnąć w tej mierze wiadomości od osób zażytych w Sanockim, a nawet znalazłem takiego

Sanoczanina, krew czystą, który miał gotową reklamę przeciwko niehistoryczności i nieautentyczności niektórych nazwisk i domów; lecz żeby to zakrawało coś na suplement do Niesieckiego, nie mógłbym podobnego aktu dać na użytek publiczny. Owoż z poszukiwań jakie w wątpliwościach tych przedsięwzięłem, pokazało się, że p. Kaczkowski miał tradycje, ale je niedokładnie zbadał, a raczej wziął za lekko. Nie nastawałbym jednak na to, gdyby w jego powieściach grała sama fantazyja, której przecie wolno bujać sobie i przerzucać ludźmi, wypadkami i czasami, jak się jój podobą; lecz-właśnie wszędzie przebija w nich ta chęć pokazania się wiernym tradycyi, to ściśle, drobiazgowo nawet skopiowanie ówczesnych form, barw, aż do języka. Widać, że tradycję miał na myśli, że mu o nią szło nieraz więcej, niż o jakie gwałtowne efekty teatralne, a jednak użył jój tylko powierzchownie, a raczej jak materyał, z którego różne rzeczy dają się wykroić. Jakoż czytając powieści p. K. czy to odnoszące się do czasów saskich, czy do późniejszych Stanisławowskich, mógłbyś wnosić, że te góry Sanockie, tak nabite były osiadłemi domami szlacheckimi, jak

góry Kaledonii klanami; że tam od wieków dziedziczyła ziemię, ta szlachta przesuwała się w jego powieściach. Tymczasem rzecz niezawodna, iż z wyjątkiem podgórze Sanockiego, reszta górskich obszarów była albo królewską, albo kompleksem majątków takich Ossolińskich, Mniszców, Stadnickich, toż Bałów czy Gozdawitów najdawniej tam osiadłych. Były to tak zwane górskie i wołoskie wsie, dokąd panowie zjeżdżali zwykle na łowy, spaszając psami całą krestencję owsa. — O dworach nie slyszano tam wtedy, bo i dziś je sołtysostwami zowią. Gdy zaś ta część kraju dostała się pod berło Austrii, dopiero ze sprzedażą Królewszczyzn, z rozbiciem wielkich imion, drobniejsza szlachta zaczęła się powoli posuwać w góry i w dworach osiadać. Z tego powodu myli się p. K. osadzając tam szlachtę jeszcze za Sasów, każąc jej odgrywać rolę dobrze żyjących dziedziców i possesjonatów; kiedy nawet tradycya dawna podała jako szczególny *casus*, iż jakiś z bełzkiego Lipski odważył się być osiadłym w Wetlinie, blisko pogranicza Węgier, gdzie polował na jelenie i na opryszki, wszakże ta sama tradycya doda-

je, iż na tém wygnaniu tak zdziczał, że swego języka zapomniał i tylko góralskim gadał.

Drugi ważny, a może jeszcze ważniejszy szczegół, na jaki pragnąłbym zwrócić uwagę, jest wprowadzenie francuzczyzny upersonifikowanej w tak zwanych przez p. K. perukarzach. Tutaj także nietyle razi anachronizm, ile nieloiczność wypływająca z samego założenia. Założeniem bowiem jest ten pewnik, iż Sanockie najdłużej zachowało swoje tradycje i obyczaje. A zachowało dlaczego? bo nie uległo wpływowi francuzczyzny. W tém téż to najwybitniejszy charakter téj ziemi, zachowanej jakby dziwném losu zrządzeniem, aby z tych śladów, z tych odłamków pogruchotanych odgadywać całe i wielkie postacie, które nam przyniosły dzieje, a które nigdy nie ożyją, póki przez nie nie przeciągnie się nic żywej tradycyi.

Walka żywiołu staropolskiego z przybystem francuzkim często przychodzi w powieściach p. K., który w tym względzie przegrywa tylko na temat, jaki widzieliśmy w Listopadzie przeprowadzony tak po mistrzowsku, tak skończenie, że trudno coś jeszcze dodać; chyba, że komu chętka przyjdzie zabawiać się

nim nieustannie, zapewne w moralnym celu, aby francuzczyznę obrzydzić. Pominąwszy jednakże cel moralny, francuzczyzna w Sanockiem, które jak powiedziałem, dlatego swój charakter zachowało, że jój nie znało całkiem, znajduje się często upersonifikowaną w figurach wprowadzonych przez p. K. lecz nie-szczęściem ubrał w nią autor osoby, o których tradycya wcale inaczej niesie.

Między innemi dość tu nazwać ojca p. Jacka Fredry, a dziada naszego ulubionego pisarza komedyi, który siedząc na swoim zamczku w Choczwi, żyje jak zepsuty, przesycony libertyn francuzki i pije szampana. Szampan w Sanockiem przed jakie siedmdziesiąt laty! tegoby się trudno spodziewać, tam gdzie pija-no węgryna, tém bardziej, że i w samój Warszawie, gdzie szczerze chciano być francuzami, sławny Komarzewski dostawał go czasem, jako rarytas. Ależ zrobiwszy dziedzica na jed-nój Choczwi takim ptimetrem, trzeba go było poić stosownie.

Nie przeczę, że element francuzki bardzo na rękę, aby czysto swojskie charaktery le-piej się odbijały; jestto mała tajemnica po-wieścio-pisarska, chociaż rzetelność tradycyi

na tém cierpi, a nawet zdrowy sąd ostrzega, że w tak ubogim zakątku jak góry Sanockie, nie było fortun wystarczających ani na szampana, ani na zamorskie wojaże, i to w czasach, kiedy zaledwo magnaci odważali się otrzeć o większe stolice. Wiadomo, iż zacny dawność i znakomitemi głowy dom Fredrów, nie sływał w owe czasy ogromem fortuny, lecz że w tym rodzie bywały senatorskie krzesła, — przeto autor wychodząc z dowiedzionej zasady, iż zepsucie szło z góry, kazał dziedzicowi Choczwi koniecznie być francuzem. Przypuśćmy żeby i był nim w istocie, jakżeżby mógł być okazać się takim w gronie braci szlachty? trzeba bowiem wiedzieć, iż owi zamożni panowie siedzący w dobrach swoich na piękném podgórzu Sanockiem, aczkolwiek ulegali panującej modzie francuzczyzny, i radzi popisywali się nią w stolicy i innych ziemiach, jednakowoż raz przejechawszy San, stosowali się do żywołu przemagającego w ich górach, i byli jak drudzy. Z téj przyczyny tak zwani *perukarze* w powieściach pana K. są zapewne tradycyjni, lecz z świeższej daty, mogły to być rzadkie excepcye lecz nie typy, a te ostatnie, stanowią dopiero główną zaletę kreacyi.

Trzy tomy powieści p. Kaczkowskiego, które już wyszły, *Bracia ślubni* i inne powieści po dziennikach ogłaszane, które zapewne wyjdą, wszystko to tworzy pewną całość opowiadań *Ostatniego Nieczwi*. Podobnie w Pamiętnikach Szlachcica Łitewskiego, widzimy Soplęcę opowiadaczem i kronikarzem zdarzeń swojego czasu.

Autor chcąc czytelnikom dać najzupełniejsze złudzenie, obyczajem homerycznych rapsodów, usuwa się w głąb, wysadzając naprzód Sanockiego szlachcica, któremu każe opowiadać i własne przygody i te, na jakie patrzył. Powziąwszy ten pomysł, nie mógł go inaczej rozwiązać, tylko przybierając wszystkie formy i wyrażenia archaiczne, jakich mu najwięcej dostarczał Pasek i inni dawniejszej daty pisarze. Tego rodzaju sztuki próbowali niektórzy z naszych poetów, lecz w drobnych kawałkach, czując, żeby nie mogli w utworze szerokiego rozmiaru przy tej kunsztownej, a tém samem niewolniczej formie podołać. Pan K. widać wziął to inaczej i najmniej sześć tomów tworzących *Pamiętnik Ostatniego Nieczwi* napisał tym stylem minionych czasów, zapewne, aby jak najdokładniej mógł naśladować

koloryt wieku aż do opisów i przemów. Mimo takiego *tour de force* trudno mu było utrzymać się w ścisłych granicach; dlatego spotkasz w tym stylu i Paska i Soplicę i Reja, a często i jego samego, człowieka dzisiejszej epoki, który zapomniawszy się w żywszych momentach wprowadza słowa, myśli i obrazy grzeszące przeciw téj archeologii języka. To pokazuje, że kiedy jaka sztuczna maniera obrona nawet z uporném przedsięwzięciem, nie jest dość silną, aby się oprzeć mogła indywidualności piszącego, już tém samym musi być niewłaściwą, a raczej nienaturalną. Włoscy znawcy w malarstwie oddawna zganili ten sposób przyswajania sobie manieri i stylu jakiego mistrza lub jakiej epoki, dając mu nazwę *pasticcio*, co przez francuzów przemieniono w *pastiche* i zastosowano do literackich tego rodzaju utworów.

Przyswojenie sobie tak sztucznego stylu, choćby najbardziej przyswojone, wynikło u p. Kaczkowskiego, ile można wnosić, z tego pociągu nowszych pisarzy romansów, poematów i dramatów, do zachowania tak zwanego miejscowego kolorytu.

O tym miejscowym kolorycie cuda nieraz

prawiono i dziś jeszcze prawią, przypisując mu tak cudowną moc, że inne warunki kreacji, jakoto: rozumny plan, harmonia części, dobrze postawione i ujęte charaktery, zdają się być w cień zepchnięte, aby temu gościowi dać pierwsze miejsce. Tymczasem im więcej badamy, co to jest koloryt, za którym tak przepadają nasi pisarze, tém wyraźniej przekonujemy się, że to jest tylko ozdoba zewnętrzna, niby piękna suknia pokrywająca ciało; ale jak najbogatsza suknia nie pokryje garbu lub krzywych nóg, tak i koloryt może powierzchownych sędziów omamić, baczniejszych tylko nie zbije z tropu. Prawdziwy dramat życia jest jedynie w sercu człowieka, a nie w ła-chmanach i świecidłach. Ależ z téj chętki szukania barwy miejscowój w opisach widoków, wnętrza mieszkań, sprzętów, ubiorów, oręża, zgoła wszystkiego, wyrodziła się druga chętką, a raczej drugi grzech, a tém jest zmateryalizowanie stylu przez fałszywą retorykę, przez cześć dla obrazów cielesnych, przez ten realizm zastosowany bez miary i przyzwoitości do wszystkich uczuć serca i wzruszeń duszy. To uzmysłowienie myśli, więcej może sprawić nieładu w dziedzinie języka, wyobraźni i sma-

ku, a nawet moralnych stosunków, niż owe tak okrzyczane licencye pisarzy, z czasów Poniatowskiego, lub pisarzy rzymskich. Szkoła ta sensualistów wygórowana we Francyi, zaczyna tam budzić wstręt i niesmak; u nas zapewne domierzy kresu swojej fazy, dzisiejszy bowiem pociąg do studiowania tego, co leży na powierzchni, a nie tego, co się kryje wewnątrz, najlepiej wyjaśnia ku czemu przechylają się niektóre talenta.

Uwaga ta stosuje się o tyle tylko do powieści p. K. o ile postrzegamy w nich widoczną chęć poświęcenia dla kolorytu, epoki i miejsca, innych stron kompozycji, nierównie ważniejszych i bardziej cenionych przez znawców, niż ta powierzchowna szata, mogąca się podobać jak nowość, nigdy jako owoc głębszego rozmysłu.

Dla téjże przyczyny wiele miejsc, które byłyby wcale nie raziły, jeśliby autor był sam wystąpił jako opowiadacz, rażą w formie obranej przez niego, a to szczególnie w opisach, w wynurzeniach uczuć, lub reflexyach moralnych. Jeżeli bowiem chciał się archeologicznie pilnować, powinien był unikać opisowości natury, będącej dzieckiem naszego senty-

mentalnego romantyzmu. — W naszych starych pisarzach nigdzie się tego nie napotyka, nawet w najromantyczniejszym, najswobodniejszym z nich Pasku. Jeżeli widział góry, doliny, lasy, morze, to napisał, że widział, i nic więcej. Ani wątpić, iż serce ich nie było obce pięknościom natury, ale nie lubiło się romansowie tłumaczyć z wrażeń doznanych na widok tajemniczym błękitem powleczonej gór, lub mglistych dolin: nie podsluchiwało rozmowy drzewami kwiatów, nie gadało z gwiazdeczkami tym panteistycznym językiem, jakiegośmy się nauczyli od sentymentalnych Szyllerów. Autor robiąc się sam opowiadaczem, mógł być malować w całej rozciągłości takie uczucia, nurzać się w romantycznej opisowości, bo mu to wolno było, jako dzisiejszemu, lecz skoro opowiadanie włożył w usta osoby innej epoki, winien był wymagać i charakter téj epoki skrupulatnie zachować. Tego przynajmniej domagała się ścisła loika.

Rozmarzenie sentymentalne i romansowość, także nieznanne kobietom naszym, dopóki romansów francuzkich nie zaczęły czytywać, a raczej dopóki romantycznej szkoły

nie nadeszło panowanie, dziwi nas w tej Zosi, bohaterce powieści *Murdelio*. Piękny ten charakter dziewiczy, mógł być zostać prawdziwym typem niewinnej, cichej, dobrej jak anioł dziewczyny, wychowanej na wsi; a choćby może spotkał się z nieporównaną Zosią, narzeczoną pana Tadeusza, która jeszcze długo będzie ostatniem słowem w postaciach tego rodzaju; jednakże przypadłby lepiej do ducha czasu i tonu powieści. Autor widoczną mający do snów predylekcyę, często je wprowadza jako przepowiednie przyszłych zdarzeń; jestto więc, że tak powiem, pierwszy stopień cudowności będącej na zawołanie, cudowności wcale nieudanej, bo któż jej nie używał i nie nadużywał od czasów patryarchy Józefa do dziś? U nas, jak wszędzie, lubo w sny wierzono, nie dawano im przecież tak wysokiego bardzo znaczenia, stare przysłowie wiele objaśnia w tej mierze: Bóg wiara, sen mara.

Tymczasem posłuchajmy cudownego snu Zosi: „We śnie tym strasznym, powiada autor, widziała Zosia jak najwyraźniej, że róża biała już całkiem umarła i leżała w trumnie na katafalku; koło niej dwa goździki nieboszczyki w trumienkach, a po czarném pogrzebowém

okirzu piał się powój zeschnięty. Biedne kwiatki! umarły. Po chwili téż przyszły wielkie muchy i chrząszcze i założyły wieka na trumny. Poczém myszy je biorą na barki, zdejmują z katafalka i niosą na cmentarz, już je wzięły, stanęły, już idą. Przed konduktem leci banda pszczoł i komarów i gra marsz pogrzebowy. Za trumną idzie ze spuszczoną głową mąż róży umarłej, smutny, zapłakany tulipan. Za nim zdala cała kwiatków gromada. Więc lilie białe z twarzą piękną, lecz obojętną; dalej trzymające się za ręce czułe ciągnęły braciszki, dalej smutne z rozczulonemi sercami fiołki, dalej róż kilka zwiniętych w paczkach i szczerze żałujących swęj siostry; dalej perfumowane narcyzy w pudrowanych perukach i jak śnieg białych batystowych żabotach, niby eleganty idą także, ale więcej dla mody niżeli z współczucia; dalej dwie piwonie przekupki, głośno belkoczące ze sobą, i cebule flakarki ciągną téż za pogrzebem. Za niemi, z końca wielką, gęstą gromadą ciągnie lud boży kwiatkowego narodu, owóz owies i jęczmień, pszenica i żyto. — Po obudwóch stronach konduktu, dwoma długimi szeregami, ze świecami w rękach i białemi kapturami

na głowach, ciągną smutnie stokrotki, to zakonnice. Z boku tylko jeszcze skaczą jaskry, lamparty i pieczeniarze bławaty, a przy bramie cmentarza na starych grobowych głazach siedzą babki kościelne, cykorye.“

Nie prawdaż, że to prześliczny obrazek! daj tylko Grainvillovi ołówek w rękę niech go zaraz rysuje. Ależ zkądże ta Zosia tak poetyczne sny miewa? Zkąd? sen się nie pyta o pozwolenie; lecz niech nam wolno będzie zapytać zkąd ta symbolika kwiatów? Czy dlatego, że Zosia hoduje kwiatki, cieszy się kiedy świeże i kwitnące, smuci, kiedy opuszczają listki i zwieszają główki?... Może być, wszakże gdyby nie chronologiczne niepodobieństwo, jabym gotów pomówić Zosienkę, że czytała Heinego, a nąbiwszy sobie nim głowę śniła potem pogrzeb róży. Żart na bok; ale choć to piękne, nie idzie za tém aby było stosowne do ducha osób i czasu.

Archeologia puszczająca dzisiaj tak gęste kielki, zaprzatająca umysły, daleko silniej niż kiedykolwiek, mogłaby naprowadzić na domysł, że się już wyczerpał ostatni wątek życia na bożym świecie, że nie pozostało jak szukać go w podziemiach lub skarbcach. —

W przegubach starych zbroi, w fałdach zbutwiałych całunów, pod rdzą mieczy, w nieczytelnych hieroglifach pergaminów, ścigamy tego ducha, który ożywiał serca bijące pod niemi — ludzi, którzy się posługiwali temi sprzętami i narzędziami.

Wszystko to pomaga odtwarzać świat zamierzchły, naprowadza na drogi, ale go jeszcze nie tworzy, bo to rzecz kreacyjnego talentu, nie antykwarskich poszukiwań. — Wszakże ktokolwiek zaczepia o dawne czasy i chce je nam dać w całej prawdzie względnej czyli historycznej i absolutniejszej, czyli prawdzie serca ludzkiego, winien o ile być może, i o ile to nie zrazi obeznanych z przeszłością czytelników, wystudyować i jedną i drugą prawdę. Wymaganie to niezbędne dla historyka, obowiązującego choć w części pisarza powieści, zwłaszcza gdy tenże przykładać zdaje się wiele wagi do podobnych studyów. W dotychczasowych płodach p. K. zwierchnia szata przeszłości traktowaną jest z pewnym zamiłowaniem, ale i z umiarkowaniem. Na szczęście, nigdzie nam nie dał traktatu, ani o architekturze sanockiej, ani o sztuce kynegetycznej, ani o ekonomii politycznej; jeżeli zaś

o co zaczepił, to jedynie mimozajdem, tak, jak to bywa w pofoczném opowiadaniu, kiedy kto nie chce być pedantem, lub niema pretensyi do apostołowania nauki w sposób ułatwiony. Jednakowoż nie powiedziałbym, że wolnym jest od uchybień ilekroć potrąci o archeologię i niektóre miejscowości.

W powieści *Junakowie* pokazał nam autor czterech towarzyszków chorągwi pancernéj *en grand tenu*, i opisał ich strój rycerski. Pragnąc być dokładnym, nie pominął żadnej części ubioru, uzbrojenia i oręża. Lecz jak mało można się spuścić na tę dokładność archeologiczną, czytelnicy osądzą. Na wierzchu kontusza (powiada p. K.) mieli *pancerze polerowane z cieniutkich polerowanych kółek złożone*. Pancerz polerowany nie może być tylko z blachy, zbroja zaś złożona z polerowanych czy niepolerowanych kółek, zawsze nazywała się *kolczą* lub *kolczugą*, tak jak pancerz w karpia łuskę *karacena*.

Idźmy dalej: Po lewym boku, niby wystające od pleców, każdy miał skrzydło, jedno z *piór strusich*, dla *szelestu i huku* przy ataku używane. Tu najcięższe pomyłki, ledwie nie co słowo przychodzą; albowiem skrzydło to

nie wyrastało z boku, tylko z samego grzbietu i szło wyżej głowy; skrzydło nie mogło być osadzone na kolczudze będącej rodzajem tkaniny, tylko na żelaznym kirysie, a nakoniec skrzydło ze strusich piór lekkich jak pierze, nie tylko szelestu nie wydawałoby, a cóż dopiero myśleć o huku? — Skrzydła te były z twardych, sprężystych piór żórawich, lub jastrzębich, osadzonych na grubym, drewnianym kabłąku. — Widać że p. K. ma upodobanie do strusich piór, kiedy je także osadził na misiurce Chojnackiego i Nowosielskiego. Praktyczni i wojenni nasi ojcowie nie używali nigdy tak wątłych ozdób chyba na turniejach, lub na dworze, kiedy się nosili z cudzoziemską. Zresztą misiurka była zupełnie prostą ochroną głowy, i nie miała bynajmniej z tyłu daszka aż na kark spadającego, tylko siatkę stalową, taką samą jak kolczuga. Do pomyłek odnoszących się do miejscowości i niektórych zwyczajów, można policzyć umieszczenie klasztoru Franciszkanów w Tarnowie, choć go tam nigdy nie było, również widok na Tatry w Stryjskiem, jak i to, że Franciszkanie są u nas *ex ordine mendicantium*. Murdelio jest takim rodzajem kwestarza.

Nie wspominałbym o tych uchybieniach wytkniętych tu w części, gdyby nie to, iż po dziennikach ogłaszane zdania w tonie wyroczni, a z ogólników złożone, podnoszą zwykle to, czego niema, a zapominają o tém, co jest. I tak jeden z recenzentów w Gaz. Warszaw. Nr. 104 powiedział w swym artykule: „Znajomość osobliwsza przeszłości naszej, zastanawia nas odrazu w powieści Kaczkowskiego, wszystko mu jest znane na wylot, prawo, procedura, ubiór, oręż, język i t. d.“ Juwenalis dobrze tę wszechwiedzę oddaje w tym wierszu:

„*Augur, schoenobates, medicus, magus, omnia novit!*“

Rozebrawszy żywioly wchodzące w skład powieści p. Kaczkowskiego, powiedziawszy, com sądził o szacie zewnętrznej jego utworów, niepodobna pominąć rzeczy najgłówniejszej, to jest typowych charakterów, po których poznaje się twórczość talentu i artystostwo pisarza. Wiadomo bowiem, że gdzie jest dobrze ujęty i postawiony charakter lub typ, tam dzieło żyje i przetrwa wszystkie mody i zmiany; tak samo jak drobna powieść: *Manon Lescaut* przetrwało i wszystkie większe utwo-

ry swego autora, i tysiące romansów, jakie się po niej zjawiały.

Chcąc tedy mówić o charakterach, szukam tych znamion z jakich się takowe poznają; lubo charakter dobry czy zły ma to do siebie, że mimowolnie podbija czytelnika, wraża mu się w pamięć i zostaje głową rodzaju, do której odnosi i podporządkowuje cokolwiek spotka w życiu z téjże familii typów. Komuż się nie zdarzyło porównywać spotykane w świecie figury z typami Moliera lub charakterami Walter Skota?

Taki właśnie charakter lub typ pragnąłem znaleźć w powieściach p. K. nie w drobniejszych, bo te składają się ze szkiców chwytanych często z jednej strony, ale w szerokiej kompozycji *Murdelio*, zapełniającego dwa grube tomy.

Gdyby *Murdelio* nie był pisany z widoczną chęcią dania nam zupełnego dramatu; z pewnym planem, z zawiązkiem, z szeregiem zawiłych intryg, zdala przygotowanemi katastrofami; gdyby nie chciał być czém więcej, tylko prostém pamiętnikowém opowiadaniem, w którym różne zjawiają się i znikają figury, gdzie przypadek gra wielką rolę, zwyczajnie

jak w życiu; gdzie autor nie jest obowiązany towarzyszyć swoim kreacyom od kolebki do mogiły; znać na wskroś ich myśli i uczucia; gdyby to był li pamiętnik, Ostatniego Nieozui, jak niby napis ostrzega, nie miałbym prawa domagać się obmyślanego planu, mocno postawionych, umotywowanych i konsekwentnych charakterów, wystarczyłyby sylwetki i szkice, jak wystarczają kiedy przestajemy na dagerotypowaniu społeczeństwa w powszedniem jego życiu. — Lecz w *Murdeliu*, szczególnież i oddaniu osoby bohatera romanisu, znać jakie były chęci autora: zakroił on na ogromną postać, półfantastyczną, mającą być typem tego wynarodowienia się przez odrzucenie tradycyi, obyczajów, wiary ojców, a przyjęcie barwy obywatela świata w połączeniu z filozofią libertyńską i skeptycyzmem. Widocznie zmierzał do tego piszący; wszakże z kombinacyi téj wyszła istota nie mająca nic wspólnego z podobnemi typami ośmnastego wieku, które wcale wyglądały inaczej i u nas i gdzieindziej. Ci bowiem libertyni, ci wolterianie i encyklopedyści byli to ludzie zazwyczaj lekkiej głowy i serca; ślizgający się po przepaścistych drogach życia, jakby po wosko-

wanej posadzce; lubiący używać bez bojaźni przesytu; ale obok tego pełni rycerskości, dobry słabością serca, zdolni do czynów i poświęceń się, jak o tém świadczy historia zawdzięczająca im tyle wielkich kart. — Odjąwszy im tę stronę, bylibyśmy rzeczywiście w kłopotcie: bo jak tu wytłumaczyć to, co się działo w tém ogromném przeobrażeniu się społeczeństwa? Czy na działanie mass złożył pchanych pędem myśli wieku? Trudno; gdy przecież wiadomo, że popęd szedł tylko od indywidualuów, a massy jak zawsze i wszędzie, były narzędziem. Piorunujemy na wiek osmnasty, bo to przeszło w zwyczaj, bo nasz tém samém osłaniamy; jednak owoczesnym figuron nie można odmówić pewnej wiary, bałwochwalczej, to prawda, ale zawsze wiary w ludzkość, w uszczęśliwienie jój przez zmiany i naprawy społeczne, oparte na filozoficznych wywodach i teoryach. Było to niewiele, jednak coś, co pędziło do czynów wstrząsających światem; i nie można pomówić ich, żeby nie wierzyli w to co przedsiębrali, żeby z własnego dzieła mieli sztydzić tym skeptycznym, szatańskim uśmiechem, jaki wystąpił później na ponurych twarzach rozbójników

byrońskich, mszczących się na ludzkości, że się nie umiała poznać na ich jenuszu.

Murdelio, paniątko litewskie, na bakaliach chowane, przez cudzoziemskich dworaków popsute, mające być owym typem, a typem poprzedzającym nawet epokę Stanisławowską, wcale przedstawia się inaczej. Pan K. wystudiował go nie podług rysów zostawionych w historyi, pamiętnikach, tradycyi, lecz podług fantazyi, a raczej na wzór takiego Don-Juana, Konrada lub Lary. Jestto coś wyjątkowego, nie przystającego do tej epoki nawet we Francyi i Włoszech, a cóż dopiero u nas, gdzie lubo zaglądał wpływ zagraniczny, ale jakże poważnie, jak nieśmiało. Wprawdzie możnaby dużo złożyć na djabelską naturę bohatera, w którą go przystroił; ale i to djabelstwo inaczejby wyglądać mogło; w każdej bowiem epoce nie brak na rysach i żywiołach mogących złożyć taki potwór. W kreśleniu excentrycznych, często fantastycznych postaci, nie podobna obejść się bez pewnej względnej prawdy, bez harmonijnego zestawienia z innymi częściami, bez wyciśnięcia piętna obywatelstwa — inaczej figura taka, będzie razić jak fałszywa struna, jak nieforemny zlepek, a za-

tém nie przejdzie ani w typ wieku, ani w typ rodzaju. Zresztą wysilanie się na takich excentryków, na te nadzwyczajności natury ludzkiej, nie świadczy na korzyść kreacyjnego talentu, mającego w tém największą zasługę, jeżeli obierze sobie charakter najrzeczywistszy, najwięcej rozpowszechniony, i skupiając w nim wszystkie pierwiastki, stworzy typ. — Murdelio nie jest typem, tylko fikcją; nie postacią z duszą i ciałem, lecz konturem szukającym, a nieznanym; mógłby być widmem, zmorą, gdyby znowu nie był za ciężki i hałaśliwy.

Uwagi powyższe najlepiej dadzą się usprawiedliwić, jeśli Murdelia oglądniemy z bliska. Zaczniemy od długich jego wyznań na zamku w Choczwi. Przy piniącym szampanie wszystko wyśpiewał panu Fredrze i pocziwemu Nieczui: *in vino veritas*.

Ojciec jego, jak sam opowiadał, z chudego pacholka, odziedziczywszy summy hiszpańskie, przyszedł do ogromnego majątku. W tém zjawia się — jak to zwykle bywa — jakiś krewniak szlachcic oszmiański mający wioskę w sąsiedztwie, i domaga się części tych summ hiszpańskich. Ojciec Murdelia zadał mu fałsz,

szlachcic przekonał dokumentami, wyrąbał się z nim i przeklął: Bodaj djabeł wlaźł w tę fortunę i rozniósł ją na cztery wiatry.“ Dotknęło to widać skąpego ojca, bo się roznie-mógł, chciał krzywdę naprawić odstępując krewniakowi część majątku, ale oraz zakazu-jąc synowi, aby się z jego córką nie żenił. — Były to ostatnie słowa przed skonaniem, które odbyło się w sposób niezwyčajny, przy grzmotach i piorunach wałących w zamek; co wytłu-maczono sobie, iż przekleństwo szlachcica się spełnia, „bo zły duch włazi pomiędzy te mury.“

Zdaje się, że ten zły duch wlaźł po prostu w młodego Murdelia umiejącego potem płać prawdziwie djabelskie figle. — Po śmierci ojca panicz ujrzawszy się na czele ogromnej for-tuny, jedzie do obcych krajów, traci dużo pie-niędzy, używa, nakoniec nudzi się i wraca; a zastawszy nieład w administracyi majątku, robi porządek djabelski.

„Najpowszechniej, powiada on, utrzymy-wano, że djabeł duszę zapisał, albo że zgo-zoła sam djabeł *in persona* i to djabeł We-necki.“

Co za obmowne języki! Murdelio tymcza-sem filozoficznie i elegicznie przemyślał nad

sobą, nad ludźmi, nad światem: „Późnemi wieczorami, kiedy już wszystko ucichło dookoła, wychodziłem na wierzch ruin powalanej połowy zamku; tam, przy narożnej, a ocalonej od zniszczenia galeryi, na głazie siadywałem i słuchałem wołania sowy i głośnego śmiechu puszczyka, i to mnie bardzo bawiło.“

Szkoda, że jeszcze nie miał w ręku Medytacyi Lamartina. Otóż bawiąc się w ten sposób, tak się znudził, że aż przypomniał sobie zakaz ojcowski, aby się nie żenił z córką owego szlacheica roszczonego sobie prawo do summ hiszpańskich; a przypomniawszy, pojechał, poznał ją i pokochał się. Odtąd bywał tam częstym gościem; alie pewnego razu „siedzę ja na kanapie trzymając pannę na kolanach, w twarz ją całuję, ale nie w żadnej złej myśli, tylko tak, dla zabawki.“

Trzeba wiedzieć że kiedy to Murdelio opowiada podchmielonym kompanom, kocha się w tej samej osobie do szaleństwa i myśli o wykradzeniu jej. Cynizm ten, nie wiem czy da się pogodzić z wykwintnemi manierami naszych wojażujących przodków, a jeszcze mniej z prawdą serca. Było zepsucie obyczajów; ale był i polor i smak delikatny. Na nieszczęście

surowy szlachcic postrzegł tę zabawkę z drugiego pokoju, wpadł, gacha zmieszał z błotem i już chciał poczęstować setkiem batogów, — lecz zwinny Murdelio czmychnął przez okno. Po téj awanturze napisał wprawdzie list do obrażonego starca z przeproszeniem i oświadczeniem się o rękę panny; starzec zamiast odpowiedzi, obatożył posłańca, o czém dowiedziawszy się Murdelio, zapalał taką zemstą, iż zebrawszy dworskich kozaków, najechał dwór szlachcica, spalił, zburzył, zrabował, a w końcu porwał mu córkę, którą zawiózł na swój zamek, gdzie — jak powiada — „zapomniałem o świecie całym, i od stóp do głów stałem się cały miłością.“

...in furias veneremque ruunt.

Gwałt taki oburzył okoliczną szlachtę, grożącą odbiciem panny. Murdelio widząc, że to nie przelewki, jedzie przebłagać szlachcica — nie zastaje go — wraca do siebie i nie zastaje panny.

Uciekła! Murdelio choruje, potem wyjeżdża do Włoch, gdzie mu donoszą, iż pannę jego wydano za stolnika Rzeczyckiego. Pobawiwszy kilka lat za granicą, przyjeżdża zno-

wu do Polski i oddaje się publicznemu zawodowi, który to zawód tak opisuje:

„Zrywać sejniki, pić i agitować ze szlachcią, trząść trybunałem i całym sądownictwem po kraju, cha, cha, cha! to przepyszna rozrywka! ani na wagę złota nigdzieby jej nie można dostać podtenczas w całej Europie. — Kiedy mię Londyn, Paryż, Rzym i Neapol już do czczości znudziły swojemi redutami, karnawałami, kobietami, dworami, Polska niespodzianie przygotowała mi taką zabawkę.“ — Przesyt i nuda i ta miłość złego dla złego, i ten wyrafinowany skeptycyzm, zgoła te szataniczne pierwiastki utworów byrońskich, dobraneby malowały charakter szatana, gdyby to szatan był nowszej daty, lub gdyby Murdelio był nim rzeczywiście; ale on jest tylko prosty fiksat, tém ekliwszy, że się ciągle w jedném kółku obraca. Przecież i u nas bywały fiksaty i szaleńce, a nawet i wcielone djabły; jednak w nich przebijało coś innego. Szaleństwa i excessy takich potępieńców były owocem wygórowanej ambicyi i dumy, nie zaś przesytu i skeptycyzmu, który dopiero wtenczas urodził się w duszach wystudzonych filozofią, kiedy ambit i duma nie znalazłszy już

poła dla siebie, trawiły się same w sobie i nie-nawistną myślą wywracały ten świat, który nie chciał się na nich poznać, czołem przed nimi uderzyć....

Wracamy jednak do historii bohatera powieści. Murdelio po kilku latach takiego żywota, dowiaduje się, że stolnik Rzeczycki rozstał się ze światem. — Wdowieństwo kochanki jego, budzi w nim nowe nadzieje: zapomina o zemstach, jedzie na Wołyń, aby dawne związki odnowić. Jakoż widzi się ze stolnikową; ona mdleje — potem zaklina go, aby odjechał i czekał cierpliwie, dopóki nie da mu znać, że wszystko ukartowane. Potulny kochanek odjeżdża najspokojniej i przyrzeka czekać rok, dwa, choćby nawet dziesięć lat. Jednakże mijają miesiące, lata; stolnikowa listami majaczy. — Murdelio niecierpliwi się, mimo tego hucznie żyje, chce się nawet do sławnej bandy albeńskiej zapisać — nieprzyjęty znowu woła: „Zemsty! zemsty pragnąłem, jak hyena trupów i kości.“ Wprawdzie nie wywarł jój na nikim, tylko żółć w sobie wzburzył i rozchorował się — biedny djabeł! Gdy zaś mu doniesiono, że Stolnikowa wyjechała z dwiema córeczkami i starym ojcem

w inne strony — rozplakał się — i do Włoch wyjechał; i znowu powrócił do kraju na elekcyę Stanisława Augusta.

Na tém się kończy autobiografia Murdelia. Wcale to nie taki straszny djabeł, odkąd się sam zdemaskał w tém opowiadaniu, które znacznie osłabiło wrażenie, jakie robił w ciągu pierwszego tomu, kiedy pokazując się w postaci franciszkańskiego kwestarza, wywierał jakiś tajemniczy wszechwładny wpływ na umyśle stolnikowej w rozmowach podsłuchanych przez Nieczuję, lub w rozmowach z samym Nieczują; kiedy w nim walczyła namiętność szatańska z mniszą pokorą. Figure tę nieodgadnioną. dobrze postawił i prowadził autor w pierwszym tomie; nawet użyczył jój rysu nadzwyczajności fantastycznój w przygodzie z owym missyonarzem, lecz kazawszy mu gadać za wiele, osłabił ten interes, zwichnął to, co zakrawało na charakter, a zniszczył do szczytu urok fantastyczności.

Raz zbity w właściwego tropu, raz огоłocony z poezyi Murdelio, zamienia się pod koniec romansu w zużytego bohatera melodramy. Wykradłszy bowiem stolnikowę w Sanockiem (to upór nie charakter), uwozi ją na swój li-

tewski zamek jak drugą Lenorę, w tém niepodobną do balladycznej kochanki, że miała lat czterdzieści, humor skwaszony i dwie córki na wydaniu. Chociaż autor temu wykradzeniu chciał nadać urok cudowności, powtarzając obiegającą pogłoskę, że Murdelio jedną noc sto dwadzieścia mil upalił, z Sanockiego na Litwę, z tém wszystkim czytelnik poznawszy, że w tym bohaterze nie ma nic nadzwyczajnego, nie wierzy temu i poczytuje za plotkę. Nie zdejmując z niego szaty tajemniczej, byłby autor daleko szczęśliwiej wywiązał się z zadania.

Po uwiezieniu stolnikowej tak mało interesującej, ojciec jój, ów twardy staruszek jedzie szukać jój na Litwę; tam podburza szlachtę oszmiańską, która po długich ceregielach ciągnie na obwarowany zamek Murdelia i — zdobywa szarżą kawaleryi. Nic dziwnego; jeżeli huzary francuzkie wzięły raz okręt w Hollandyi, dla czegożby obronnego działami zamku wziąć nie można jazdą oszmiańską? Słowem, Murdelio obskoczony, broni się rejterując, z pokoju do pokoju; aż gdy ostatecznie drzwi runęły, znaleziono go stojącego w teatralnej postawie nad ciałem prawie nie-

żywej niewiasty, z rozpuszczonym włosem i t. d. — on sam w suknie czarnej, podobno w włoskie przebrany, w jedném ręku trzymał szablę, w drugiem pistolet... Rzucono się nań — on wystrzelił, chybił; porwał się do sztyletu, tych i owych pokaleczył, innego w rękę ukąsił... i przepadł, rozstąpiła się ziemia; zwyczajnie jak djabeł.. Ta leżąca niewiasta, była to stolnikowa, która przyszedłszy do siebie, nigdy nie mogła darować nieproszonym obrońcom, że jój przerwali *die schönen Tage in Aranjuez*.

Para ta awanturniczych i przekwitłych kochanków, staje się wcale śmieszną pod koniec, bo grzeszy nieprawdą; dla tego téż czytelnik nie ma dla nich żadnego współczucia. Nie brak tu, jak widzimy, natłoku zdarzeń, zamieszania i ruchu; ale brak spokojnego i głębokiego pojmowania i kreślenia charakterów; przeto ta różnorodność wypadków, jak owe częste wykradania, owe gniewy zapamiętałe na kraj, na szlachtę, na ojca panny, owe nieustanne wyjazdy do Włoch, owa obrona zamku i ostatnia katastrofa, wszystko to, nie mogło osłonić charakteru Murdelia nie przywiązanego niczém, nawet swoją szpetnością moral-

na; nieusprawiedliwionego niczém, chyba tém, że natura niewa kaprysy i płodzi potwory. Lecz że potwór nie może nigdy być typem, tylko wyjątkiem w rozumnym rzeczy porządku — przeto i Murdelio nie jest bynajmniej typem polskiego djabła. Zresztą biedny to djabeł, kiedy kończy na porwaniu staréj baby; kiedy mając moc płatania sztuczek piekielnych, nie sprawił sobie wcześniéj téj uciechy. Z tych powodów, póki bohatera otacza urok tajemniczéj cudowności, póty trzyma ciekawość naszą w napięciu. Pan K. pokazał się w téj części prawdziwym sztukmistrzem; znać, że jest wśród swoich. Lecz odkąd przerzucił wypadki na Litwę, a wprowadził sceny przypominające zbieranie się zaścianków do zajazdu na Soplicę, widocznie pozbawiony miejscowych studyów i tradycyi, utknął, nadrabiając reminiscencyami, i uciekając się do sposobów dawno zużytych w romansach. Słusznie tu zastosować można wiersz Horacego:

Desinit in piscem mulier formosa superne.

W ogóle Murdelio, w którym chciał nam autor pokazać zupełny charakter, gdzie usiłował sięgnąć po wyższy stopień cudowności,

niż sny — przedstawia się jakby rozmazana kopia tych oryginałów, jakie w mniejszych powieściach silnemi, prawdziwemi i samorzutnemi rysami naszkicował tak szczęśliwie: To utknięcie pochodzi głównie nie z tego, że żywił w powieściach zawarty powtórzył się w kompozycyi na większy rozmiar, bo przecież i Walter Skot tak w większych, jak w mniejszych romansach swoich maluje żywot domowy i wojenny klanów — ale z tego, że piszącemu nie udało się stworzyć i utrzymać charakterów. Walter-Skotowi nie koloryt miejscowy zapewnił nieśmiertelność; bo cóż świat mogą obchodzić tak bardzo jego Szkoty? ale głębokie zbadanie uczuć i namiętności, słowem znajomość człowieka. On dotarł do prawdy niezmiennéj serca ludzkiego; a prawdę historyczną, przybrał jak szatę, i ztąd na niejednen wyrzut zasłużył.

O innych charakterach i typach trudno co wyrzec, są to bowiem szkice, fizyonomie, dagerotypy, sylwetki, oryginały zebrane w krótkiej znajomości z nimi, w czasie zjazdów, hulank, pijatyk, spotkań po drogach i karczmach. Jeden Dziadunio w *Murdeliu*, mógłby dostarczyć kilka głębszych i poetyczniejszych

rysów, kiedy opowiada swoje młodsze dzieje; lecz potem zamienia się w gadulę obudzającego w sobie oratorską scenę starym miodkiem. — Zrozumieć go również trudno; bo mając dawne zajścia z Murdeliem (dyshonor córki) puszcza go w dom w przebraniu zakonnym, choć znając go, mógł wiedzieć, że suknia nie robi mnicha.

W małych za to powieściach osnutych na jakiejś anegdocie, na miejscowej tradycyi o jakim oryginale, pan K. dowiódł prawdziwego talentu, umie opowiadać z wielką żywością, malować pewnemi i silnemi rysami, zgoła tak uprzytomniać i osoby i sceny, jakbyśmy na nie patrzali. Chociaż w ogóle nie spostrzegamy w nich nowych fizyonomij i typów, często bowiem bierze masami swoich rycerzy kielichowych i rębaczy; jednakże pojedyncze sceny bardzo trafnie oddaje i dyaloguje wybornie, w czém stare sposoby mówienia doskonale mu służą. Każda z takich scen, skończony tworząc obrazek, odsłania zarazem stronę, dla której p. K. pozyskał wziętość zasłużoną; bo z cząstek tych, można odgadywać, że jeśli zdobędzie się na charaktery głębiej ujęte i postawione prawdziwie, da nam romans jakiego

oczekujemy. Już dziś możemy w mniejszych tych powieściach dopatrzeć się dużo artystostwa; obok wielkiego ruchu, żywości, ognia, zdolności portretowania i postrzegania, wyobraźność jego hamowana rozmysłem umie się powstrzymać; dlatego tak umiejętnie rozporządza i miejscem i grupami; a trafne słowo stawiając się mu na zawołanie, podnosi znaczenie dyalogu, który nie opóźnia, ale przyspiesza pochód akcji.

Dla tych przyczyn nad *Murdelia* i nad *Braci ślubnych*, wyżej stoja powieści jego, czy że przechowują pierwszy rzut myśli, czy że autor w mniejszym zakresie więcej jest panem samego siebie. *Bitwa o Chorążankę* ma tyle humoru, tyle scen nieopłaconych, tyle wiejskiej rubasznosci, tyle fizyonomii niepożyczonej, że pozostanie wzorem w tym rodzaju. — *Swaty na Rusi*, zajmujące osnowę i prowadzone dobrze, nie ustępują pierwszej.

Szczęśliwie tam i w oryginalnych rysach wystawiony dom Starosty Bachtyńskiego; jest to zepsucie, które nie zgangrenowało jeszcze serca i duszy, chociaż sam Starosta zanadto może pogardliwie traktuje swych gości, nie

wstając nawet od kart, kiedy się ci z nim wita. Bywali u nas dumni panowie, ale w domu swoim nie umieli tak po amerykańsku uchybiać. Trudno to przenieść się w ubiegłe czasy, aby się u nich nie odbiło coś z epoki w której żyjemy.

W Junakach polowanie na Cyganów wyborne; wyprawa zaś czterech sanockich paladynów na Zaporozże, mija się z prawdopodobieństwem. Rzeczpospolita trzymała na kresach chorągwie przeciw hajdamakom; magnaci mieli wojska nadworne, a przecież nie zawsze siły te mogły podołać licznym, zwinnym, przebiegłym i bitnym kupom kozackim. Czterech zaś ciężko uzbrojonych ussarzy mogłoby więcej dokazać na stepie niż wojsko do tej wojny nawykłe? To przypomina Ariostowych Bradamantów i błędnych rycerzy; lepiej, żeby ich nie przypominało.

Mimo tych usterków główną cechą i zaletą mniejszych powieści p. K. jest naturalny tok opowiadania, dużo prostoty i malowniczości stylu; wypadki same się nasuwają podobnie jak w życiu bez sztucznych przygotowań, bez zabiegów do sprawienia efektu, zupełnie trybem pamiętnikowym. — W tej swobodzie

kompozycyi, mieści się największy ich urok, zręczném ukryciem sztuki, czytelnik czuje się przeniesionym w inny czas, między innych ludzi.

W przeglądzie tych powieści, przy rozbiórce pierwiastków, z których złożone, zatrzymałem się dłużej może nad ich nielicznymi wadami, niż nad mnogością zalet, a to z powodu, że znalazłszy dowody talentu, czułem się w obowiązku wytknąć, gdzie są bezdroża i niebezpieczeństwa, gdzie prąd czysty, a gdzie zmaćnony. O ile bowiem chwalcze artykuły sprawiły nieraz, iż niejeden z piszących modelując się podług pierwszej swój próby mającej powodzenie, wpadł potem w manierę i zużył się — o ile z drugiej strony opozycyjne *quand même*, mogły poczynającego zniechęcić — o tyle miemam, bezstronna i spokojna analiza, oparta na jakiejś podstawie, choćby tylko kierowana samą miłością sztuki, zdolną jest większą oddać piszącemu usługę, niż ów nieloiczny, ogólnikowy liryzm, który czy jest satyrą, czy dytyrambem, czy się lubuje w apoteozie lub poniewieraniu, w Olimpie lub gemoniach — zawsze do niczego nie prowadzi, choć wiele robi chałasu.

Uzupełniając postrzeżenia moje co do romansów i powieści p. K. spotykam w dalszych licznych jego utworach, te same zalety co w pierwszych pracach, ale i nowe wady ztąd pochodzące, że sam siebie już wyczerpuje dolewając do skąpój treści dużo bezkolorowego płynu, a co najgorsza, że często przestaje tworzyć jak artysta, i tylko posługuje się szablonem, lub jeśli wprowadza nowe postacie, sceny i zawikłania, to myśl jego i fantazya nie odtworza dawnych, minionych czasów, ale najczęściej portretuje lub karykaturuje to, co się mu dziś przedstawia. Wzorki dzisiejsze, szata i język dawniejszy. Zwrot to niedobry, bo trąca o satyrę lub paszkwil — dwie skały, za zwyczaj starannie omijane przez pisarzy wyższego powołania.

VIII.

Wpływ powieści i romansu na społeczeństwo i literaturę.

Powieść i Romans opanowały od niejakiego czasu literaturę naszą wszechwładnie, czyli literatura ulotna wyrugować starała się wszystkie inne rodzaje uprawiane tradycyjnie od najdawniejszych epok, i we wszystkich literaturach świata. Ponieważ forma ta nieobowiązująca do żadnej ścisłości, przypadła najlepiej do smaku piszącym; a i czytelnikom szukającym rozrywki nie nauki, więc téż uznano za pewnik bardzo dogodny, iż gdy powieść zdolną jest przyjąć w siebie żywioł i epicki

i dramatyczny i liryczny i historyczny i retoryczny, a nawet polityczny, socyalny, ekonomiczny, nie licząc już filozofii i estetyki, o której rozprawać każdy niemal prawo sobie przywłaszcza, przeto miała ona to wszystko zastąpić, tak, jak w potocznej pogadance: gdzie za zwyczaj rozmawiają to o tém, to o owém, unikając zbytniego zapędzania się w jaki przedmiot, któryby może w lekko usposobioném gronie wywołał ziewanie.

Tym sposobem powieścio- i romansopisarze usiłując być zabawnymi, a razem zyskać uznanie, że są wielkimi reprezentantami ducha narodu i epoki, starali się zaczepiać o różne kwestye, czy to w żywo udratyzowanej rozmowie, czy w ustępach umyślnie poświęconych obejrzeniu jakiego przedmiotu ze strony poważnej, (za co nie omieszkali przeproszać czytelników) — tak tedy i czytelnik usłyszawszy mądre słowo, małym zdobyte kosztem, wieszyl się w duszy, gdy zyskał nowy pogląd, ba nawet klucz do umiejętności, z czém znowu mógł się popisywać w sposób dość świetny w jakim kole zebraném na pogadankę.

Pokazuje się przeto, że forma powieści i romansu najdogodniejszą jest do populary-

zowania nauk i umiejętności, czyli, że bez pracy i mozółu daje nam same wypadki i poglądy i to pływające w ślodyczy. Co to naprzykład kosztowałoby trudu zrozumieć duch historyczny jakiego wieku, poznać sprężyny poruszające społeczeństwem, zgłębić jaki zagadkowy charakter ministra lub króla; coby to trzeba czytać i widzieć, żeby dociec tajemnic sztuki i kreacyi; wyrobić sobie zdanie o szkołach, o mistrzach starożytnych i nowożytnych; co życia, co doświadczeń włożyć w badania chorób i niemocy społecznych, aby znaleźć na nie lekarstwo! a tymczasem popularna forma powieści, rozcina to krzyżową sztuką, z powszechném zadowoleniem czytelników.

Widzieliśmy to gdzieindziej, zkąd i my pożyczyliśmy, jak wszelkiemi sposobami usiłowano popularyzować owoce głębszego myślenia i nauki; ale w krajach, gdzie nie brak głów światłych i wyższych, robota ta lubo mniej była niebezpieczną dla wyższej literatury i ściślej umiejętności, jednakowoż wywołała protestacyę, a za nią oddziaływanie. Przewidywano bowiem, iż taki popęd piśmiennictwa może przyprawić z czasem o szwank wszystkie rzetelne sławy i zasługi, nie w sposób że-

by je wewnętrznej pozbawić wartości, bo to niepodobna, lecz, że odwróci umysły nawykłe lekkiej strawie, od zaprawiania się na doskonałych wzorach, a nareszcie od pracy myślenia i uczenia się.

Wszystko, co nam lekko przychodzi nie syci ani tuczy; sama zabawa nie może zastąpić głębszych potrzeb życia — cóż z tego wynika? oto, że prędko uczuwamy ekliwość karmiąc się kąskami bez substancji. Lecz w takim razie powiedziałby kto, że czytelnicy pozostający na niższym stopniu oświaty i wykształcenia wiele zyskują przez spopularyzowanie literatury i umiejętności — zaprzeczyłbym temu, mając to przekonanie, iż niższa warstwa potrzebuje ściślejszych nawet i praktyczniejszych wiadomości, niż te, na jakich wyżsi poprzestają, że twory wyobraźni i marzeń, rozbudzające namiętność albo wnoszą wieczny niepokój w ich cichą sferę, albo wyrzucają z niej, nie dając szczęścia, tylko nieograniczoną żądzę.

W średnich wiekach okrzyczanych za barbarzyńskie i ciemne, kwitła literatura ludowa w ścisłym znaczeniu tego wyrazu; były tam wiersze i dialogi dramatyczne, były i powie-

ści; ale ten rodzaj literatury wcale inną miał cechę od dzisiejszych tak zwanych pism popularnych. Tamte bowiem pisane przez klechów liczących się do gminy, lub jakich włączających się śpiewaków, były czystym wyrazem i wyobrażeń i potrzeb gminu i tworzyły niejako osobny świat. Dzisiaj przeciwnie się dzieje, gdy pisarze żyjący w innym żywiole, z innymi wyobrażeniami i potrzebami, narzucają swoje widoki, swoje namiętności, okruchy swojej nauki, tym maluczkim, co nałykawszy się tego wszystkiego, nie wiedzą co zrobić z prostotą swoją, i tą wiarą grzejącą ich serca dopóty, dopóki nie zakradło się w nie wątpienie, lub rozbudzona namiętność, szukająca zaspokojenia po za obrębem ich świata.

Ależ — powie kto — lud u nas jeszcze nie czyta, aby podobne pisma miały go zepsuć, odebrać mu wiarę, a dać namiętne szalę? Zapewne dziś jeszcze nie czyta — ale jutro?... Roztropność nakazuje przewidywać i zabiegać, tém więcej, że doświadczenie uczy na drugich, co przez to przechodzić musieli.

Zresztą pisarze nasi, nie wszyscy, ale większa część, osobliwie tych, co nie mogli sprostać uznanym talentom, forsują się w tym ro-

dzaju, i nadużywają granic, w jakich powieść i romans pozostać powinny. — Że nadużycie się wkrada widocznie w ten rodzaj piśmienictwa, każdy to postrzeże, jeżeli zechce porównać dzisiejsze elukubracye z utworami uznaniem i ukochanemi w narodzie.

Zasada, że namiętność mocna, a gwałtowna, wszystko uniewinnia, upięknia i użycza barwy poetycznej, stała się drugim kodexem Horacyuszowym. Czyż to nie przemawia z każdego ich wiersza, że tylko namiętność jest trwałą i pełną życia, a różnaitości; gdy przeciwnie powinność jest względną, przechodną i zazwyczaj nudną.

Główne to i największe zboczenie dzisiejszych umysłów, stało się, że tak powiem, Muza piszących, co odbieżawszy boskiej zasady, chwycili się obiema ramionami ziemskiej słabości. Cóż bowiem jest namiętność jeśli nie rzeczą najnieatrważszą, czysto - ziemską, oddzielającą się tak od boskich początków jak od ostatecznych przeznaczeń ludzkości, a tém samém biorącą udział we wszystkich niedzicach i znikomościach padołu, obracając się w ciasnym kółku złudzeń, uniesień, rozczarowań i nicości, gdzie powrót tych samych przyczyn te sa-

me sprowadza skutki, i gdzie człowiek, ten wielki mściciel wszystkiego co zdeptał i spowiewierał, dokonywa swoje dzieło niszczące, przez zniszczenie tego samego dzieła. Przeciwnie wszelkie uczucia czyste i prawdziwe, mają nieprzemienność, trwałość i różnorodność; — różnorodność, bo to przecież niewyczerpany przedmiot te duchowe walki, poświęcenia się, skarby uciech i bólesci zamknięte w tajnikach kochającego serca i czystego sumienia; — trwałość, — ponieważ dusza napełniona niemi i Bóg któremu się podobają, używa im jednego promyka swój nieśmiertelności. Jeżeli na to się zgodzą wszyscy, że tylko ta literatura jest prawdziwą i dobrą, która najlepiej odzwierciedla świat wewnętrzny, i wszelkie zjawiska duchowe, dlaczegóżby to, co prawdziwem jest w rzeczywistym świecie, nie miało być prawdziwem w książkach?

Zdaje mi się, że czasby już skończyć raz z tym przewrotnym systematem, który nie dopuszcza, aby mogłą znaleźć się poezya, wymowa, bogactwo wyobraźni, porywający efekt, piorunujące wrażenie, wielka miłość, tylko za obrębem zasadniczych praw boskich i porządku społeczeńskiego; z systematem, wedle któ-

rego nie może być piękném, wielkiém, namienne natchnioném, tylko to, co traci duchem nieposłuszeństwa i smakiem zakazanego owocu.

Pod pozorem, a raczój jak każdy powiada, w celu naprawy zepsutego świata, zajęto się studyami towarzyskimi, aby pokazać ludziom na oczy jakimi są, a właściwie jak się przedstawiają oku tego lub owego romanso-pisarza. Cel piękny, rywalizujący z amboną; ale taką to i rywalizacya — bo piszącym nie idzie o zbawienie duszne grzeszników światowych, ale poprostu o zebranie wzorków i przygód gorszących, aby tym sposobem zaprawić czém świeżém, zużyte już kombinacye romansów.

Nie umiejąc i nie będąc w stanie tworzyć ideałów, muszą się rzucać w przesadę; sam rysunek prosto zdjęty z natury zbyt mało ma efektowości, a to bardzo popłaca, trzebaż mu więc nadać niesłychane rozmiary i oświecić ogniem bengalskim jakiej rozpasanej namiętności... Ztąd też nierzadko spotykamy i stare matrony dające się po kilkakroć wykradać, i cynicznych mężów nastreczających kochanków swym żonom, i zawsze jakieś bohaterzy

przychodzące na świat bez żadnej firmy, a ogromnie zagniewane na Boga i ludzi...

Kiedy wołasz że to szpetne i zasmucające, a zatem że cię nie może podnieść w duchu, ani natchnąć uczuciem piękna, wzruszają ramionami, jakby chcieli dać do zrozumienia: cóż robić, kiedy to żywa prawda! Tymczasem najczęściej postrzegamy w dzisiejszych powieściach, że się zarówno bez prawdy, jak bez prawdopodobieństwa obchodzą. Prawdą bowiem nie może się nazwać to, co do wyjątków należy, co jest chorobą. Żaden prawdziwy sztukmistrz nie będzie brał za wzór swojej kompozycji garbusa, paralityka, lub istotę upośledzoną od natury, aby ją skopiował na płótnie, lub oddłutował w marmurze ze skrupulatną dokładnością posuniętą aż do przesady. Ale niektórym pisarzom nowoczesnych powieści, nie idzie o wywiązanie się z zadania podług wymagań sztuki — oni stworzywszy sobie swój światek, przykrawają doń namiętności i obyczaje dzisiejszego lub dawniejszego towarzystwa, i tym sposobem, jak dobrze wyraża się Cuvilier-Fleury: mszczą się na dzisiejszem społeczeństwie policzkując społeczeństwo urojone. Wtem się zamyka cały

poetyczny kodex nowoczesnego romansu jako utworu literackiego, i cały program, jako środek zreformowania świata.

Wszystkie te potworności i swawole znajdziesz w naszych romansach i powieściach w stanie zarodków, bo albo aktorowie nie mają dość śmiałości zbyć się ostatnich skrupułów, albo nie pozwolnoby im rozpuścić wodze tak, jakby chcieli.

Żesami sumienniejsi powieściopisarze uczuli już pewien niesmak do téj fabrykacyi upośledzającej wyższą i prawdziwą literaturę, a prowadzącej ją do zupełnego upadku, mamy dowód w Kraszewskim, który przed rokiem uczuł potrzebę zaprotestować przeciw nadużyciom téj formy łatwej, dotykającej wszystkich stron literatury, a tém samém pozbywającej się wszelkiej literackiej ścisłości. Właściwie była ta protestacya przeciw czczości powieściowej, téj bezdusznój zabawce niezatrudnionych czem lepszem i wyższem umysłów, protestacya przeciw wyrzuceniu wszelkiego ducha z utworów; bo ducha tam nie ma i być nie może, gdzie celem prosta rozrywka dla zabicia czasu, a środkiem fanatyzowanie i parodyowanie tematów skonczenie i mi-

strzowsko obrobionych przez wzorowych pisarzy.

Jeżeli piśmiennictwo jest rodzajem kapłaństwa w narodzie, przeto nie może być fabryką, wyrachowaną na słabości i lenistwo ludzkie, której nie wypada tem się zastawiać i mówić: jak piszem, to piszem, dość że nas czytają.

Nie przeczę — czytają nas, tak jak piją kawę, jedzą obiad, lub wieszczę — czytają, ale raczej dla zaspokojenia materialnej potrzeby, niż pragnień duchowych, bo że tych zapełnić nie są w stanie te liczne powieści sypiące się z piór, to niepotrzebuje dowodzenia, raz bowiem przeczytane więcej otwieranemi nie bywają. Smutny los książki do której nikt nie wraca! bo i pocóżby wracać, kiedy w niej nie znajdziesz ani tego ciepła co wiecznie grzeje, ani téj głębi co wiecznie ciągnie w siebie myśl czytelnika. Najczęściej bywa to na tle towarzyskiem zrobiona analiza podług oklepanej metody przeciwstawiającej bogatych i ubogich, szlachetnie urodzonych i prostaczków, materializm z przesytem i sentymentalizm z deklamatorstwem, a wszystko zaintrygowane jaką miłością ubogiej panienci z bogatym paniczem i *vice versa*.

Dobroduszna publiczność czyta to i cieszy się, ale przecież kiedyś poznać się musi, że ciągle dają jej jedno i to samo, tylko w innym sosie; a raz poznawszy proceder powieściarski, nauczy się z pierwszych kilku wierszy odgadywać, czy warto czytać lub nie, podobnie jak kuglarzem przestanie się interesować, skoro wie jakim sposobem zjada łyżki i noże.

Mimo głośnych zapowiedzi po dziennikach i chwalczych krytyk, właściwa literatura nic a nic nie zyskała od czasu jak się u nas rzucano do powieści i romansu, bo rodzaj ten mający udziałną wziętość, nietylko przygłuszył inne właściwe literackie prace, jak chwast przygłusza szlachetną roślinkę, ale nadto spaczył, a raczej zepsuł smak publiczności czytającej, że książka poważniejszej treści, potrzebująca większego natężenia myśli, zawsze pójdzie na bok przed jaką powiastką, po której, ani w głowie, ani w sercu nic a nic nie zostanie. Że jest w naturze naszej większy pociąg ku przedmiotom bawiącym wyobraźnię, niż ku rzeczom ścisłej praktyki, lub głębszego myślenia, najłatwiej się przekonać na jakim młodym chłopcu lub dziewczynie, a to dając im przez czas niejaki czytać same

romanse i powieści, zapewne dla ułatwienia im znajomości świata i ludzi — i dopiero po tej przygotowawczej pracy, zaprzędz ich do gramatyk i kompendyów, z jakimże wstrętem odrzucają je od siebie! jak nauka wyda się im suchą, niepotrzebną, nieznośną! jak nawet myśli zebrać nie potrafią, aby najprostsza zrozumieć regułę!

Ten drobny experiment przenieśmy na wielką skalę czytającego narodu, a niezawodnie ten sam otrzymamy rezultat. Massami spożywane jak chleb powszedni romanse i powieści, mogłyby tak dobrze ogłupić ludzi, jak niegdyś panegiryki, że nawet i znakomite utwory nie śmiały wtenczas głowy wystawiać na świat, bo ani Pamiętników Paska, ani Wojny Chocimskiej, ani Otwinowskiego historii, nie śmiano drukiem ogłaszać; odgłos nawet tradycyi nie przebił się do nas że były drukowane jakieś Psalmy W. Kochowskiego, kiedy dziś czytając je, dziwić się przychodzi jak podobny hymn mógł nie zostawić wrażenia przynajmniej w trzech pokoleniach?... Ta epoka panegiryków to jak lawa, pod której zastygłą skorupą, niejedna może Pompeja jeniałnej myśli spoczywa.

Dziś zapewne niema téj obawy z powieściarstwem, bo mamy większy ruch i prędszą zamiennność wyobrażeń; jeżeli jaki prąd zanadto w jedną stronę unosi z uszczerbkiem równowagi, znajdzie się zaraz reflektujące słowo, lub oddziaływująca siła.

Krytyka w gazetach warszawskich przywiązująca wielką wagę do powieści i nawet głęboko rozmyślająca nad niemi, choć jeszcze po kawalku wynurzały się z kolumn codziennych pism, mniej zdaje się zajmować tym rodzajem od niejakiego czasu. Jeżeli to chwilowa tylko stagnacya, to nic nowego; jeżeli zwrot, to winszować; bo grzech nielada cięży na tych korespondentach, co znad brzegów różnych rzek od Prypeci do Bzury, wyębniiali sławę każdego nowego zapaśnika wjeżdżającego w szranki, jakby to miał być ów spodziewany rycerz, co świat pokona. Takie to afiszowe zdania wszczepiała w łatwowierniejszych czytelników, lub tych, co się radzi kierują krzykiem większości, że już alfa i omega całej literatury, zamyka się w powieści, że poza nią, jak poza Koranem u Turków, nic nie ma.

Zapewne! piękna powieść płynąca z pióra

natchnionego mistrza, lub jakiej jeniałnej kobiety, nietylko może być kreacją dość odpowiednią naszej epoce, ale nawet stworzyć epokę, nie uznawać powieści, jedno byłoby co nie uznawać Bokacego, Cervantesa, księdza Prevost, Goldszmida, Hofmana, Walterskóta, co zapomnieć o Rzewuskim, Kraszewskim, Chodźce, Korzeniowskim, że tylu innych pominię. Ale protestować przeciw powieści mającej pretensyę trząść światem, edukować go, reformować, rozcinać zagadki społeczne, a raczej tworzyć zamęt społeczny i to za pomocą tych samych sznurków, któremi drewniany pajaco kiwa głową i rękami a nogami wywija, nie ma grzechu; a choć przestroga w las pójdzie, to i tam nie zginie.

Jednakowoż nad wszystkie przestrogi i poważne kazania, stokroć lepsza i skuteczniejsza sama praktyka.

Powódź powieści i romansów nie da się czem innem wstrzymać, a przynajmniej zrównoważyć, tylko książkami treści budującej i uczącej, coby dostając się z łatwością do rąk największej liczby czytelników, zrodziły w nich niesmak ku płodom nie dającym ani umysłowego pożytku, ani duchowego zbudowania.

Na szczęśliwą myśl wpadli wydawcy *Biblioteki polskiej* w Sanoku, gdy popularnemi przedrukami dawnych naszych pisarzy, usiłują nawiązywać tradycyjną nić literatury, zgodniej z naszymi wyobrażeniami, potrzebami i wiarą. Jestto wymowna odpowiedź, mająca oddziaływać na czczy żywioł powieściarski, nadający sobie przywilej kształcenia serc i umysłów, przez to tylko, że trafił w słabość, i zamiast ukajać, porusza namiętności, nie mając bynajmniej na względzie zaspokojenia wyższych wymagań literatury i sztuki, a cóż dopiero tych potrzeb duchowych i téj praktyki życia, których mrzonki spaczonych pojęć i chorowitéj, często wyobraźni zaspokoić nie mogą.

Krom tych niedostatków, były w oczy i inne. Sam język pod dorywczeni pióry gwałcony i szarżany, nie dość że wciągnął w siebie formy i zwroty rażące obczyzną, ale zaczął już wycierać się przyjmując ową konwencjonalną gładkość, czyniącą wszystkich piszących podobnymi do siebie. Dawna jego zwięzłość, owe właściwe nam wyrażenia i zwroty, zastąpione zostały wodnistemi frazesy, bez koloru i siły. Istotna sztuka pisania, policzona przez nowatorów do pedanckich wymagań, ograni-

czyła się na oddawaniu obrazów i myśli, tak jak się cisnęły pod pióro, bez wyboru między lepszym a gorszym wysłowieniem, bez usilności oddania rzeczy w krótkim a dobitnym słowie; zwięzłością bowiem wzgardzono na dobre, kiedy najmniejszą miarą produkcji literackiej jest tom, i to gruby.

Nie dziwię się ani wydawcom, ani czytelnikom, że się dopominają o grube tomy; jest w tem praktyczna rachuba, bo im większa woda, tém więcej ryb można się w niej spodziewać.

Przedruki starych pisarzy Zygmontowskich w Bibliotece, raz że wprowadzają nas w świat myśli, uczuć i wyobrażeń, z któregośmy wyszli, uniesieni najrozmaitszemi prądami oddalającemi nas od źródła, po drugie, że uczą właściwego języka o grzmiał z kazalnicy, z trybun sejmowych, którym śpiewali poeci, rozprawiali wielcy statyści, polemizowali duchowni i świeccy w sporach religijnych i politycznych, języka, który się wyrabiał pod wpływem pełnych sił narodu, powinny już przez to samo być w rękę wszystkim, nie jak lektura do zabicia czasu, ale jak budujące słowo, co myśl pociąga do pracy wewnętrznej, co kształci

wyobrażenia i przekonanie nadając im silną podstawę, co wreszcie utrzymuje na drodze historycznego pochodzenia i rozwijania się w duchu chrześcijańskim i swojskim.

Jeżeli powieściarstwo używa dziś takiej wziętości, że zdaje się pochłaniać w sobie całą literaturę, i służy do zabawy luźnych umysłów, niechże ci, co pragną zdrowego i pożywnego pokarmu dla ducha, mają go gdzie zaczerpnąć. Rozpowszechnienie starych pisarzy zrobione z wyborem, więcej się tu może przyczynić do utrzymania literatury na dostojnem jej stanowisku, niż najgorętsza filipika przeciw nowatorstwu. Zapewne, walka trudna, bo lekkie piśmiennictwo ma i największą liczbę i najpilniejszych czytelników, czytelnikami tymi, cała płeć piękna. Raz się już wyraziłem, napomykając iż wszelkie potworne mody panujące w literaturach, były wynikiem kobiecych wpływów; niejednym może się to wydało zbyt paradoxalnym twierdzeniem, a jednakowoż przyznajmy się, kto upominał się ciągle u naszej literatury, aby dostarczyła co zabawnego do czytania, kto wołał: powieści dajcie nam, i tylko powieści!

I posypały się jak z rękawa ku wielkiej uciesze czytelniczek.

Francuzi mają przysłowie: czego chce kobieta, tego chce i Pan Bóg, tak to bywa na świecie; jednakowoż namby lepiej przystało mówić: czego chce Pan Bóg, tego powinien chcieć mężczyzna.

Prawdziwa literatura, godna tego nazwiska, bierze ducha i siłę z piersi mężkich, tak bywało zawsze i w starożytności i nowożytności, dzisiejsza jej lekkość i zniewieścienie najwyraźniej przekonywa, jakiemu wpływowi ulega. Zdarzało się przecież, że i z najpoważniejszych i najświętszych rzeczy robiono sobie zabawkę, dlaczegożby literatura, ta jedyna pozostałość, nie mogła uleść podobnemu losowi?

Zostawiając tedy powieść i romans tym czytelnikom, którzy się bez nich obejść nie mogą, przebiegniemy pokrótce przedruki Biblioteki polskiej, dla tych, coby z nich korzystać powinni.

Publikacya ta wychodząca w Sanoku, partykularzu, który nigdy nie sływał żadnym ruchem piśmienniczym, wydała w przeciągu kilkunastu miesięcy około czterdziestu zeszy-

tów mających składać całe dzieła, częścią rzadkie, częścią niezbędne dla każdego kto nie chce pozostać obcym dla ważniejszych płodów literatury naszej.

W planie całym wydawnictwa rozłożonym na lat dziesiątek i na tysiąc zeszytów, zdaje się przebijać czy brak zakładowego funduszu, czy też obawa względem publiczności, której smak powieściarstwem zepsuty, nie rokował tak ożywionej prenumeraty, aby przedsięwzięcie utrzymać się mogło. Tymczasem, jak się pokazuje ze spisu przedpłacicieli, Biblioteka polska trafiła w potrzebę chwili, kiedy tyle obywatelskich domów zapisało się na nią. Idzie tylko o to, aby z niej korzystać i wyciągać wszystko co się da wyciągnąć z dobrych wzorów, minionej już epoki; czyli po prostu, żeby umieć w niej czytać. Przeszłość bowiem, tem więcej staje się dla nas niezrozumiałą, a prawie tajemniczą, im bardziej odrywamy się od niej wyobrażeniami, im bardziej gubimy nic tradycyi. Tłumaczyć zaś ją w duchu tegoczesnym, czyli analizować bez miłości i wiary, jedno jest, co ją głębiej pograżać, co odbierać cały urok przeszłości, co

wreszcie wielkie czasy i wielkich ludzi przycinać do małości dzisiejszej.

Zdaniem mojem, dla starych tych zabytków należy mieć tę cześć, i tę prostotę serca, z jaką dziecię słucho opowiadań sędziwego starca, a razem i klucz do wysokiego rozumu, gorącej wiary i podniosłego uczucia, aby zrozumieć tych ojców Rzeczypospolitej w ich życiu, w ich czynach i pismach, odpowiadających zupełnie innej skali, jak ta, na którą żyje obecne pokolenie. Z takim usposobieniem, każda karta, wyraz każdy, inaczej odbierze w duszy; bo tam nie znajdziesz zdań wiatrom rzuconych, ani słów coby nie ważyły jak czyste złoto.

Jestto zapewne pracowite czytanie, ale się opłaca; jeden wielki charakter poznać w całej prawdzie skreślony, więcej podobno warte, niż owe urojone bohatory romansów, tak najczęściej stawiane, że nie mają charakteru; jedno mądre zdanie lub prawidło życia zachowane w pamięci nie obstoiż za jaki bluźnierczy, częściej pusty lub kłamliwy frazes; jedno zdarzenie skreślone piórem naocznego historyka nie wynagrodziż szerokich romantycznych opisów zdjętych z fantazyi?

Przebiedzby można po kolei wszystkie niemal zeszyty Biblioteki i odkrywać te skarby nieocenione jakie się w nich mieszczą *) lecz w takim razie wyszłoby to na długi kurs literatury; a to nie miejsce; dość tu i owdzie otworzyć Zygmunrowskiego pisarza, aby cię zawiąło tchnienie innego świata, takie czerstwe, silne, orzeźwiające, jak woń odetknięj butelki starego węgryna. Zobaczmy tam np. w Żywocie Jana Tarnowskiego napisanym przez Orzechowskiego, gdzie mówi o podróżach, jak napada na legarta, czyli domatora, (rodzaj dziś zagubiony) strofując go, że za piecem niczego się człowiek nie nauczy, dla tego też potrzebuje jak drugi Odysseis poznać rozliczne narody i rozmaite obyczaje. Wówczas, jak widać i samemu wielkiemu Janowi z Tarnowa miano za grzech szukać rozumu po świecie, kiedy Orzechowski tak karci legarta:

*) Jeżeli wydawnictwu Sanockiemu przyznają zasługę trafnego pomysłu, nie zgodziłbym się zawsze na wybór i na systemat. Zeszyty Biblioteki niechby tworzyły prawdziwą bibliotekę domową, niewiele kosztującą, a złożoną z samych dzieł uznanych za dobre, broszurowość powinna być prawie wyłączoną, nie mniej jak wyimki z dzieł; za to objaśnienia staranne i tekst poprawny byłyby właściwsze.

„Tak też i ty, z domu nigdy nie wyjeżdżając, możesz podobno o dobroci i o cnocie jako we śnie słyszeć, ale żebyś miał umieć, co to za sprawa dobra a cnotliwa jest? — byś się ty legarcie! rozpulchnął, rozumieć tego nigdy nie będziesz, tylko będziesz jak szalony wołał: dalibóg jestem szlachcic, jestem wolny, dobry a cnotliwy — nie bacząc tego, że ani wolnym ani szlachcicem, ani dobrym jesteś.... Herby wasze, bracie! są znaki szlachectwa, a nie szlachectwo; a jako gdy piwo kwaśniej, wiechy mądry zmiatają, tak też i ty legarcie zrzuć herb, gdy się szlachectwo twoje zło-trzyło; nie chlub się zacnością przodków twoich; ku hańbie twój ich wspominasz, a tem znaczniejsza niecnota twoja jest, im przodkowie twoi cnotliwsi byli, i t. d.“ W tej djatrybie Orzechowskiego przeciw herbom więcej stokróć i siły i prawdy niż wtem wszystkim, co dzisiaj popisano, jak to mówią, ze stanowiska liberalno-postępowego.

Można powiedzieć że Orzechowski Plutarchowem piórem, dłutuje postać hetmana zstępującą w jego oczach do grobu, kiedy jeszcze nie umilkły dzwony pogrzebne, a płacz rozlega się nieutulony po całym kraju... Bo też

pierwszy to i ostatni z tych hetmanów, choć tytu wielkich przed nim i po nim było, co wszystkie cztery rzeczy w sobie łączył: trzeźwość, czujność, grozę, rząd.

W tych kilku słowach, a jakiż portret skończony! „Gdy srogi był, widziałeś jawnie iskry w oczach jego; twarz pałała, kark się jako na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy. A gdy zasię łaskaw był: anioł z nieba, a nie człowiek z Tarnowaby się widział.“ — Ależ nie dość w nim téj rycerskiej natury, bo jaki to rząd w obozie i w ciągnieniu, jakie gospodarstwo wojenne! A oweż słowa pełne mądrości i znajomości swych rodaków, które często powtarzał: „że jeżeli polakowi od czego wczas z przodku zabierzysz, już tego dalej nie czyni; ale jeżeli z przodu swój woli dopuścisz, już tego potem nie uhamujesz, byś mu dobrze na głowie jego i koły ostrzył,“ czyż słowa te święcie przestrzegane, nie byłyby Rzeczypospolitej oszczędziły tyle smutnych kolei?

Jeżeli kto szuka w książkach, jak podnieść się duchem, rozgrzać serce widokiem wysokich cnót i mądrości, niech czyta ten krótki żywot hetmański i rozpamiętywa go, a pewnie

więcej umysł swój ubogaci niżby sto tomów dzisiejszych powieści przeczytał.

Kronika w Koronie Górnickiego napisana prześliczną polszczyzną, interesuje jak romans, jak dramat najbardziej ożywiony, w tym np. ustępie o porwaniu Halszki Ostrogskiej. Cały tam dwór ostatnich Jagiellonów przesuwają się przed tobą, aż do téj sceny w pępym zamku Knyszyńskim, kiedy to umierającemu królowi przynoszą jakąś tajemniczą szkatułkę...

Mowy Orzechowskiego w których jak drugi Demostenes zapala na wojnę przeciw Turkom, nieocenionym są wzorem porywającej wymowy, szczególnie czytając je w przekładzie Ossolińskiego, ostatniego z polskich pisarzy co jeszcze mógł udźwignąć pióro Zygmuntofskich wieków. Jakaż to potęga słowa, jak żywo oddany obraz niewoli u Turka! „U takich panów woła on — nie twoja rola, nie twoja żona i dzieci. Mający w mocy życie i śmierć nieszczęśliwych jeńców, nie będą się o słuszość, albo o prawa pytać. Kijem, batogiem, kajdanami, więzieniem, nauczą was na swoje skinienie tak skakać, jak oni zechcą. Śmierć okrutną z chęcią przyjęlibyście za dobrodziejstwo, żeby na zniewagę Boga żywego,

na zbezpieczenie ołtarzy, tajemnicą męki Zbawicielowej poświęconych nie patrzyć i t. d.“

Żywot Lwa Sapiehy, Pamiętniki Paska tak znane i ukochane, że możnaby je nazwać jedyną epopeją nasząj przeszłości. Dalej, Skarżi Żywoty Świętych Pańskich polskiego narodu — pełne wysokiego religijnego namaszczenia, przy wyborze których, to chyba zarzucić można, że należało całe dzieło oddrukować, choćby przez kilka lat ciągnęła się publikacya.

Na ostatku, pomijając tyle innych ważnych przedruków mogących być czytanych z korzyścią, winienem zatrzymać się nad szczupłą książeczką, lecz rzeczywiście perłą naszego dawnego piśmiennictwa, rozumiem tu *Przysłowia Mów potocznych* Andrzeja Maxymiliana Fredry.

Są to krótkie aforyzmy oddane krojem przysłowiów w których napotykamy wyborne rady moralne, polityczne, towarzyskie, literackie, wyrażone z nieporównaną zwięzłością, niekiedy z dźwiękiem. Znać że Fredro to maż co zna swój naród, co wie jego potrzeby, jego ułomności, grożące mu niebezpieczeństwa; a przytem jaki duch mądrości pełen,

nie tój, co na chwilę jedną wystarcza, co oślniewa dowcipem, ale tój niepożytej, co po wiekach zostanie czem jest.

Francuzi liczą do najpiękniejszych ozdób swojej literatury Maxymy Księcia la Rochefoucauld, tymczasem gdy go postawimy obok Fredry, o ileż niższy ten dworak wersalski, niewierzący w żadną szlachetną pobudkę, a ciągle krążący około tój jednej fałszywej myśli, że miłość własna jest sprężyną wszystkich ludzkich postępów. Dworak ten żyjący w samolubnym świecie, wśród drobnych intryg i rosterek Frondy, znał ludzi, nasz Fredro znał człowieka, i wierzył w doskonałość moralną, a nadewszystko w przysłowia jego, przebijają niezmierny rozum praktyczny, jakby czuł, że naród łatwo unoszący się fantazyą rycerską, a często miłujący swobodę aż do swawoli, przytem nie przewidujący i mało rządny potrzebował takiego hamulca?

„Lepiej mądrze wierzyć i obawiać się, niżeli głupio śmiałością być, a zatem szkodować. Nikt dotąd ostrożnością nie przeładował, wielu zaś oszukało się w zbytnej dumności.“

Albo: „Rozumny przed czasem złe uważa

i radzi; prostak zmysłem tylko bydlęcym rzeczy zmierza; czując złe dopiero kiedy go w bok trąci.“

„Gorące rozумы do zamieszania, nie do rządu.“

Długo byłoby wyliczać zalety tej nieporównanej książki, tego najlepszego *Vade mecum*, które chociaż w ósmym podobno wydaniu wychodzi od roku 1658, jednakowoż nityle jest rozpowszechnione, jakby być powinno. Na zamknięcie pobieżnych uwag moich stawiających paralellę między nowelystyką, tym wszechwładnym rodzajem w dzisiejszej bawiącej literaturze, a naszymi dawnymi pisarzami pełnymi namaszczenia, rodzinnego ducha, praktycznego rozumu i mądrości, tyle jeszcze dodam gwoli zupełnego usprawiedliwienia się, że bynajmniej nie potępiam pism służących do rozerwania i zabawienia umysłu, wiedząc że praca poważnego myślenia utrudza, jak każda inna; przeto miło czasami wytchnąć przy wesołej powiastce: naganiam tylko smak publiczny a najbardziej piszących, co nie przewodniczą smakowi, ale mu jak w garkuchni dogadzać starają się — przyrzadzając niestrawne łakocie. Snać mędrzec nasz

Fredro przeczuł ten okres dzisiejszego piśmiennictwa, kiedy w swoich Przysłowiach Mów potocznych zapisał to zdanie:

„Z lekkim się ucieszysz, ale i w lekkość podasz.“

IX.

ZNACZENIE KOBIET W LITERATURZE i **Poemata Pani Pruszkowój.**

Wszystko podejmywać co wychodzi na widok publiczny, byłoby raczój zadaniem bibliograficznój kroniki; lecz zatrzymywać się od czasu do czasu nad płodami noszącymi pewne wybitniejsze cechy, będące symptomatem epoki, uważam za właściwsze do natury moich postrzeżeń.

W tój to myśli krytyka drobiazgowa mniej wchodzi w niniejsze zadanie; lubo niezaprzeczona jój użyteczność, kiedy ma za towarzysza światło szerokiego poglądu — ztémwyszukiem częstsze widzimy tego przykłady, że

zbyt zajmując się anatomicznym rozbiorem, jeśli nie odejmie życia, to przynajmniej wzgląd na życie pomija. Anatom ma tylko do czynienia z trupem; górnik zapuszczając się w głąb kopalni, nie widzi tego co się dzieje na bożym świecie. Krytyk częstokroć musi być jednym lub drugim.

Płody umysłowe powinny być sądzone i uważane nie z jednej tylko strony sztuki pi-sarskiej i książkowej, ale ze stron wiążących je ze społeczeństwem, z myślą, jaką ogólny duch ludzkości w każdej epo ce wytwarza.

Czujność ta potrzebna, bo dziedzin wyobrażeń długo napastowaną bywa widmami chwil już przebrzmiałych, co przesunęły się po świecie jak gorączkowy paroxyzm, co nie zdołały nic urzeczywistnić, a jednak mimo wyraźnych oznak swój niepłodności, nie przestają odzywać się choćby dlatego, aby dobrą fantazją, złą sprawę nadstawić.

Aczkolwiek w niniejszym przeglądzie jaki zamierzam zrobić, z poetycznych utworów jednej z naszych autorek, nie znajdę się w położeniu wypowiedania jój wojny za szerzenie doktryn lub wyobrażeń przeciwnych wyższym i nieprzemijającym zasadom, niezgodnych z po-

trzebami i organizmem społeczeństwa, bo jój sfera cicha i niebojująca, uczuciowa a nie rozkładowa — jednakże przymioty płodów jój pióra nastroczają wiele uwag, tak co do zawodu pisarskiego u kobiet, jak o ich wpływach na literaturę i społeczeństwo, jak wreszcie nasuwają pytanie: jaki charakter mieć powinno piśmiennictwo kobiece, aby było rzeczywistą potrzebą, a nie wybrykiem mody, lub próżności owocem?

Dawniej i dzisiaj, gdzieindziej i u nas, poszło w zwyczaj, zapewne przez kawalerską uprzejmość, wliczać literaturę żeńską w poczet ogólny pisarzy. Takie zespolenie jednej i drugiej płci, nie ma w istocie nic przeciwnego w naturze, tém bardziej, że to jak świat stara praktyka; — ale ztąd nie wypływa, aby to szło na korzyść autorek, które zaciągnięte w jeden wielki rejestr datujący od Walmikich i Homerów, — uważają się za co innego jakby uważać się powinny, i usiłując nie być samemi sobą, przestają władać temi siłami i przymiotami jakie tkwią w ich naturze. Jestto, jak mi się widzi, grzech pierworodny literatury żeńskiej, uwodzący częstokroć prawdziwe między niemi talenta, które gdyby chciały siebie

zrozumieć, płodziłyby swoje własne kwiaty, a nie żadne hybrydy.

Jeżeli wzięwszy jakie dzieło do rąk, przeczytasz i powiesz: tak napisać nigdy nie potrafi mężczyzna — oddasz tém samém największą pochwałę, o jakiej tylko zamarzyć może pióro niewieście.

Listy pani de Sevigné są najwyższym szczytem w literaturze żeńskiej, — to jéj jedyny Homer. Tego rodzaju sztuki pisania nikt nie potrafi naśladować: tak pisać mogą tylko kobiety.

Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że są pewne rodzaje, w których uczuciowy umysł kobiecy mógłby wyłącznie trzymać berło; poznanie się na tych zdolnościach właściwych im, nie rzucałoby je na te pola, gdzie je czeka doła kłosarek. Dzielni żniwiarze już przeszli tamtędy i świat pożywa ich owoce.

O pisaniu, żeby pisać — nie mówię tutaj, przecież przy wolności handlowo - przemysłowej, wchodzącej teraz w życie, nie uchodzi być protekcyonistą. Biorąc ten przedmiot może zbyt za seryo, kiedy odzywam się do kobiet i to jeszcze piszących, mógłbym podrażnić ich miłość własną, która o wiele drażliwszą u téj

płci, niż u drugiej połowy rodzaju ludzkiego. Jednakże, jeżeli ze spokojnym umysłem zastanowią się nad niektórymi argumentami, mniej powinnyby potępiać to odezwanie się, nie zamykające bynajmniej przed niemi autorskiego zawodu, a tylko pokazujące właściwe drogi, po którychby łatwiej doszły do celu odpowiedniego ich zdolnościom i siłom przyrodzonym.

Kiedym się zastanowił nad niepoślednią liczbą kobiet chwytających u nas za pióro, kiedym zważył wartość wewnętrzną i wpływ ich robót, i zapytał o rezultaty? pokazało się summa summarum, że prócz jednej, a najwięcej dwóch, reszta w niczem nie przyczyniła się do wzbogacenia literatury czy to w jej umiejętnościowym dziale, czy też w tworach wyobraźni i serca.

Nie mógłbym tego sumiennie przypisać niedostatkom zdolności, bynajmniej; są u nas bowiem piszące kobiety, co i wybornie władają językiem, i mają dostateczny zapas wiadomości i pewną bystrość w ogarnięciu przedmiotu, a nadto gorącość i delikatność uczuć tej płci właściwą.

Zkądżeż póchodzi że ich prace mijają się z celem?

Kłopotliwa odpowiedź, z której mię chyba wybawi zdanie tak głęboko poważnego męża jak de Maistre, który powiada w swoim liście do córki: *la femme ne peut être supérieure que comme femme; mais dès qu'elle veut émúler l'homme, ce n'est qu'un.....*

Dokończyć niepodobna; co wolno było ojcu w poufałej z córką rozmowie, niewolno mnie odzywającemu się do całej rzeczypospolitój autorek.

Calamata wyrytował sławną George Sand w surducie z chustką na szyi, i z długimi włosami jak u niemieckiego bursza. Wizerunek ten przyjęto jak symbol, i piszące panie uwierzyły na prawdę, że mogą z mężczyznami ubiegać się o lepsze w pisarskim zawodzie, w jednych i tych samych rodzajach, i krojem męzkim.

Otóż to współzawodnictwo zbiło je z właściwego tropu.

Różnica rodzajów, szersze ma daleko granice niż je zakresła gramatyka — bo jak styl tak i myśli, uczucia i wyobrażenia, mają płęć swoje. Że jeniusza niewieściego nie jest udzia-

łem oryginalność, ścisłość loiczna, siła, treściwość i śmiałość, to należy do pewników niepotrzebujących dowodzenia.

Przebiegłszy długi szereg arcydzieł literatury świata, nigdzie się nie spotkasz z kobietą, coby więcej czem była, jak wzmianką bibliograficzną. O wpływie ich, w tem znaczeniu wziętem co wpływy wielkich mistrzów słowa, milczą dzieje, a jeżeli był jaki, to zawsze więcej szkodliwy niż użyteczny. Bierna natura niewieścia, nie da się niczem przerobić, nawet dziś, kiedy z niej opadły więzy jakimi ją mógł duch starych społeczeństw krępować, we wszystkim, co tworzyć chce jak mężczyzna, staje się jego tylko odbiciem, za nim idzie krok w krok; początkowanie nie jest jój udziałem. Zapewne są kobiety erudytki i wojażerki, lecz te policzyłbym do kategorii tych kobiet, co jak prości żołnierze odbywały kampanie. Ależ kobieta nie potrzebuje się wdzierać w tę sferę, do której sądzi, że jój emancypacja nadaje jakieś prawo. Jój własna przecież wystarczyłby jój powinna aż nadto, bez zazdrośczenia naszój.

Zdaje mi się, że gdyby płeć żeńska, osobliwie piśmienna, chciała zbadać naturę swo-

swoich przymiotów, ubogaciłaby literaturę i wywarłaby rzeczywiście wpływ.

W ogóle uważałem to, iż dzisiejsze niewiasty nie chcą tego zrozumieć, jako cała ich siła tkwi w ich słabości, w wykwintnej delikatności zmysłów, w chorobliwej drażliwości nerwów: kobieta z czystym swoim organizmem, nie zepsuta szkodliwymi wyobrażeniami, ma że się tak wyrażę, wszystkie cudowne dary jasnowidztwa, wszystkie fenomena instynktowości. Pomimo woli, jakby w śnie magnetycznym umie ona czytać w myślach otaczających ją osób; umie, jak orzeł zakryty obłokiem, przeczuć zdołbycz swoje w przestworach powietrza; jak koń, któremu jeździec swój rozum powierza, omijać przepaście, w najczarniejszej nocy — słowem, kobieta umie wszystko, byleś ją nie chciał wszystkiego uczyć. Każda z nich przychodząc na świat przynosi z sobą część daru wieszczki pityjskiej — i najgorzej wychodzi na tém, że tłumi w sobie głos Boga obwieszczający jej prawdę, ażeby natomiast słuchać co jej prawią pedanty, którzy w zamian wyższej instytucyi, w tajemnice natury i ducha, uczą ją pustych frazesów niepożytecznej nauki.

Dlatego jak powiadam, wpływ kobiet

wielki jest i zbawienny tylko w tych rzeczach na których najmniej się rozumieją. W sprawach życia, kiedy mąż doświadczony, opuszcza ręce, szczęśliwe nieraz prowadzi je natchnienie, instykt. Instykt ich nie zwichniony mędrkostwem, kieruje niemi w cudowny sposób; ileż to nie przeczują wypadków wiszących w powietrzu?... A też tajemnicze przestrogi i niezwyknięte wstręty ostrzegające kobietę o zdradzie, nim jeszcze zdrajca uknuł swoje plany? Czyliż w codziennem życiu nie powtarzają się tysiącami podobne przykłady? Przeciwnie, w rzeczach do których sądzą się być zdolne, a które wymagają obszernych studyów i doświadczeń, szczególnie w głębszém pojmowaniu literatury i sztuki, wpływ kobiet prawie zawsze bywa szkodliwy. Ich niedouczoność pędzi je w obłęd; biorąc żywcem zdania swoje z książek przeczytanych, opierają się na nich, i tym sposobem tracą to, coby miało rzeczywistą wartość trafego sądu, bo własne ich świeże, szczere i proste wrażenie.

W ogóle kobiety wyższego wychowania i tonu, mają fałszywe poczucie w literaturze i sztukach. Poeci i romansiści! kochajcie je, opiewajcie, ale się nie radźcie nigdy. Natchnie-

nia od nich wolno wam zawsze żądać, o radę prosić broń Boże! O ile często natraficie między niemi na dobroczynną Mużę, o tyle rzadziej spotkacie się z światłym sędzią i znawcą. Przebiegając dzieje tak dawniejszych, jak nowszych literatur, ilekroć spotykamy jaką potworną modę, lub śmieszna przesadę w pewnych okresach piśmiennictwa, można na ślepo obwiniać o to współczesny świat kobiecy. Cała poezya trubadurów nie dość, że nie mogła zdobyć się na prawdziwą epos, ale sama stała się tak nieznośnie zmanierowaną, dlatego tylko, że śpiewano g'woli pięknych pań, którym przedewszystkiem trzeba się było podobać. A czyż powaga hotelu Rambouillet nie obdarła języka francuzkiego z najpoetyczniejszych wyrażień, i z tych dźwięków co znamionowały męzką siłę? U nas widzieliśmy to samo za Stanisława Augusta i za późniejszych czasów Księstwa Warszawskiego, kiedy utwory muzy, oddawane pod sąd salonów, zatraciły ten język co brzmiał po sejmach i w senacie, w którym słychać było chrzęst zbroi, aby natomiast powlec go jednostajnością bielidła i różu.

A dzisiajże czy nie kobiety wywołały we

Francyi tę literaturę rozpasaną, co lubowała się we wszystkich potwornościach zbrodni, w opisach miejsc rozpusty, co bohaterów robiła z galerników? Taki Eug. Sue, taki Soulié, póki pisali tkliwe wiersze, lub sieląnkowe obrazki, nikt ich nie czytał; owóż poznavszy, że na ten sposób niema zarobku, wzięli się malować szkarady najjaskrawszemi farbami i zdobyli wziętość i pieniądze. To pewna, że nie świat mężki napędził im tych zysków, bo w kraju przemysłowym i praktycznym jak Francya, niema na to dość czasu; przeciwnie kobiety przywykły tam gonić za wrażeniami, nie dziwnego, gdy żądają coraz mocniejszych. Pragnienie nadzwyczajności wrodzone jest kobiecie; kiedy mężczyzna sobie wystarczy, ona bierna istota, szuka zewnętrznych potrażeń. Niedawno przecież pisały gazety, iż przy otwarciu jakiejś skandalicznej sprawy w trybunale francuzkim, prezes kazał na ustęp wszystkim uczciwym kobietom — na to wezwanie żadna, ile ich tam było, ani powstała z miejsca — co widząc prezes, ruszył dowcipem i rzekł: kiedy się uczciwe kobiety już wyniosły, woźni! wyprowadźcie nieuczciwe!

To samo tłumaczy nam dlaczego przy

wszystkich krwawych egzekucjach najwięcej spotkasz kobiet? Delikatność nerwów i uczuć całkiem w tę grę nie wchodzi.

Dawniej, kiedy berło gustu trzymały wielkie panie bardzo sentymentalne i wypieszczone, pod wpływem ich i literatura stała się słodko-ckliwą i wypieszczoną -- dziś zdemokratyzały kobiety, lubią energię i naturalność; aby im dogodzić, postarano się o energiczne efekta i najobnażeńszą naturę.

Czy w takich, czy w innych warunkach, zawsze wpływ niewieści na płody wyobraźni szpeci je przesadą i manierą. Co więc, jabym niewyjaśnioną dotąd przyczynę skażenia naszego piśmiennictwa w epoce panegiryków, ich wpływowi przypisał, a nieumyślnemu jakimś zamachowi Jezuitów, do ociemnienia narodu, jak to powtarzają wszyscy aż do przesyty...Rozumni członkowie tego zakonu, chcąc przy sobie utrzymać powagę nad wicherzącym różnowierstwem i wkradającym się filozofizmem, musieli działać na niewiastę, wyobrażającą zawsze duchową stronę rodziny, a w zamian stosować się i do jej smaku, który wówczas był zupełnie taki jak się w ich stroju objawił: olbrzymie peruki, rogówki jak balony,

robronny ogoniaste, prezentacya monarsza, — zgoła widmo fałszywój wielkości, śród rzeczywistego upadku rzeczypospolitėj. Te sążniste, pusto-brzmiące deklamacye nastrzępione niepotrzebną erudycyą, to sadzenie się na nie-naturalność, te ciągle porównania ludzi ledwo znanych w swoim powiecie, z wielkimi Greki lub Rzymiany, musiały znachodzić wielki aplauz u pań, co zasłyszały od Francuzek i Francuzów kręcących się przy dworze Maryi Kazimiry, o wspaniałościach wersalskich i o tém bożyszczu około którego jak koło słońca obracało się wszystko...

Ale już dość o tych wpływach. Czytelniczki gotoweby mnie pomówić, że wpadłszy na tę materyą, szukałem dowodów nawet i tam, gdzie ich niema, a chcąc gwałtem znaleźć wiene, zwałem wszystko na nie, jak na owego koguta w bajce:

On źle poradził,
 On grad sprowadził,
 On czas rozziębił,
 On zasiów zgnębił,
 On zepsuł pole,
 On zniszczył role.

Tymczasem nie jestto chęć uwłaczania ich właściwym przymiotom, broń Boże! ale wyświecenie pewnych stanowisk, które bałamutnie pojmowane, psują wszelki zdrowy organizm. Żebym więc był zrozumialszym, powtórzę powszechnie przyjęty pewnik: panowanie mody w rzeczach literatury i sztuki, zawsze przypada na ich niekorzyść, a któż modę tworzy? — kobieta!

Jeżeli zasługi naszych literatek, dla piśmiennictwa ojczyzstego w niedługim dałyby się zamknąć ustępie, niemniej przeto ważny i nie dający się pominąć, stanowią w dziejach literatury epizod.

Działanie ich aczkolwiek nie sięga wyższych sfer umysłowych i duchowych, zato w sferze życia, szczególnie w zakresie utylitarnym, odbyło się prawie w oczach naszych, a to w sposób dowodzący prawdziwej wyższości i serca i umysłu, i tego poświęcenia się, które u kobiet bywa z wszelkimi ich pomyśłami nierozdzielne.

Imię autorki: Pamiątki po dobrej matce, świeci na obszarze żeńskiego piśmiennictwa jak gwiazda pierwszego rzędu, której nawet i zuchwalsze podloty idących po nią autorek

przyćmić nie zdołały. Kto wie czem było dawniejsze u nas wychowanie kobiet modelujących się na moralizująco-romansowych książkach pani de Genlis, składających cały kodeks edukacyjny, ten zostaje uderzony tą wielką reformą wychowania, jaką umiała przeprowadzić ś. p. z Tańskich Hofmanowa. Jéj też podziękować mamy wykształcenie dzisiejszych matek; ona im wpoila uczucie powinności, religijne poświęcenie się, miłość do tego co nasze. Środki jéj były proste; nie wdając się w żadne poglądy estetyczno-metafizyczne, patrzała w serce, dopomagała rozwijać się uczuciom, uczyła życia chrześcijańskiego i obywatelskiego, stawiając piękne wzory cnót religijnych i moralnych w żywotach świętych, a cnót obywatelskich w żywotach historycznych. Umiejąc się stosować do każdego wieku, brała kobiety od dzieciństwa i prowadziła ją do ołtarza na małżonkę i matkę. Miłość przyrody wiejskiej, pracy gospodarskiej, zajęcie się ludem, przechodziło z jéj pism w umysły i serca tych niewiast, których czekało to powołanie.

Utwory Tańskiej pod względem literackim wyżej stoją o całe niebo od późniejszych, zarozumialszych i dumniejszych usiłowań współ-

zawodniczek jój w piórze. Przebija w nich dusza kobiety, z całą delikatnością odcieni uczuć, dostrzeganych i chwytych w sposób tak prawdziwy i prosty, tak nienaśladowany od nikogo, że dla czytających ją mężczyzn zawsze będzie nowością pełną uroku, a dla kobiet zawsze niewyczarpanym skarbcem ich rojeń i uczuć, prawideł i wskazówek życia.

Gdybyśmy przyjmowali postępowanie za konieczność bezwarunkową, jako dalszy ciąg tego co się już dokonało, powinniśmy zapytać się dzisiejszych literatek co więcej od niej zrobiły? gdzie ich postępu ślady?

Tymczasem oddając im słuszną, że nie jedna błysnęła pięknym talentem pisarskim, nie jedna sięgnęła po wyższą umiejętność, nie jedna rzuciła się na pole filozoficznych zacieków, lub socyalnych rozpraw, możemy podziwiać talent i bystrość pojęcia, ale dla tego, zasługi Tańskiej zostaną jedyne, bo wydały owoc pożytku nie próżności, wychowały pokolenie, kiedy po niej idący autorek poczet, może go nawet nie bawi.

Jak powiedziałem wyżej — zmięły się

Dzieje hist.

17

autorki nasze z właściwym sobie żywiołem; zbyt je znęciła sława autorska, a osobliwie sława jednej kobiety, która we Francyi postawiła się na równi z całym areopagiem pisarskim — bez jój wyjątkowego talentu i wyjątkowego życia, usiłowania naśladowczyń nie przestaną nosić cechy porończych płodów.

Zdaje się jednak, że i u nas na dobre ostygąć zaczyna entuzjazm dla Lelii; w ostatnich latach dostrzedz można pewien zwrot korzystny w utworach autorek naszych. Szczególniej w rymotworstwie pojawiło się kilka talentów.

Jezeli jest sztuka jaka przypadająca w sam raz dla kobiet, to niezawodnie sztuka rymotworcza. Gwiazda i przepaska, są jakby umyślnie dla ich pięknego czoła stworzone. Farby i olój palety brudzą ręce — dłuto za ciężkie, a marmur za twardy, zato delikatne paluszki mogą bez trudu muskać po stronach lutni. Poezya, to jakby przyrodzony język kobiety. W każdym wieku znajdziesz niewiasty co się poświęcały téj sztuce. Mimo tego, zastanowiwszy się nad charakterem ich utworów poetycznych w powszechności, znajdziemy wszędzie

nie wielką rozmaitość, mało siły i szczupłe rozmiary, są to jak owe pasterskie fletnie trochę za monotonne w wyrażeniu swych rozkoszy i boleści; wszakże i ta monotonia ma pewien wdzięk, jak rozleganie się fujarki wykreconej z wierzbiny w ciepły wieczór majowy, wdzięk, jak jednostajna bladość kielicha lilii. Jeden z poetów greckich w antologii odgadł ten symbol poezji kobiecej, kiedy żąda od każdego poety innego kwiatu: róż od Anakreonta, lauru od Pindara, a przeciwnie od pięknej poetki Anyty lilii, od Myry lilii, od Nossis także lilii — jakby symbol jeniusza poetycznego u kobiet, w tej jedyniej przedstawiał się mu postaci.

Zdanie to starożytnego poety, możnaby bez grzechu zastosować do wszystkich niemal najlepszych utworów poezji niewieściej, zwłaszcza w tych rodzajach, gdzie się puszczają torem wskazanym przez męską lirę. Przeciwnie, mam to przekonanie, że poetka, która by umiała wyśpiewać tajemne drżenia swego serca, wszystkie najprzelotniejsze odcienia dziewiczych myśli, wszystkie kaprysy fantazyi igrającej jak motylek i barwniej jak jego skrzydełka potrząśnione złocistymi pyłkami, któ-

raby nam odkryła światek czarownych swych marzeń, odgadywany tylko ale nieodgadnięty, opowiedziała te dzieje rodzących się i konających uczuć, te łyzy radości i smutku, które nie wilżą oka bo niemi serce w cichości zachodzi, taka poetka, byłaby tém, czémby mogła być kobieta najwyżej w tym zawodzie — taką musiała być Safona lezbijka w swoich lirykach, co choć nas doszły w okruchach, pozwalają się domyślać, że w nich była tajemnica duszy namiętnej, wyśpiewana z całą prostotą i gorącym prawdy. Dziś piszące autorki zazwyczaj trzymają się wzorów mających odgłos w narodzie. Przy wydoskonalonym naszym języku, przy wybornych utworach poetycznych i one wiele zyskały.

Najznakomitszą w obecnej chwili rymotwórczynią u nas jest niezawodnie pani Seweryna Pruszkowa. — W upłynionym roku wyszło pięć jej poematów, a każdy jeśli nie większy to równy Maryi Malczewskiego. Za przedmiot dla swój geśli obrała ona żywot domowy upłynionego wieku, jestto jeszcze ten sam prąd Soplicowski, wzbogacony barwami poetycznemi, zidealizowany do wysokości cnót religijnych domowych, publicznych. Dążność

czysta i chwalebna: budzić miłość do cnót i prostoty prababek, do domowej strzechy, do tego patryarchalnego świata, co z dniem każdym nas opuszczać się zdaje. Szlachetne przedsięwzięcie autorki, możnaby zamknąć w tym jój własnym ustępie:

O! ja im powiem, gdzie mają ołtarze
 Zakładać Panu, w dowód kornój cześci,
 Ja iskrę w piersi rozniecę niewieściój;
 Barki jój w skrzydła przybiorę łabędzie,
 Że znów Aniołem cichój strzechy będzie,
 Że próg domowy zasieje znów w kwiaty,
 Jak jój prababki czyniły przed laty.
 Ja to uczynię! bo słowa potęga
 W skryte serce ludzkich tajniki dosięga!
 Ale o Panie! daj mi słowo wieszczę!
 Bo czuję z bólem, że nie zdołam jeszcze
 Przyoblec myśli w promienistą szatę,
 Czuję, że źródło natchnienia bogate,
 Darmo przedemną roztacza swe czary...
 Daj mi o Panie! daj mi promień wiary!...

Nie można tego zaprzeczyć, aby pani S. Pruszkowa nie posiadała rzadkiego rymotworczego talentu, ale własności jego są więcej liryczne niż epickie. W pięciu poematach, któreśmy czytali, znajdziesz obfite sceny i moty-

wa, oddane wierszem potoczystym, dźwięcznym, ale natomiast nie znajdziesz ani jednej postaci narysowanej, ani jednego charakteru ściśle zakreślonego, osoby jej, są to cienie przesuwające się, które zupełnie mają pozór żyjących znanych osób, ale przeto nie żyją... To pokazuje, dla czego mimo tak uroczych wierszy, mimo myśli najszcześliwiej nieraz oddanych, mimo łatwości dykcyi do pozazdrosczenia, czytelnik prędkie uczuwa znużenie, interes w nim się nie obudza. Jeżeli malowidło jakie na pierwszy rzut oka wyrazem swoim uderzy cię, a im się dłużej weni wpatrujesz zaczyna cię ziębić jakimś niedostatkim prawdy, natenczas śmiało można twierdzić, że malarz malował go bez ścisłych studiów, czyli nie szukał prawdy, tylko efektu. To samo dałoby się i o tych poematach powiedzieć — jest rutyna, ale studyów niema; jest wdzięk, ale jest i maniera. Nie wątpię, że tak piękny i tak nieposłedni dar rymotworczy jakim obdarzona pani Pruszkowa, odkryje jej inny świat, w którym pokaże się bardziej sama sobą; karabele, sumiaste wasy, stentorowskie głosy panów sejmikowych, to za ciężki przybór — a nadawać im lekkość dekoracyi teatralnej,

— to znowu szkoda. — Lilia biała i wonna, ten symbol odkryty przez greckiego poetę — nie byłby anachronizmem nawet i dzisiaj, gdyby poetki nasze chciały przestać na téj ozdobie...

X.

POEZJA CISZY I ŻYWOT ZIEMIANSKI SZLACHCICA.

W. Pohl i W. Wielogłowski.

„Świat coraz prozaiczniejszy, świat wierzy tylko w rzeczywistość, marzeniem jego są liczby; a zatém poezyi w życiu nie ma, a jeżeli się gdzie zjawi, rzadki to ptak!“

Narzekania tego rodzaju powtarzały się i dawniej, powtarzają się i dziś, ale nie idzie zatém, żeby lokomotywy, telegrafy, giełdy, niezostawiły bodaj małego kącika dla poezyi; przeciwnie pod naciskiem pary, kursów, elektrycznej iskry i całej téj materyalnej cywilizacji, wyrabia się świat wewnętrzny, tulący

się do domowego ogniska, do zamierchłej przeszłości, do mglistych rojeń o tém co będzie, czego pragniemy, a najlepiej czerpiący siłę swą w wierze, nadzieję w Bogu, prawdę życia w niesmiertelnych pięknościach i cudach stworzenia.

Nie z powikłanych zatém interesów i dążeń materialnych wpływa jakieś zwątpienie w poezją, ale prędzej przypisałbym to mnożącym się poezjom i poetom. Względne wydoskonalenie formy zewnętrznej, znamionujące niemal wszystkie świeższe utwory, sztuka rymotwórcza posunięta do wysokiego stopnia, sprawiają, że ta rymowana mowa, jak szmer ciągle spadającej kaskady zaczyna nieco się przykrzyć i niecierpliwić, bo ta złudna szata sztuki, która się olśniewa, nęci, pieści ucho muzykalnemi dźwięki, tak doskonale umie maskować niedostatki prawdziwego natchnienia, tak zręcznie udawać krzyk uczucia wyrwający się z serca, że przeczytawszy niejednego taki utwór, nieumiesz sobie zdać z niego sprawy. Przecież to tak pięknie powiedziane, tak płynne, a jakie rymy, a jakie brylanty wyrażeń! powinnyby mię wzruszyć, unieść w świat idea-

łów, podnieść o kilka nieb na skali ducha. —
Czemuż mi tylko podziw zostaje?!

Oto że prawdziwi poeci są zawsze rzadcy; natchnionych wieszczów nie przybywa co rok wraz z jaskółkami; stulecia ich rodzą; co nie przeszkadza iżby od czasu do czasu nie mieli zjawić się artyści poezyi, którzy prowadzą dalej gmach nakreślony przez geniusz, dopełniając go, rozwijając, komentując, i jeżeli on z nieba brał, oni zeń biorą.

W twórczej epoce wieszczów natchnionych nicby ci nie wadziło, żeby świat cały się odzywał rymem; lecz w takiej kiedy artystostwo za natchnienie uchodzi, ustawna produkeya utworów z przymiotami względnej doskonałości nadzwyczaj nuży, bo osłabia wiarę w prawdziwą poezyę; a co gorsza tak przegłusza śpiew prawdziwego natchnienia i uczucia, śpiew najczęściej nie wymuskany, nie dbający o złocistą szatę, o wyszukaną harmonią rymów, a prosty i nieobrachowany na efekt jak krzyk boleści, jak łza sieroty, jak tęsknota tułacza, lub jak uśmiech niewinności i szczęścia, że czytelnik mniej wprawny w tę sztukę ułudną, miesza się i często piękne pozory bierze za istotę.

Jest téż to zadaniem krytyki nie dać się ludzi pozorem i odróżnić te piękności, które tryskają z rzetelnych poetycznych usposobień, od przybranych sposobów; pokazywać, gdzie bije źródło prawdziwego natchnienia, a gdzie są tylko cudzych natchnień odblaski. Rzecz niepośledniej trudności, bo w tym chórze poetycznych koncertów, nie jeden śpiew ginie, coby mógł panować nad duszami, gdyby mu towarzyszyła cisza i wtórowało echo. Jeśli bym tu mógł użyć niższego od przedmiotu porównania, powiedziałbym, że niejeden indywidualny tenor zerwałby sobie piersi, chcąc panować nad zgiełkami i utrzymać się przy głosie. Zresztą ci którzy berło dzierżą w poezyi od wielkiego naszego literackiego ruchu, nie oddali go dotąd nikomu; miłość dla nich nie zwietrzała jeszcze, słowa ich nie straciły czarodziejskiej potęgi, a choć niektóre zmiłły, jeszcze je słuchamy. Niewiele jest co powiedzieć, czegoby oni już nie powiedzieli; a chciawszy coś nowego powiedzieć, azaliż świat zewnętrzny odmienił się tak bardzo? przyczyny naszych smutków i naszych radości odmieniłyż się także?

Ta trudność dla talentu w osiągnienu

wszechwładztwa geniuszu, zdradza się z każdej strony przez niezmordowane usiłowania, gorączkowe zabiegi co do formy, idei, estetyki. Znajdziesz niewiele takich poetów w tym steku brzęczących i dźwięcznych strof, coby nie wywieszało chorągwi, nie obierało celu, nie szukało drogi. Ubite ścieżki doprowadzając do rozpacz, każą wdrapywać się na niedostępne szczyty, wynajdywać bodaj nowe księżycy, aby mieć sławę opiewania ich tajemnic. Jedni też uciekają na pola i łąki przegrywać na pastuszej fletni, i extaziować się nad naiwnością chłopków opowiadających kądzienne bajki; drudzy gardzą człowiekiem, a nadskakują naturze bijąc czołem przed duchem strumyka i kamyka, gwiazdeczki i pajęczyny — pobożni panteiści ścigający rozlanego Boga w stworzeniu! Inni cofają się w mroki zamierzchłej słowiańszczyzny wlewając w odgadywane kształty dzisiejsze uczucia i rojenia — owi pytają świat o zagadki pary i przemysłu, szukają poezji na dnie retorty chemicznej, w pryzmatach kruszcu, w skamieniałościach geologa, w zielniku botanika, w logarytmach gwiazd, w teleskopach, zgoła w całym obszarze wiedzy, jakby wiedza nie mogła się obejść bez

tego skrzydlatego gościa, który nie potrafiłby może rozwiązać prostego twierdzenia o przystawianiu trójkątów. O wszystkich tych można powiedzieć, że mają i dobre i złe za sobą. Dobre, bo szukają celu, bo chcą przez poezję uświęcić ideę, a takie szczere zajęcie się, taki entuzjazm świadczy o pragnieniu powszechnego dobra, o rozmiłowaniu się w tém co piękne. Szlachetne wzruszenie drga w tych rytmach; samo potrącenie o wielkie rzeczy obchodzące świat cały, użycza już pewnej powagi i godności, jakiej nie znajdziesz w owych zalotnych, pustych wierszykach mających niegdyś taką wziętość, kiedy im wtórowała gitara. Dziś instrument ten bez strun, bo i poezya przestała być dzieckiem niewinnej rozrywki dla zabicia czasu, zrobiono ją nauką.

Obok téj strony zaletnej jest i druga ujemna. Nauka i sztuka nie robi jeszcze poety. Poezja niczego nie potrzebuje tylko żeby była poezją. Kto otrzymał od Boga w darze ową tajemną iskierkę zapału, śpiewa, i na tém koniec; albowiem dla téj samój przyczyny, że ma dar natchnienia, że namaszczone na wieczerza, śpiew jego staje się tłumaczem wszystkich boleści, nadziei, dążeń i rojeń społecz-

snego mu świata. Nie można sobie z góry założyć: otóż będę tłumaczem mego pokolenia, otóż jego tajemnice wyśpiewam! System najlepiej wyrozumowany nie zastąpi wrodzonego daru nieba. Dwa wiersze poetycznego geniuszu, więcej zawsze powiedzą, niż tomy rymów o ludzkości. Nie zawsze kto chce społeczność na swój krój przerabiać, posiada tajemnicę wieku.

Zresztą próżna to mozoła gonić za nowymi krainami poezyi, kiedy wiemy, że gniazdowa jój siedziba jedna jest, o tyle nieskończona, rozmaita i niewyczerpana dla potężnej wyobraźni, i twórczego ducha, o ile ciasna i zużyta dla uboższego talentu; gniazdem tém, serce. Odkąd świat światem nikt nie śpiewał i śpiewać nie będzie tylko Boga, naturę i miłość. Niech się świat przerobi jak chce, niech pracę zastąpi mechanizm, para pod obłoki unosi, nierówności rodu i majątku wyrównają się pod linię i wagomiar, formy rządu tak wydoskonalą, że każdy sam będzie się rządził, dlatego wszystko to może dawać pewien ton poezyi, pewną szatę, ale przeto nie będzie ani jój pierwiastkiem, ani celem. Prawdziwy poeta zawsze i po wszystkie czasy idzie opatrzynym

prądem swojej epoki; nie szuka go ani ogłasza, że go znalazł, ale dla tego po prawdzie jego pieśni, po wzruszeniu jakie na tobie sprawia, czujesz go i widzisz jak idzie po pańskiej drodze, i służbę pełni.

Stosownie do zwyż rzuconych myśli, uważam téż dwa rodzaje literatury głęboko od siebie różne, i to mające do siebie, że w miarę, jak książki się mnożą, przedział rozgraniczający je coraz się bardziej rozszerza. Jeden rodzaj pochodzi z serca, z pojęcia, z osobistego życia, i on to najtrwalsze dzieła tworzy. Ażeby w nim sympatyczny głos zabrać, potrzeba myśleć przez się, widzieć własnymi oczyma, a raczej samemu przechodzić katusze namiętności, doznawać zawodów nadziei, a płakać gorzkimi i słodkimi łzami, z których się składa życie serca. Rodzaj ten, aczkolwiek niejeden przyswaja go sobie, liczy nader szczupłą liczbę wybranych. Drugi znowu winien rodowód swój książkom, i li tylko książkom; najczęściej nie ma nic wspólnego z wątpieniami myśli, z walkami i cierpieniami wewnętrznymi. Jestto proste pamięciowe ćwiczenie posilkowane sztuką zręcznego przerzucania słowami wyszukanemi, brzmiaćemi, jak te gwałto-

wne światła, które malarz kładzie tu i owdzie, aby efekt wywołać w płaskiej i niemiej kompozycji. — Rodzaj ten, to prawdziwy lep na umysły łatwowierne, chwალce niedoświadczone — lecz niedługo trwa to złudzenie, bo nagły pociąg prędko ostyga.

Do pierwszego rodzaju należą, z taką wdzięcznością przyjmowane utwory poetyczne śpiewaka Mohorta, mianowicie najswieżej wydane przezeń *Drobne poezye*. Od początku swego poetycznego zawodu jest on wiernym i prawdziwym tłumaczem wrażeń, natchnionym wieszczem, piewcą tradycyjnej wiary przodków, malarzem cichych scen przy domowym ognisku, patryarchalnego żywota szermierzem, a zawsze kochankiem prostoty, spokoju i tej wielkiej ciszy, która jedna usposabia na człowieka, wielkiego nawet, choćby w najlichszym stanie:

Bo nie to wielkie, co bywa szumne,
 Ani to wielkie, co siłą dumne,
 Ani to wielkie, czego nie zmierzyć;
 Jedno to wielkie — w co człeku wierzyć,
 Jedno to wdzięczne, co człeku grzeczne,
 A jako sprawy Boże jest wieczne...

Jestto podzięka za niejedną chwilę natchnioną: można też śmiało powiedzieć, że ci-sza, jest najmilszą Muzą W. Pola, ona go pro-wadzi w cienie odwiecznych borów, aby mu gadały swe odwieczne dzieje, ona do klaszto-ru wabi, gdzie

Najdzielniejszy duch w skupieniu —

gdzie święta legenda rozpowiada o cudach wiary, gojąc rany zadane od ludzi — ona w dworce i chatki wiejskie,

Na kwietne łąki i cieniste lasy;
Na ciche ranki i na wiejskie wczasy
Gdzie z bydła sytość, a z ziemi pociecha!

Dumającemu w ciszy poecie najlepiej przy-pada ton elegiczny w jakim opiewa wrażenia zebrane na łąkach zbożnych, łąkach, górach, nad wielkimi naszymi rzekami, w głuszy nie-połomskiej puszczy, wśród zabaw i zatrudnień wieśniaczych.

Nie są to puste jeremiady pisane aby pi-sać, lecz wyraz głębokiego wrażenia rzeczy-wisty, nie zmyślony; dlatego też działa w tym samym stopniu na czytelnika tak urokiem pra-

Dzieje hist.

18

wdy, jak urokiem poetycznego czaru, któremu się wzbronić niepodobna:

Bo któż pyta,
Gdy za serce urok chwyta?

Jeżeli kto, to śpiewak *drobnych poezyj* umie niezliczonymi czarami ozdabiać ziemię naszą; duch poety udziela się wszystkiemu: od świętojańskiego robaczka do kilkowiekowego dębu, od remizowego gniazda do zielonego Beskidu; myśl téż jego uczepiona raz do skrzydeł ptaszka, raz zmieszana z szumem boru, złana z echem ligawki, z wonią skoszonego siana, zatkniona jak sztandar na szczycie gór, pozostańcie nierozdzielna od miejsc i przedmiotów, którym drugi raz życie dała.

Prawdziwy cud poezyi! bo dokonany tak małemi napozór środkami. — Nigdzie poeta nie chce zadziwiać bogactwem kolorytu, rzeźby, harmonii muzycznej słów; poprostu opowiada co czuł: w miarę téż siły lub poetyczności uczucia i najprostszy wiersz bywa u niego grzniącej mocy, a najniewyszukańszy obrazek tak artystycznie oddany, że im się dłużej weń wpatrujesz, tém tajemnica tworzenia w natchnieniu staje się coraz większą za-

gadką dla tych, coby przez analizę chcieli do-
ciec wszystkich tajemnic stworzenia.

Takie niespodzianki często przychodzą
w poezjach Pola; w niektórych nawet kawał-
kach mniej szczęśliwych, powtarzających obraz
lub myśl, którą już gdzieindziej wyraził, za-
wsze zaplącze się jeśli nie śliczny jaki wiersz,
to wyrażenie nowe, pochwycone na uczynku
w tej poetycznej grze natury, zrozumianej tyl-
ko oku artysty. Przymiot ten sprawia właśnie
tę świeżość i uroczystość wiejącą z utworów
Mohortowego śpiewaka, on to im zapewnia
nieprzemienią wziętość, nawet wtedy, gdyby
kunsztowni rymotwórcy, chcieli go przyćmić
całym blaskiem wyszukanych i trudnych ry-
mów, mozolną rzeźbą i najsztuczniejszemi far-
bami — on do serca umie pukać i uczucie za-
wsze się na jego zakłęcie odezwie. — Niech
mu zarzucają zaniedbanie formy zewnętrznej,
zbytnią prostotę posunioną nieraz do dziecię-
cej naiwności — to jeszcze będą to drobne
usterki ginące w potoku innych, rzetelnych
i szczytnych piękności. Przyznam się, że
choćby tego lub owego nadużył usiłując po
prostu i bez wykwintu swoje uczucia wyrazić,
to jeszcze nie wziąłbym mu za złe; bo czyż

niedosyć znudziło nas tyle obrazów świetnych a bez myśli, tyle niepotrzebnych draperyj niezdradzających nawet kształtów mających się ukrywać pod niemi? Dzis, w świecie tak zwanym artystycznym dank odnosi tylko muzyka przymawiająca do ucha, i jedynie zaprzątńiona uchem, malarstwo i rzeźba usiłujące zainteresować oko, i jedynie oko, tedy utwory literackie po większej części obierając zmysłowe drogi, usiłują więcej działać materyalnie na czytelnika przez podrażnienie jego ciekawości, przez podżeganie namiętnych żądz i przez opisy żywcem kopjujące naturę i człowieka, w chwilach, kiedy natura i człowiek nie stoi na téj wysokości moralnej, żeby się do ideału zbliżał. Jestto jedno co mijać się z celem prawdziwej sztuki, która nie na to nam dana, abyśmy mieli to *in effigie*, co nas codzien otacza i na co gołem okiem patrzymy. — W poezyach Pola nigdzie się nie napotyka téj choroby wieku; jeśli nie miał co powiedzieć, milczał — a gdy przyszła nań szczęśliwa godzina natchnienia, śpiewał. — W skutek téj poetycznej szczeroty wiersz jego, obraz jego, tak niepostrzeżenie, tak snadnie wypisuje się w pamięci i sercu. Ażeby go

zrozumieć i pokochać, niepotrzeba ślęczyć nad pomnikami geniuszu starożytnego lub nowożytnego. Zdawałoby się, że on nie wie o żadnych tajemnicach sztuki, że wszystkiém obdarza go natura, uczucie religijne, i uczucie moralne, te trzy nieprzebrane źródła nie mające się niczego obawiać od kapryśków mody.

Ponieważ cały ten zbiór *Drobnych Poezycy* jest dzisiaj w ręku publiczności, nie potrzebuje wymieniać co się w nim mieści, ani też analizować poszczególnie każdego kawałka; bo smutna to rzecz brać uczuć odcienia, lub na obłokach kreślone kształty, lub te polotne myśli unoszące się w powietrzu z dźwiękiem dzwonka, z szmerem trawy, te fantazyje grające w kroplach rosy — brać je i pod rozbiór zimnej rozwagi dawać, kiedy każdy wiersz, każda myśl wpiła się w duszę, nastroiła ją swoim strojem, że razem z poetą musi wierzyć, kochać, przebaczyć...

Komu takie głosy wieszczę
Pan do duszy zesłać raczył,
To nietylko, że przebaczył,
Ale mógłby kochać jeszcze...

Poeta sam to powiedział w prośbie do Boga o tę wielką łaskę, aby mógł kochać, a na-

wet przebaczać; ja zaś robiąc małą zmianę w wyrazach, powiadam: że przez pieśni jego ta sama łaska spływa na ludzi dobrej woli. Kto je z miłością czyta, doznaje jakby wewnętrzne ukojenia, czuje się lepszym, wyższym duchowie, niewinniejszym w pragnieniach; otaczający go świat pochmurny, swarliwy, ozłaca się promieniami wiary, szlachetnieje w-tęj ciszy borów i pól, chatki i klasztoru, bo Bóg najspadniej przemawia w ciszy, jak przemawiać lubiał do świętych mężów Tebaidy.

Kto wiele doznał goryczy życia, kto nieprzewróconą żrenicą umiał patrzeć na bieżący potok zdarzeń, kto się nie usuwał od współnictwa w ogólnej pracy, ten może często sarknąć, głośnym zabołec wyrzutem. Są to rzeczy ludzkie — więc i poecie, co stopą zawsze dotykał ziemi, wolno tém bardziej, jeżeli natomiast rozlał takie wonne balsamy miłości, a tyle nagarnął ciepłych promieni prawdy i wiary, że ta ziemia którą opiewał, przyoblekła się jakby w świąteczną szatę, ku uczczeniu Pańskiej Chwały na niebie.

Zresztą chcąc pragnąć czego innego w tym zbiorze poezyi, trzebaby pamiętać, że to nie temata wypracowane na pewne zadanie, ale

odbicie wrażeń osobistych — że w co poeta się wżył, co się uczucia tknęło, to się i wydało pieśnią; — czysta spowiedź ducha z chwil, w których olimpskie hymny i dytyramby były niepodobne, z chwil, gdzie nie było ani ciemno, ani jasno, ani sen, ani jawa — ale to, co on tak nieporównanie skreślił w jednej zwrotce cudnego wiersza *Leśne Jezioro*:

Ledwo że zgasły te zorze nieszporne,
 A już poranne palą się od wschodu,
 I z jednej przędzy marzenia wieczorne,
 I pierwsze kwiaty z jutrzeńki ogrodu.
 Rosę poranną nocna woń przenika,
 Po rąbku ziemi zorza się przeauwa,
 I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
 Ni sen — ni jawa — a duch czujny czuwa...

O czuwaj duchu poety! żebyś zamdlonym źrenicom co nie umieją wznieść się do góry, wskazywał zawsze z kąd się mają spodziewać słońca prawdy; czuwaj i budź pieśnią, dopóki sny gorączkowe uchodzą za życie, przeczenie za mądrość, nienawiść za dogmat, upór za przekonanie.

Kończąc tych kilka wrażeń doznanych, z odczytania poezyj Pola, winienem, aczkol-

wiek mówiłem w tym sensie wyżej, dodać jeszcze słówko o jego formie, ażeby ją dokładnie zcharakteryzować. Jestto po prostu strój kobiety, która zbudzona wybiega z myślą szczęścia lub smutku witać lub oplakiwać... piękność i wyraz jój cały leży w oku i w ustach grających uczuciem matki. — Nie byłby artystą ktoby przypatrywał się wtedy jój drape-ryi... To lekceważenie zewnętrznej szaty, nie dowodzi, żeby poeta nie znał resursów sztuki, lub nie umiał efektami nadrabiać; ale raczej skutek to prawdziwego improwizatorskiego talentu, który zajęty pracą tworzenia zostawia na boku wszystkie sposoby i zręcznostki. — Ztąd naśladować utwory Pola bardzo trudno, chociaż się o to nieraz kuszą — rysy i linie jego są mgliste jak w niektórych Murillowych obrazach — kalkować je niepodobna; treść ducha tkwi gdzieindziej, potrzebaby mieć jego natchnienie i czucie, żeby z powodzeniem biedz w jego tropy.

Od wrażeń doznanych przy wielokrotném odczytaniu *Drobnych Poezji*, przejście do wspomnień Walerego Wielogłowskiego złożonych w książce *Dom mojej Babki*, nie jest tak nagłe, aby te dwa wrażenia w jednym ustępie spły-

nać ze sobą nie mogły. Jak w pierwszym tak i w drugim utworze, cichy żywot ziemiański służy za główne tło; tylko w pamiętnikowym opowiadaniu występuje wybitniej, szczególnie, ze wszystkimi patryarchalnemi rozkoszami miłości rodzicielskiej, miłości dziecięcej, przywiązania sług i poddanych do pana, wizyt, konkurów, zaślubin, pogrzebów, wesołych sąsiedzkich zabaw, katastrof nieurodzaju, ognia i wody z portretami rzadkich dziś starców i matron budzących miłość i szacunek, humorystycznych oryginałów pobudzających do serdecznego śmiechu — zgoła jest tu wszystko jak przed laty bywało w wiejskim dworze, kiedy w nim siedział poczciwy stary obyczaj, wiara nierozumująca wiele, ale żywa i do ofiar gotowa, a błogosławieństwo Boskie objawiało się widomie i na łanie i w oborze, i na pracowitej czeladce, i w najbliższych istotach tulących się do serca rodziny...

Zacność ziemiańskiego żywota, a tém samém powołanie szlachcica obywatela w wielkiej oddawna bywało u nas powadze. — Rej z Nagłowic pierwszy to poczuł i pojął na czém stoi gruntowna siła narodu, kiedy żywot ten skreślił we wszystkich możebnych odmianach.

Biskup warmiński w Panu podstolim podjął tę myśl i zaczął przeprowadzać ją stosownie do wymagań swojego wieku, mniej zbierając żywe wzory, a więcej dosadzając argumentami. Książkę: *Dom mojej Babki* uważam za jedną gałąź tego drzewa, które Rej zasadził, z różnicą, że autor wziął formę powieściową, a raczej pamiętnikową, dzisiejszej epoce odpowiedniejszą; duch ten sam pozostał, moralność ta sama; bo są prawdy nieulegające przemianom wieków; lubo znowu obok tego wystąpiły słabości naszego czasu nieznanie Rejowi, które autor wybornie ściiera trafniemi uwagami strzegąc się jednak popaść w zimną ironię i niechrześcijańską satyrę. Tym duchem umiarkowania wiedziony robi swój obraz ponętym; do wybranych postaci przywiązuje czytelnika, budząc w nim pragnienie stać się podobnym do cnotliwych obywatelskich wzorów. Taki dom polskiej matrony, to raj zbudowany na fundamencie świętej wiary, związany obyczajem staroświeckim, tradycyjnym, a podniosły szczytem, na którym świeci godło: pokój i miłość! A jednak niema tu nic idealnego, nic zmyślonego na krój praktycznego morału; prosta tylko opowieść z lepszego czasu, który

już tyle prawdziwych postaci naszej literaturze dostarczył, że dziś za ideały uchodzą. Zapewne urok wspomnień z lat młodocianych mógł niejedną figurę lub zdarzenie przyoblec w tęczowe rąbki, bo tęsknota za tém co przeszło bezpowrotnie jest także pęczyą, odtwarza lecz i upięknia — ztémwszystkiém piętno prawdy niepodejrzanéj patrzy z oblicza każdéj z wprowadzonych postaci, a w opowiedzianych zdarzeniach niema tam żadnych nadzwyczajności; owszem wszystko się dzieje zwykłym trybem wiejskiego życia, tylko ten tryb nie taki jak za naszych dni. Gościnność z sercem otwartem jak brama wjazdowa; sąsiedzkość skora do posługi, prostota w potrzebach życia, stosunek familijny między panem a podwładnymi, związki krwi szanowane jak świętość nawet w odlegléj parentelli, a zawsze dużo wyrozumienia na słabości ludzkie, bo dużo w sercach miłości; nakoniec to przywiązanie do cichéj strzechy domowéj, pod którą wychowywało się nie jedno pokolenie i swoje i sierot przybranych. Rzadkie dzisiaj przykłady, kiedy ziemianin miejsca nie zagrzeje, goniąc wiatry po świecie.

Przebiegać ten pamiętnik we wszystkich

jego rozdziałach byłoby za długo, gdym mniej więcej o duchu i treści jego napomknął; — wszakże wypadałoby mi coś powiedzieć o sposobie pisania autora. Ci którzy czytali niektóre prace W. Wielogłowskiego poznali się już z tym stylem żywym, płynnym, cokolwiek bujnym a zawsze słodkim.

W niniejszém dziełku wymagającym prostoty opowieści, umiał się piszący utrzymać na wodzy; dlatego téż choć często w toku przychodzą miejsca mniej zajmujące czytelnika, z powodu drobnostkowych zdarzeń powszedniego życia, które bezpiecznie można było pominąć, mimo tego zawsze wątek snuje się równo, okraszony wdziękami stylu. Można by także przyganić, jeśli już coś ganić koniecznie potrzeba, niektórym exaggeracyom w charakteryzowaniu, posuniętym za granice dobrego smaku, jak to znalazłem między innymi w ustępie o Łzie, który pięknie zaczęty kończy się takim obrazem: „Łza jój zółci się w oku, na tle nabrzękłego bielma, krwią powieki naszłe odkryły wierzchnią tęczę, w chwili, kiedy pod ciężarem mętnych łez powodzi spodnia powieka opada, kilka zmarszczków głębokich brwi przy nosie łączą, przy nosie, któ-

ry się nadyma, przedłuża i puchnie, a usta rozszerzone spadają w kącikach, jak dwie suche gałęzie u płaczącej wierzby. Głos jęj piersi chrapliwy jak w czasie konania, ruchy jęj ciała jak zwijanie się zdrażnionego węża, a ręce konwulsyjnie ściśnione w dwóch dłoniach, trupia siność pokrywa: z warg zaś odwróconych, grubych i wilgotnych spieniona toczy się ślina i spływa obficie po skurczonj brodzie.“ — Szczegółowy ten opis ma dowodzić, że takimi łzami płacze złośnica. Karykatura ta niepotrzebna, dość było jednego a prawdziwego rysu, a mielibyśmy pojęcie fizjonomii złośnicy płaczącej. Wytknąłem to miejsce, bo mię zdziwiło w tak poprawnym pisarzu; podobne dosadności zostawmy tym, co pismami swemi usiłują działać na zmysły i nic więcej. Natomiast wiele potrzebaby kart, żeby wytknąć wszystkie przedziwne ustępy znajdujące się w książce Wielogłowskiego, czy to gdy nam kreśli zaginiony typ jakięj rezydentki w amorach, lub w grymasach i furyi; czy szkicuje Węgrów z towarami, tych Węgrów co tak już zaginęli jak owe Szoty, o jakich wspominają akta dawnych magistratów,... czy takiego Kanę, którego typ nieprędko

zapewne zaginie — czy maluje nam imieniny, czy wesele, czy przejmujący obraz powodzi, zawsze ożywiony pełen trafnych postrzeżeń i wyborniej charakterystyki humorystycznej. W uwagach zaś jakie mu z toku zdarzeń nasuwają się tu i owdzie, uważam głęboką znajomość serca ludzkiego, argumentowanie ściśle i do przekonania trafiające, częstokroć nawet posiłkowane niewyszukanym dowcipem, a zawsze ubarwione prawdą otaczającą nas rzeczywistości. Nie jestto bynajmniej teoretyk i suchy moralista. — Posłuchajmy co mówi porównyując dawną dobroczynność z dzisiejszą:

„Gdyby (jak bywało dawniej) domy zamężne i klasztory dawały przytułek ubóstwu i podzieliły się ciężarem nędzy ludzkich, to mniéjby potrzeba zakładów dobroczynnych, na które łożą koszta ci sami, którzy ten ciężar z barków zrzucili. Dawniej sierota, niemowa, kaleka, żywili się okruszynami spadającymi ze stołu możniejszych panów, przywiązywali się do domu i jaką taką wywdzięczali się pracą albo modlitwą. W nich każdy płacił Bogu należną dziesięcinę od darów Opatrzności, a oprócz tego miał opiekę nad prowadzeniem

się moralném sieroty, strzegł jój obyczajów, wychowywał ją i wcielał w swoje domownictwo i niemal rodzinę. Dzisiaj nikt w domu nie jest rad sierocie i kalece, ona zawadza, psuje estetyczny dobór służby domowej. Woli więc każdy spędzać ubóstwo w dom jeden, daleki od niego, daleki od jego oka i serca, i tam żywić, okrywać, ale ani kochać, ani znać, ani przy domowém ognisku utulić! — Woli każdy na chleb dla sierót tańcować, losować, robić widowiska, jak mieć je w domu i z niemi chwalić Pana Boga. I rzecz dziwna, że ubóstwo idzie w stosunku prostym do mnożących się zakładów dobroczynnych. — Rosną wprawdzie fundusze na utrzymanie ubogich, płyną składki szlachetne, wykupuje się hojnie społeczeństwo od konieczności patrzenia na nędzę — a tu coraz więcej ubogich przybywa, i w Anglii podatek już kilkakrotnie zwiększony, wystarczyć na wyżywienie ubóstwa nie może. Dla czego?... oto bo miłość będąc obowiązkiem duchowym każdego pojedynczo i jego zasługą, płynie z wiecznych a nie z doczesnych urzędzeń, i oziębła się, gdy ją kto w przymusowe i społeczne prawo zamienia. Bo miłosierdzie jest aktem wolnej woli i o tyle

tylko przymnaża zasługi, o ile jest dziełem wolném od przymusu moralnego albo fizycznego.“ — Całe zadanie miłosierdzia składowego, jest tu wybornie wyświecone, ja bym je nazwał: miłosierdziem tegoczesnego egoizmu.

Tom ten obejmujący wspomnienia najpierwszej młodości autora, miałżeby pierwszym być i ostatnim? — Nie widząc zapowiedzianego dalszego ciągu, obawiałbym się czy to już nie koniec; bo zaprawdę szkodaby przestać, kiedy tyle i zajmujących i budujących rzeczy możnaby snuć z tego wątku hyle sprzyjało natchnienie i pamięć świeże nasuwała obrazy.

XI.

O HISTORYI W ROMANSIE.

Zgasły nasz wieszcz w drugim kursie swojej literatury słowiańskiej, taką robi uwagę o historyzmie w romansach Walter-Skota:

„Metoda upowszechniona przez Walter-Skota narobiła wiele klęsk w literaturze słowiańskiej, i grozi ciężkiem spustoszeniem. Tego nikt nie chce zrozumieć, że działającą w nim ideą była pycha, może jeszcze większa, niż pycha Bajrona. Przyznaje on sobie znajomość do najgłębszej skrytości serca wszystkich ludzi, których wprowadza do swoich romansów i ma pretensją znać cały grunt ich

charakteru, zgadywać co mogli pomyśleć i zrobić, wymierzyć całą rozciągłość ich duchowego i ziemskiego zawodu. Bierze więc bohaterów jak maryonетки, porusza nimi dowolnie, gada za nich i o nich zawsze tonem wyższego, z niejaką poufałością bardzo krzywdzącą.“

Bystry sąd wieszca i profesora odsłonił edyną ułomną stronę tego zadziwiającego talentu, mniej ważną dla czytelników zachodu, dla których zabawy pisał, a głównej wagi i płodną w następstwa dla Słowian zachwyconych nim jak wszyscy i naśladowujących go jak wszyscy.

Z pojawieniem się historycznego romansu zabrali się i nasi pisarze tak w poezyi jak w prozie wyprowadzać na widownię drogie narodowi postacie, otoczone pewnym nimbem świętości, których samo imię budziło cześć, a czyny olbrzymiały w mgle tajemniczej oddalenia. Owoż przez zbliżenie ich ku nam, przez oddanie w rysach pozorniej rzeczywistości, przez analizę ich uczuć i myśli (będących najczęściej uczuciami i myślami piszącego) nikło wiele uroku, wielkość i znaczenie tradycyjne bohatera gasło, zostawała najczęściej

lalka poruszająca się i mówiąca, jak jój ukryty za zasłoną kunszt mistrz mówić lub ruszać się kazał. W miarę jak piszący był tego lub innego politycznego pryncypium, tych lub owych sympatyj i dążeń, taką i jego osoba musiała odgrywać rolę. Po prostu kreacye dzisiejsze przywłaszczające sobie imię i fizyonomię historycznej figury, dowodziły tylko, że autor nie będąc w stanie stworzyć i narysować postaci własną wyobraźnią, uciekał się do tych pomocy jakie znajdował w historii. Było to zwyczajne nadużycie prawdy, *pycha*, jak Mickiewicz powiada, mająca pretensyę wymierzyć całą rozciągłość duchowego i ziemskiego zawodu historycznych ludzi. W rzeczy samej, jakąż to potrzeba mieć ufność w swojej wyższości, aby wniknąć w tajemne myśli męża stojącego na czele narodu, i wytłumaczyć wszystkie sprężyny poruszające jego krokami! a tymczasem postępowano do tego nie kłopotując się wcale co na prawdę mógł myśleć, co czuć, jakie mieć posłannictwo od Boga, z czem miał do walczenia wewnątrz i zewnątrz, co pokonał, a co osiągnął, bo to wszystko improwizowało się i rozwiązywało w dyalogu, i niepodobna było inaczej, kiedy o tém nikt nie

mógł wiedzieć; jeżeli zaś była historia i pamiętniki służące za punkt oparcia, to najczęściej nie téj natury co *Wyznania* Jana Jakóba Rousseau, a tylko spisujące zewnętrzną stronę wypadków. Wprawdzie z drobnych wzmianek, z jednego słówka starano się odgadnąć zagadkowe czyny lub charaktery, co zawsze dawało w wypadku wątpliwość, czy zagadka trafnie rozwiązana, lub nie? Koniec końców na fikcyę wkładano maskę prawdy, bo ta precyzja w opisach szczegółowych, ten realizm posunięty do ostatnich granic, ażeby wszystko czytelnikowi uzmysłwić, i tym sposobem wzbudzić w nim wiarę, miały cechę téj prawdy, jaka mogłaby płynąć z ust naocznego świadka. Dowodzi to wielkiego artystostwa, ale mija się z poważnym celem historyi, co więcéj, osłabia jój znaczenie.

Jak dalece szkodliwą rzeczą, nawet w samej dziedzinie sztuki, jest zrywanie się na uświęcone poważną przeszłością postacie, aby je nieudolnym piórem ściągać z miejsc, na których stanęły tradycją, albo téż spoczywały skryzalizowane w malowniczym i trafnym słowie współczesnego historyka lub kronikarza, świeży miałem dowód, gdy najprze-

dniejszemu z naszych dramatycznych pisarzy, raz w potocznej pogadance, podsunąłem myśl napisania komedyi czysto w duchu staropolskim, z jednego wielce humorystycznego ustępu Pamiętników Paska. Poddany pomysł tknął artystę, i zaczął zapewne w jego duszy przybierać kształty, ruszać się życiem, wyrastając jak to pasmo Alp nad mgły usuwające się z ich boków—gdy w tém pojawia się komedia, jak raz ułożona z tego ustępu Pamiętników.

Przypadek ten dowiódł, że przedmiot musiał obfitować z natury swój w komiczny i dramatyczny żywioł, kiedy zeń chcieli korzystać pisarze, niezostający w żadnym z sobą stosunku; ale zarazem i tego dowiódł, że jedno dotknięcie się nieszczęśliwe jakiego przedmiotu, czy on będzie ustępem Kroniki lub Pamiętnika, czy Legendą, czy Piosnką gminną—jedno dotknięcie się—powiadam—sprawia ten skutek co na bańce mydlanej, kiedy bujająca w powietrzu, mieniająca się złotem, szafirem, opalem, rubinem, nagle pęka i ciężką kroplą brudu spada na ziemię.

Najcudowniejszy widok, najgenialniejszy pomnik, popsuje ci trywialny *cicerone*—ty chcesz słuchać głębokiego i cichego głosu

wzruszenia, któreby ci dało odpowiedź na zagadkę, a tém samém wytłumaczyło tajemnicę kreacyi— a tu powszednia uwaga przenosi cię w trzeźwy świat najgrubszego materyalizmu. Zupełnie to samo zdarza się z przedmiotami historycznymi lub téż podaniami gminnymi; jak owoce hesperidów: nie można zrywać je bezkarnie.

Są ludzie, których dotknięcie się bywa nieszczęśliwe— wszystko pod ich ręką usycha i niknie. Dla tego stokroć lepiej, żeby te skarby leżały sobie w stanie natury i czekały na czarodzieja, któryby nowém natchnął je życiem, niż żeby je lada kto dobywał.

Jużto niejeden przedmiot historyczny został zmarnowany, odkąd zjawiła się u nas walterskocka szkoła o wiele w tym względzie szkodliwsza, niż dawniejsza tak zwana klasyczna; bo choć tanta brała z historyi niektóre figury i wypadki, ale obrabiała je w sposób tak niewinny, tak niemający na celu nadużycia naszej wiary, że nikt ją nawet grzechem nie nazwie. Był to zawsze sentyment konwencyonalny; sentencye moralno-patryotyczne, opieczętowane firmami historycznych imion, i nic więcej— ducha nie fałszowano, bo

go brano zkadinał; nie fałszowano osób i charakterów, bo znano tylko charaktery stereotypowe. Daleko gorzej działało się, kiedy przy pomocy ściślejszych poszukiwań dziejowych, analizy psychologicznej, archeologicznych nabytków i kolorytu wieku, usiłowano odtworzyć minioną rzeczywistość bez prawdziwego talentu umiającego stwarzać; bo naraz krzepły całe epoki, i takie z nich pociągało zimno grobowe, że długo ludzie prawdziwie kreatornego ducha, stronili jak od zaklętej krainy.

Zle wytłumaczona tajemnica przeszłości schodzi do rzędu gazeciarskiej plotki; co się zowie poprostu: zepsuć przedmiot.

Takich nieproszonych psotników przeszłości niemało mamy w naszej literaturze.

Te kilka uwag mniemałem być potrzebne mi, zamierzając powiedzieć, o obrazku historycznym niedawno w Lipsku w dwóch tomach wydanych, pod napisem: *Król wygnaniec*, nie dlatego, żebym tu pił do nieznanego autora, lecz że właśnie umiał on bardzo szczęśliwie uniknąć grzechu, w który tyłu popadło.

Wprawdzie, ile sobie przypominam, korespondent poznański do *Gazety Warszawskiej* wyraził się był litośnym uśmiechem o tym

Królu wygnańcu, twierdząc z góry, że to jakiś potworny plód: bo to—powiada—ani historya, ani powieść; a zatém—naturalny wniosek — kiedy się nie mieści ani w jednej, ani w drugiej rubryce, musi być godny potępienia.

Smutny to arsenał tych kancelaryjnych rubryk, krateg, metod, teoryjek—bo kiedy się coś takiego zjawi, co w kratkę nie włązi, już niema miru.

W tém się widać nie godzimy z korespondentem poznańskim, bo wyskoczyć z rutyny, pokazać jeśli nie całkiem nowy, to zawsze rozumny sposób potocznego obrabiania dziejów tak, iżby fantazyja nie przemagała nad tém, co ściśle źródła dostarczyć mogą, a z drugiej strony, żeby opowiadanie miało żywszy interes, niżli suche zebranie i uporządkowanie faktów i dat—będzie zawsze zasługą godną większych względów, niż korespondent autorowi Króla wygnańca wymierzył; tém bardziej, że dość to dziełko przeczytać (co się niezawsze recenzentom zdarza), aby miłe i budujące odnieść wrażenie. Gdyby nic więcej nie znaleźć w niem, tylko zebrane rysy z życia Maryi Leszczyńskiej na tronie Francyi,

tego życia, o którym powiedziano: że nie było pasmem zdarzeń, ale jedną modlitwą — to jużby powinno natchnąć każde szlachetne serce tą piękną dumą, że z krwi naszej niewiasta jaśniała taką świetnością, takim wzorem cnót chrześcijańskich, wśród otaczających ją pokus zepsutego dworu.

Lekceważenie tej doskonałości idealniejszej, niż wszystkie heroiny romansów, a tak interesującej jak one, wygląda na anachronizm pod piórem dzisiejszego pisarza; przecież nie żyjemy pod panowaniem przyjaciółek Ludwika XV, ani pod cenzurą kanclerza Miromenil, aby niewolno nam było rozpisać się nad książką malującą cnoty małżonki Ludwika XV.

Ta uwaga przyszła mi po przeczytaniu Króla wygnańca, i niepomaleu zasmuciła; miałaby szkoła francuzkiego romansu tak dalece znarowić umysły, tak je przytępić dla wszystkiego co czyste, co po bożemu piękne doskonałością, że książka pisząca o królu dobroczynnym filozofie, i o córce jego tej nieporównanej Maryi, zyska tylko pogardliwą wzmiankę w publiczném piśmie?

Nie chcąc o to pomawiać korespondenta,

wolę przypuścić, że nie czytał więcej krom tytułu. Gustaw Planche i téj pracy sobie oszczędza, a dlatego słynie.

Miałem sobie za powinność zrobić tę małą wycieczkę przeciw zdaniom obalamującym publiczność; z czém skończywszy, przystępuję do bliższego rozpatrzenia się w książce, o której mowa.

Jestto obrazek historyczny — jak go sam autor mianuje, a zatem nie powieść i nie romans. Obrazek obejmujący peryod 11stu lat życia króla Stanisława (od 1714—1725) lat tęsknego wygnania, niespokojności, cierpień i strat domowych i publicznych, a zawsze piękny przykład, jak znosić z godnością upokorzenia prześladowczego losu.

Kiedy uparty Karol XII nie mógł nic wskórać w Turcyi i zabierał się z powrotem do Szwecyi, nie wypadało i Leszczyńskiemu dłużej zostawać w Benderze—ruszył więc tajemnymi drogami do księstwa Dwumostów, należącego do korony szwedzkiej. Mały ten kraik, przynoszący 70 tysięcy talarów, przeznaczył mu Karol nietyle na reprezentację godną monarchy, ile na utrzymanie rodziny i kilku wiernych przyjaciół niedoli.

O pół godziny drogi od miasteczka Dwumostów, leży urocze miejsce zwane Czyflikiem — tam król wygnaniec obrał sobie rezydencję. — Opis tego miejsca zdejmował autor z natury i restaurował podług tych szczątków, jakie uszły zniszczenia czarnej bandy w czasach pierwszej rewolucyi. Tu widzimy zbierającą się rodzinę Leszczyńskiego; żona jego Opalińska, dwie córki Anna i Marya, ze starą matką z domu Jabłonowską, przyjechały ze Szwecyi — znalazło się i kilku dawnych przyjaciół politycznych i domowników, jak generał Poniatowski, wojewodzie Tarło, Urbanowicz, Telebski. — Mała osada polska, przynosząca patryarchalizm nasz na ziemię francuzką, rozpoczyna ciche życie domowe, podzielone między biednych i cierpiących mieszkańców bipontyńskich, między troski o los kraju, z którego dochodziły smutne wieści o los dobroczyńcy Karola XII, ginącego w lat parę na szaniecach Friedrichshallu, a zakłócone nieraz zamachami wysłańców Augusta II, zasadzonych na pochwycenie zdetronizowanego króla, drugi raz znowu na otrucie go tytuniem, którego nadzwyczaj wiele palił. Najboleśniej dla Leszczyńskiego rodziny

domowym ciosem, była śmierć ich córki Anny, a politycznym, śmierć Karola; z tą bowiem tułacz tracił przytułek godnej koronowanej głowy. Księstwo Dwumostów obejmował na siebie fałzgraf Gustaw Samuel — położenie Leszczyńskiego stawało się wielce krytycznym, bo sąsiednia Francya szła wtedy drogą polityki przeciwniej zabiegom hrabi Görtza, tego dzielnego dyplomaty szwedzkiego, który już był blizkim sklejenia nowej koalicji przeciw Augustowi II. Lecz przyjaźń osobista kardynała Rohana, mieszkającego w Sawernie, wyjednała u Filipa Orleańskiego, ówczesnego regenta, że ofiarował wygnanemu królowi na pobyt całą Alzację. Wprawdzie Leszczyński niebardzo dowierzał dobrodziejstwom francuzkim, „zawsze, jak powiada autor, stała mu w myśli zmienność polityki księcia regenta. Kraj, co mierzy obowiązki ludzkości podług gabinetowych widoków, nie przedstawia tak bardzo bezpiecznego przytułku dla nieszczęśliwych. Człowiek, który cofnął gościnność Jakubowi Stuartowi dla przypodobania się Anglii, nie cofnąłżeby ją i Stanisławowi dla przypodobania się jego nieprzyjaciołom?”

Koniec końców nie było wyboru i nale-

zało przyjąć co ofiarowano. Rodzina Leszczyńskich przeniosła się do Weissenburga, pogranicznej forteczki francuzkiej. Tu się zaczyna prawdziwy a tak zadziwiający epizod w historii. Córka wygnańca dostaje się na najpierwszy tron w świecie. Marya idzie za Ludwika XV. Dzieje zapisały prosty fakt — ale zastanowiwszy się nad konkurencją około stu książniczek z rodów panujących o zaszczyt dzielenia korony francuzkiej z młodziutkim Ludwikiem, uważać to potrzeba za prawdziwy cud, za łaskę Opatrzności okazaną nad domem wygnańca, że wybraną została cicha Marya. Zdaje się, iż właśnie jój przymioty wpłynęły na wybór; tak ministrowie, jak rozmaite kobiety otaczające regenta, bojąc się, aby znaczenia swego na dworze nie uroniły, zgoda wszystko co było interesowane, dało króskę na Maryę. Choć w zepsuciu po uszy, poznano się na jój wielkiej miłości chrześcijańskiej i pokorze ducha—przekonano się, że nie będzie chciała przewodzić w polityce, bo jój głównie szło o to, aby jak mówiła: *dla korony ziemskiej nie straciła niebieskiej*. I w rzeczy samej Marya, zajęta samemi miłosierdnymi czynkami, nigdy nie mieszała się do polityki, choć

to nie pozyskało jój serca Francuzów, którzy lubią, aby ich królowe mieszały się we wszystko, choćby z ich szkodą. Nie był to jednak ów samolubny kwietyzm potakujący złemu. Richelieu w pamiętnikach tak ją maluje: „Uprzejma w oheyściu, dowcipna w rozmowach, posiadała serce niewymownej dobroci i dla każdego wylane. Ubóstwiana przez ojca, nauczona jego nieszczęściami, odziedziczyła wszystkie jego patryarchalne cnoty; nieprzyjaciółka niepotrzebnych wydatków, trapiła się do rozpaczycy każdą klęską publiczną. Francuzów uważała za własne dzieci; dla ich narodu miała jak najwyższy szacunek, wspominając zawsze z uwielbieniem o jego czynach, wojnach i zwyczajach. Względem męża okazywała się ciągle jako pierwsza poddanka, przemawiając do niego z uniżonością i pokorą, kochając go i wielbiąc jakby bóstwo jakie na ziemi.“

Lubo autor Króla wygnańca nie przedstawił nam Maryi na tronie, ale Maryą będącą jeszcze przedmiotem ubiegania się o jój rękę, takiego margrabiego Badeńskiego, hrabiego d'Estrée, który najbardziej pozyskał serce dziewicy, następnie księcia de Bourbon, -- je-

dnakowoż postać jój niemniej tu zajmuje i tworzy prawdziwy ustęp romansu. Zakochana w hrabi d'Estrée ulega bez szemrania woli ojcowskiej, kiedy ten każe zapomnieć o tym związku niegodzącym się z widokami monarchy, co jeszcze nie traci nadziei zasiąść na tym tronie, na który go podniosły wolne głosy narodu.

Wszystko tu jest zgodne z prawdą historyczną, piszący bardzo ostrożnie i sumiennie pozwala sobie wprowadzać rozmowy; a i w tych nie puszcza się na nic takiego, coby nie było usprawiedliwione jakim pamiętnikiem, lub coby fałszowało charakter historyczny człowieka. To ujęcie osób i wypadków w ramy umiarkowania, nie można bynajmniej ubóstwem fantazyi tłumaczyć, z która autor widocznie nie chciał mieć do czynienia; natomiast niezmierna szczegółów obfitość, zebranych z dzieł ówczesnych pozwala mu ubarwiać opowiadanie tą pamiętnikową barwą, która zawsze więcej się ceni, niż zbyt jaskrawy koloryt romansopisów, co pragnąc zbyt wiernie malować czas i ludzi, najczęściej przesadzają.

Do bardzo szczęśliwych ustępów, pokazu-

jących, że ta powieść nie jest fraszką służącą li ku rozrywce niezatrudnionych głów, ale czemsiś zbliżającym się w formie do pamiętników, z których można się czego nauczyć; jest cała rozmowa króla Stanisława z księciem kardynałem de Rohan, rozmowa osnuta z jednej strony na wyobrażeniach francuzkich o monarchii tak często spotykanych w pismach statystów owój epoki i późniejszych, kiedy podług nich sądzą stan wewnętrzny i instytucye naszej Rzeczypospolitój; a z drugiej na książce Leszczyńskiego: *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, w której ten król filozof, (ale filozof w niedoli) widzi jedyny sposób naprawy swojej ojczyzny przez reformy, w duchu jej instytucyj starożytnych i wkorzenionych w naród, przeprowadzone. Niektóre postrzeżenia kardynała trafnie odgadują przyczynę upadku Rzeczypospolitój: „Polakom zawsze się zdaje, powiada on, że mają tylko do walczenia z Tatarami i Kozakami, do téj tylko potrzeby stosują swoje instytucye, niepomni, że więcej im grozi postęp moralny cywilizacji Zachodu, niż pograniczna swawola barbarzyństwa. Polska nie chce ni dyplomacyi, ni woj-ska, ni pieniędzy w skarbie, nie wiedząc, że

w dzisiejszych czasach na tych trzech potęgach stoi bezpieczeństwo państwa.“ Powinien był dodać, że u nas wysoka idea narodu, nie przeszła była w ideę państwa, przezco Rzeczpospolita tworząc dysharmonię w powszechnym koncercie, powinna się albo nagle przeistoczyć, albo zniknąć. Koniec rozumowań kardynała zamykał się naturalnie tém przysłowiem: *a Deo rex, a rege lex.*

Wprawdzie król Stanisław przyznając w wielu punktach słusność wyłuszczonej zasadom księcia Rohana, przywiódł co do ostatniego punktu, świeży przykład zastosowania tego pryncypium w Anglii przez Stuartów, na czém nie najlepiej wyszli, gdy przeciwnie dom Hanowerski uszanowawszy swobody narodu, nie ujął Anglii ani znaczenia, ani potęgi.

Podobnym rozumowaniem odpiera Leszczyński zarzuty przeciw elekcyi, której nie chciałby znosić, a tylko zmienić formę. „Trzeba, żeby elekcyje nie działały się jak dotąd pod gołym niebem, po tatarsku, na koniach, wśród tumultu i wrzawy, ale pod dachem w sposób przystojny, poważny, ludziom polerownym właściwy. Niechby naprzykład jednego dnia w całym Królestwie, sejmiki, każdy w swoim

powiecie, wybierały kandydatów, sejm zgromadzony w stolicy wybierał króla, a sama ta forma zasłoni naród od wielkich zawichrzeń i nieporządku. Tym sposobem i dziedzicność tronu przyszlaby z siebie. Z początku byłyby zwyczajem, później prawidłem. Niech kto co chce mówi, Polska ma obyczaje monarchiczne; nie trzeba brać nierządnej monarchii za republikę!

Na te wszystkie pomysły do przyszłej reformy, tak stósownie włożone w usta króla, miał kardynał wyborny argument: Niegdyś Sobieski przysłał był Ludwikowi XIV na pokaz kilku uszarzy polskich w całym rynsztunku. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na Paryżanach zrobiły owe skrzydła u ramion, skóry lamparcie, koncerze, proporce, jedném słowem owe kuźnie żelaza na ciele rycerzy.— Cóżby to było, żeby który z królów polskich przysłał nam innego rodzaju ciekawość, to jest egzemplarz szlachcica obradującego na sejmie, z ową ogoloną głową, w owym azyatyckim stroju, z krzywą szablą u boku. Chciałbym go słyszeć jak wykrzykuje zuchwale: *niepozwalam!* na traktat z Moskwą; *niepozwalam!* na wojnę z Portą; *niepozwalam!* na podatki,

a ty Rzeczpospolito leż mi u nóg i błagaj, abym ci obradować dozwolił! Wierz mi królu, na to widowisko biegliby Francuzi z większą ciekawością, niż na Fedrę Rasyna, lub Tartuifa Moliera.....“

Szláchetna dusza Stanisława odbijała się całkiem w tych planach, jakie przed kardynałem rozwinął — były to pełne miłości chrześcijańskiej reformy i widoki — owoc długich rozmyślań, lecz do przeprowadzenia trudne, prawie niepodobne przy ówczesnym stanie umysłów rozswawolonych wojnami domowymi, zepsutych przekupstwem różnych kandydatów do tronu. Ostatnie słowa księcia Rohana: monarchia, silna monarchia, ta was tylko ocali! — zrzecście się wolności na lat 50, byleby postawić rząd mocny i energiczny, by krajowi w Europie jaką taką powagę wyjednać.

Zajmująca ta powieść, napisana stylem niepretensjonalnym, wcale jasnym i gładkim, nie powiem, żeby w niektórych miejscach nie cokolwiek suchym, zostawia po odczytaniu bardzo przyjemne wrażenie: umysł czuje, że się wzbogacił i oświecił, serce doznaje nader słodkiej pociechy przez samo zetknięcie się myślami z taką doskonałością, jak Marya.

Przykład wielkiej cnoty na tronie — to piękniejszy ideał, niż wszystkie antyki, aczkolwiek gorąco zalecony przez usta estetycznych kapłanów.

Kto jest autorem Króla wygnança? Niewiadomo — jednak domyślaćby się można przynajmniej z niektórych miejsc, że je kreśliła ta sama ręka, co Pamiętnik Franciszki Krasieńskiej i Jana Kochanowskiego.

Obstawać przy tém przypuszczeniu nie myślę — podobieństwo stylu i obrazowanie miejsc i osób, może często być tak ładzące, jak nieraz ładząca bywa fizyonomia widziana z daleka — biegniemy przywitać przyjaciela — tymczasem to ktoś nieznajomy....

XII.

WIOSKOWY SENTYMENTALIZM I NAGA RZECZYWISTOŚĆ.

Poemata Syrokomli i Obrazki wiejskie Wielogłowskiego.

Jedną z cech chwilowych literatury naszej, jest pewien zwrot ku poezji, o czém się łatwo przekonać wszedłszy do pierwszej lepszej księgarni, gdzie znajdziesz nie szczupły hufiec różnej miary i objętości poematów i wierszy drukowanych to we Lwowie, to w Poznaniu, Warszawie i Wilnie.

Taki ruch rymotwórczy, nie może być bez współdziałania publiczności, która jeśliby obojętnie przyjmowała te płody Muzy, to i księgarze nierobiliby nakładów na nie; bo to prawda już uznana, że wszelki nakładca nieliczy

nie a nie na potomność, tylko na chwilę bieżącą. Najuczeńsze dzieło co leży, mniej u niego znaczy niż najlichsza ramota mająca wziętość choćby tylko dwadzieścia cztery godzin.

Habent sua fata libelli!

Jeżeli tedy publiczność czytająca, jak wnosić mogę, zasmakowała w rymowanej szacie utworów, mógłbym ztąd drugi wyprowadzić wniosek, że cała literatura powieściowa, zaczyna ją mniej już bawić niż dawniej. Mielizby się nasi romanso-pisarze wyczerpać? Nie sądzę: kto miał prawdziwy fundusz serca, wyobraźni i studyów, ten zawsze potrafi powiedzieć coś nowego i zainteresować. Tacy zawsze będą czytani; dorywcze tylko pióra, a takich najwięcej, prędko szwankują, i w usiłowaniach niedołącznej a ciągłej produkcji, przyprawiają jeszcze o dyskredyt pisarzy górujących w tym rodzaju. Zawsze jednak prozą pisana powieść, ponętniejszą będzie dla zwykłych czytelników, niż wszelka poezya, która wymagając większego natężenia myśli, silniejszej pracy wewnętrznej, tem samem odstręcza tych, co szukają łatwój tylko rozrywki.

Dla tych powodów pytanie tyczące się

utworów poetycznych mających dziś tylko czytelników, a więc wziętość, nieprzeszło być dla mnie niewytłumaczonem, gdym szukał rozwiązania onego w dyskredycie jaki dotknął powieść i romans. Rzuciłem się przeto myślą w inną stronę i zastanawiając się nad przymiotami romansu, doszedłem téj prawdy, niestety! nie nowój, że największą zaletą powieści lub romansu jest także poezya, czyli ta potęga która stwarza, ogrzewa życiem, ubarwia pryzmami uczuć, że bez niój utwory powieściowe, stają się albo nudnemi kopiami innych powieści wyszłych z pod pióra prawdziwych talentów, albo téż kalkami drobiazgowych kółek społecznych, eksploatacją wyjątkowego skandalu, i portretowaniem w karykaturze wszystkiego, co się spotyka codzienn, i na co każdy może patrzeć bez pośrednictwa autora.

Powieść spadłszy po większej części do téj niskiej skali dowodzi tém samém, że główne źródło z którego się zasilala idea, przestało bić dla niój, bo co było do wzięcia już mniej więcej wziętém zostało ze skarbcza naszych poetów. Nie wiem czy publiczność czytająca poznała się na téj zwietrzałości, czy

téż poszła za instynktem ciągnącym ku wyższemu i zacniejszemu? dość, że co nie bywało nigdy, uczuła pociąg do poetycznych utworów, z których zaczęło wiać ożywcze tchnienie przyobleczone w świeższą i barwniejszą szatę fantazyi. Jestto w pewnym względzie oddziaływanie przeciw goryczom i niesmakom, które wyalembikowane ze schorzałych cząstek społeczeństwa, podawane były w wielkich i małych dozach, jako kordyał mający to społeczeństwo uleczyć. Tymczasem jał zawsze jadem; może niekiedy uzdrowić, ale źle zaaplikowany zabije. Pokazało się, że zaaplikowany przez niektórych pisarzy romansów nie osiągał właściwego skutku, i jeśli niezabijał, to przynajmniej sprawiał nudności, bo jakkolwiek umiano zajmować przyborami figur, scenami ułożonemi na efekt, awanturami tak osobliwemi, że mogły się raz zdarzyć ale niepowtórzyć w świecie rzeczywistym, jednakowoż wszystko to wirowało około jednej lub dwóch idei społecznych, bardzo wątpliwéj zasady, które każdy podług swego widzimisię obrabiał i uważał.

Jestto uznaném posłannictwem poezyi, pojętej w najlepszym jéj znaczeniu, że ona pier-

wsza, odgaduje te nie wysłowione jeszcze tajemne pragnienia i kierunku, które pojawiają się tu owdzie pomiędzy ludźmi, zanim w ogólny symptomat społeczński, w tak zwany charakter epoki, przejść będą mogły. — Poezya zbiera tu pierwszy najwonnejszy kwiat uczuć i ożywia nim słowo, które nazwano: wieszczem słowem, choć ono jest tylko jasnowidzącem. Owoż ten kwiat poezji, kwiat odurzającej mocy i woni, służy na długi czas do zaprawy wszelkich płodów wyobraźni, zupełnie jak kwiat herbaciany, zaprawia mniej wonne listki i korzonki zebrane na łodydze téj rośliny.

Nie wiem czyli dość jasno wytłumaczyłem się z tego, co mi się zdało wróżyć nowy zwrot w piśmiennictwie naszym. Jeżeli naraz uderzano w tyle gęśli, jeżeli gęslarzom na słuchaczach nie braknie, dowód wyraźny, że ogół potrzebuje, aby mu to wyśpiewano co mu się mglisto i tajemnie roi; odczytano, co błyskawicami miga w głębi duszy. — Czy zaś wszystkie te pieśni trafiają do serca, do przekonania, czy przywieszują i unoszą ze sobą? — to inne pytanie, które tylko dałoby się rozstrzygnąć, gdybyśmy każdy z utworów tego ro-

dzaju rozbierać chcieli, a zarazem mogli przewidzieć jak długa czeka go przyszłość.

Gdy zaś jak wiadomo, niekażdy rymowany utwór, nosi znamie prawdziwej poezyi, nie każdy staje na wysokości zadania, przeto nie przesądzając o wartości tych płodów Muzy, zastanowiłem się tylko nad życiem, jakie w tój gałęzi literatury obudziło się temi czasy.

Najgłośniej i najczęściej brzmiące na stronicach dzienników imie Syrokomli, tego litewskiego słowika — (a trzeba wiedzieć, że Litwini mają to przekonanie, że tylko w litewskich borach najlepiej śpiewają słowiki) — zwróciło naprzód uwagę moją, gdym przebieirał w stosie różnych zbiorów wierszy i poematów tylko co nadesłanych do księgarni — jakoż położyłem rękę na dwóch najświeższych jego utworach, chociaż w chwili, kiedy to piszę, mogą już być nie najświeższe. Tymczasem dla nas w Krakowie mają one cały wdzięk i świeżość, która w niczem tak nie popłaca, jak w poezyi, jeżeli poezya umie go sobie przyswoić na lata i wieki.

Dwa te utwory były: *Wielki Czwartek, obraz wioskowy, i Janko Cmentarnik*, Gawęda ludowa. To coś ze świata naszego ludu! — pomyśla-

łem sobie. A że nie znam litewskiego wieśniaka, jak znam wieśniaków innych prowincyi, więc cieszyłem się nie pomału, że poznam go skreślonego ręką poety, wystudyowanego na miejscu z charakterystyczną fizyonomią, uczuciami i wyobrażeniami właściwemi Litwinom, co podobnie jak Baskowie śród Romańskich, oni śród Słowiańskich znaleźli się szczeppów, i mimo wiekowej zażyłości i mieszania się z niemi, nie tracili jednak cechy swój rodowej.

Dzisiejszy czas może się nazwać bardzo sprawiedliwie epoką wskrzeszania tradycyi narodowo-ludowych. Co 18 wiek usiłował zmasać z czoła każdego ludu, aby poddać go jednostajnej myśli i uczuciom uznanym za obowiązujące względem abstrakcyjnego bżyszczu zwanego ludzkością, to obecny przywraca. Ze wszystkich przyczyn, które spowodowały powszechne wyziębienie w poezyi przez ciąg ubiegłego stolecia, ta jest najrzetelniejsza; bo kiedy język i dowcipy filozofów francuzkich przewodziły światu umysłowemu od bieguna do bieguna, natenczas nie mogło być ani mowy o tój prawdziwej poezyi wyrosłej na słońcu pod gołym niebem, ciągnącej

soki z rodzinnéj ziemi, a użyzniającą wilgoć i ciepło od wpływów otaczającéj ją rzeczywistości. Taka poezya nosząca zazwyczaj jakby znamię tych miejsc gdzie się zrodziła, znamię wieśniaczéj prostoty, jakże pokazaćby się mogła w świecie formułek filozoficznych i wykwiatów elegancyi! — Przeciw temu stanowi rzeczy prędzéj lub późniéj musiało nastąpić oddziaływanie. Geniusz ludów germańskich najpierwéj otrząsł się z tego ucisku w świecie poezyi i szczęśliwie zwalczył wpływy sztucznej literatury trwające zbyt długo.

Nieśmiałym jednakże twierdzić, żeby źródło natchnienia ubiegłego stólecia zupełnie już wyschło. Czasami odzywa się ono głośniejszym szmerem w tym prądzie wyobrażeń racjonalnych, coby chciały każde indywiduum utopić w państwie, a każdy naród i lud w ludzkości; wszakże obok tego można dostrzedz prąd całkiem przeciwny pędzący zapomniane nawet narodowości do odgrzebywania swoich historycznych tradycyi, i do wyrobienia sobie odrębnej fizyognomii stósownéj do charakteru i obyczaju. Podwójny ten prąd w przeciwnych sobie kierunkach, przedstawia niezmiernie ciekawe zjawisko w świecie dzisiejszym.

Tam jakaś dążność do jedności powszechniej, tu znowu dziecięce przywiązanie do bogów domowych; tam uroszczenia zimnych utopistów pragnących zatrzeć wyobrażenie ojczyzny i rodziny dla jakiegoś bożyszcza ochrzczonego przez nich ludzkością, a tu uporne obstawanie przy tradycjach poczytanych już za umarłe...

Widzieliśmy jak z tego ostatniego kierunku wszędzie prawie wyszła literatura narodowa, będąca wymowną protestacją przeciw pierwszemu kierunkowi. Lecz nie dość na tém, że się uczucie plemienności ocknęło w wielkich rodzinach ludów, ten prąd poszedł dalej, bo wzięto się studiować i malować osobne klasy z właściwą im fizioznomią, obyczajami i odrębnym bytem. Mówię tu o klasie wieśniaczek, której pieśni, bajki, podania, przesady, zabobony, zwyczaje zbierane skrzętnie, pozwoliły poznać ją bliżej, a poznawszy, wpuścić ten zaniedbany strumień do głównego koryta narodowej literatury. Czy to się odbyło ze świadomością, czy bez świadomości, a tylko instynktem pisarzy — nie wchodzę, zawsze to ważny fakt w dziejach piśmiennictwa. Wprawdzie ci co się rzucili w tę ko-

palnią gminnych zabytków nie zawsze mieli na celu same studia, lub tylko odświeżenie nowym żywiołem poetycznym, zwietrzałej już literatury narodu. — Jeżeli inny cel tam prowadził, to zawsze chybiony, pochlebiać ludowi, stwarzać demokratyczną literaturę, aby nią smagać klasy historyczne, jedno jest, co lud nasz obdzierać z przyrządzonych cech, co go wciągać w świat racjonalnych kierunków ośmnastego wieku, przeciw którym właśnie nastąpiło oddziaływanie. — Przeciwnie malować wieśniaka tej lub owój prowincyi, wystawiać jego obyczaj, opowiadać podania i dzieje tego życia tak blisko zetkniętego z naturą, a opowiadać z ścisłą rzeczywistością, jedno jest, co iść tym prądem jaki wszędzie zmierza do silnego związania plemion z tradycjami, na której siedzą i spełniać to samo, co spełniają erudyci, których prace wskrzesiły zamarłe języki, wykazały powinowactwa jednoplemienne i najdawniejsze siedziby.

Tego rodzaju dzieła czy wierszem czy prozą, jeżeli mają czystą intencją, obudzają zarówno interes historyczny, jak wyobraźni przynoszą zupełnie świeży pokarm; niechże aby kropla jakiej obcej tendencji się wmięsza w ta-

ki utwor, zaraz koszlawieje, choćby go podpierało największe artystostwo.

Wpadłem na te uwagi o poezji gminnej i o studyach nad ludem, z tego powodu, że przy tytułach dwóch poematów Syrokomli odczytałem napisy, *Obraz wioskowy i Gawęda ludowa*, a więc jako rzeczy należące do wielkiej grupy literatury zajmującej się odmalowaniem ludu, powinny być uważane na miarę tego, co tak u nas, jak gdzieindziej dokonano w tej gałęzi.

Zaczynam od poemaciku: *Wielki Czwartek*. Poeta maluje poranek marcowy. Zebrani wieśniacy przed kościołem rozmawiają o przeszłości swoich prac gospodarskich, bo to właśnie ta chwila, w której wszystko niepewne, a tylko w Bogu nadzieja. W tém zabrząkły klucze organisty i drzwi się otwarły do kościoła. Wnętrze wiejskiego przybytku poświęconego Panu skreślone z tą prawdą, która cechuje wszystkie kościółki wiejskie:

Kościół ubogi — w oltarzu po prostu
 W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
 I stary obraz wiejskiego pokostu,
 Na którym Chrystus pasie swc owieczki.
 We dwóch oltarzach na prawo i lewo,

Jest Matka Boska i święty Antoni;
 Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
 A patron święty ma biblią w dłoni,
 Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy.
 Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
 Tuż przy ambonie dwa konfesyonały,
 Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
 I w czarnych ramach obraz wypłowiły,
 Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
 Cztery chorągwie a każda podarta,
 U skromnych ławek utkwione na boku.
 Tam święty Michał pokonywa czarta,
 Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
 Wojciech odbiera palmę od anioła,
 I śmierć do tańca wszystkie stany woła.

Ponieważ to dzień spowiedzi wielkanocnej
 więc się lud ciśnie do konfesyonału, gdzie
 proboszcz słucha grzechów wieśniaczych. —
 Zazwyczaj każdy odprawuje się prędko.

Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?

Pyta poeta i z całą naiwnością sielankową
 wylicza te grzechy:

Jeden do Pana odezwał się śmielój,
 Drugi swe żyto może sprzedał drogo,
 Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
 Albo na bratnią gospodarkę siada,
 Albo pokosił granicę sąsiada,

Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
 On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
 Po sześciodniowym a krwawym mozole
 Złamał niedzielę i pracował jeszcze,
 Lub się ze skargą na Opatrzność miota;
 Oto są grzechy kmiecego żywota.

Śliczny świat! jeżeli tylko prawdziwy, jeżeli jest rzeczywistem odbiciem się wiosek litewskich, to go warto w ramki i za szkło oprawić, a obnosić po świecie dla pokazania, że sielankowość nie jest urojeniem — jeżeli zaś na wsi litewskiej są ludzie i źli i dobrzy jak wszędzie, to znowu nie widzę powodu do fałszowania barwy, chyba w tej myśli, że grzechu siedlisko jest li tylko w żywocie innych stanów.

Dość, że ludek spowiadający się bardzo krótko, bo niema z czego, zaczął się nie po mału dziwić, gdy jakieś młode, niewinnego wejrzenia dziewczę spowiada się przeszło godzinę, a w końcu nie dostaje rozgrzeszenia! To samo spotyka sędziwego starca, który długą odbywszy spowiedź, także bez absolucyi odchodzi. — Skończyło się nabożeństwo — lud się rozszedł, a dwoje tych nierozgrzeszonych po długich jeszcze modłach w kościele,

poszło nareszcie każde w swoją drogę. Gdy zaś nie jedna droga prowadzi do celu, więc i oni — to jest dziewczyna i starzec znaleźli się u mogiły jakiegoś potępieńca; nietylko nie było na niej krzyża, ale i drzewiny posadzonej ręką pamięci.

Któż spoczywa pod tą tajemniczą mogiłą? Oto syn biednej wdowy — snąc poeta, muzyk za życia, bo piosnki składał i grywał na skrzypcach, przytem rozповідаł dziwne dumki usnute w jego głowie, których nikt nie rozumiał. — Razu jednego zniknął gdzieś — przez cały rok nie widziano go na wsi, — lecz powrócił:

Pijał sam jeden bez końca i miary.

Błądził po polach i lasach i moczarach, zawsze wyśpiewując i zalewając się trunkiem, widocznie z rozpaczy, bo wołał:

że go boli,

Że serce drze się, że puls coraz prędszy,

Że z piersi oddech wybucha gorętszy.

Chciano wezwać do niego lekarzy, ale on odrzucił ich rady, mówiąc:

że żaden ulgi nie przyniesie,

Że mu najlepiej gdy błąka się w lesie.

Kiedy o dumkach i pieśniach rozmarzy,
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu, ni gospody niema,
 Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami i t. d.

Zapił się nareszcie — i pochowano go w polu... W kilka dni potem zjechało śledztwo i kazało przysięgać wszystkim, że syn wdowy umarł na puchlinę...

Oto jest historia tego zapaleńca. O przyczynach jego rozpaczy i pijaństwa dowiadujemy się z rozmowy dziewczyny i starca, tych dwojga nierozgrzeszonych. — Nieboszczyk kochał się w niej, i ona go kochała, lecz gdy poszedł w świat za zarobkiem, a długo go niewiadać, uprzykrzyło się dziewczęciu i zaczęła szczyrzyć ząbki do różnych chłopców — (jest to rys zdjęty z najrzeczywistszój rzeczywistości sielskiej). Wracający kochanek wziął tę zalotność zbyt na seryo i oddał się rozpaczy, z której znowu chcąc go wyleczyć jego przyjaciel staruszek, doradził mu iść za przysłowiem: Dobry trunek na frasunek. — Otóż dwoje tych, zalotna dziewczyna i staruszek, przyjaciel kieliszka — zgubiło duszę młodzińca, za co nie dostali rozgrzeszenia.

Musiałem skreślić osnowę téj powieści,

aby pokazać, że prócz kilku drobnych widocz ków zbliżonych do rzeczywistości, nic a nic nie maluje w niej nietylko litewskiego, ale żadnego ludu — jestto po prostu świat sentymentalny, wymyślony przez poetę na tle życia wiejskiego, tak samo jak go sobie wymyślał Gesner, Floryan i inni z tej szkoły, marzący o pastuszkach Arkadyi. — Z Wiesławem Brodzińskiego nie może również wytrzymać porównania, bo w tych czasach, kiedy Brodziński swoją sielankę pisał, a więc łamał się z reminiscencyami klassycznymi, już czuł potrzebę zachowania rysów studjowanych z ludu; każdy też pozna tam krakowskich chłopków upięknionych wprawdzie, lecz zatrzymujących właściwą sobie fizyonomię i charakter.

Szkoda, że Syrokomla niepospolity talent i uczucie poetyczne marnuje na podobnych utworach, które mogą mieć chwilową wziętość, ale literatury nie bogacą. Jeżeli zamierzył sobie przez takie zidealizowanie chłopków poruszyć dla nich serca, postawić ich na równi, co do wartości wewnętrznej z najucywilizowańszymi klassami, to przecież byłby tego łatwiej, a raczej właściwiej dopiął, gdyby

chciał treść do poematów czerpać z rzeczywistego życia i dać im wszystkie rysy i cechy chłopków, tak odmienne w każdej prowincyi, a tak dla nas zajmujące, cobyśmy radzi wniknąć w ducha i uczucia gminu. Tak jak dotychczas obchodzi się z światem wioskowym, możnaby go pomawiać, że obserwuje go z okien pańskiego dworu, unosi się nad pejzażem, podziwia dziewicę nabierającą wody, chłopaka przygrywającego na fletni, pasącym się krówkom i barankom, ale nie zagląda pod strzechę, nie podsłuchuje rozmów przy ognisku, na polu i w karczmie — prosty dyletantyzm służący raczej do popisania się z popularnością, a nie właściwe i szczere zajęcie się ludem i chęć poznania go takim, jakim jest. Pomijam inne już niestosowności, jak ową figurę Szymona, w której nikt wiejskiego parobka nie pozna, ale jakiegoś pokojowego marzyciela, co się naczytał tyle socyalnych ramot, że tylko łązi po lasach, a nic robić nie chce; pomijam to, jako utwor fantazyi, ale sam język włożony w usta tych chłopków jakże pocieszny, kiedy się zaklinają w imie koleżeństwa i w imie *ludzkości!* a wykrzykują:

„Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!“

Przypuszczałem, że w tém jest coś allegorycznego, — lecz odwyknawszy od klasycznej allegoryi, nie umiem się jeszcze na romantycznej poznać; jak z drugiej strony nie potrafię wmówić w siebie admiracyi dla tych Szymonów, Tarasów, Mart, które zastąpiły spłoszonych z pola prawdziwej poezyi takich Nemorynów, Dametów, Lindory i t. p.

Ten zwrot w poezyi gdyby się stał zaradliwym, kazałby obawiać się o przyszłość téjże. Tymczasem Syrokomla w drugim swoim poemacie: *Janko Cmentarnik*, lubo także jest gawędą ludową, obronniejszą wyszedł ręką niż w poprzedzającym, a to z prostej przyczyny, że przedmiotem opiewanym przez siebie potrącił o inny świat, wielki, historyczny, że się nie wdawał w malowanie sentymentów, o których lud nie wie, a tylko postawił jeden charakter Janka, walczący między przywiązaniem do rodzinnej wioski, a przywiązaniem do swego pana, z którym dzielił przygody wypraw wojennych za Napoleona, i któremu służył wiernie do śmierci.

Tęsknota za rodzinną strzechą gra główną rolę w poemacie i jest też oddana z wzruszającą prawdą — bo Syrokomla umie ślicznie malować delikatne i piękne wzruszenia serca,

byle je nie wkładał w usta chłopów, którzy mają całc inny sposób do objawiania ich, co każdemu wiadomo, kto bliżej starał się poznać z ludem. Przeto i tęsknota Janka Cmentarnika téj jest natury, iż każdy, co tęskni za rodzinną stroną, choćby z najwykwintniejszego towarzystwa, jeśli tylko serce ma na swoim miejscu, przyznałby się do takiej tęsknoty. — I tak, kiedy Janko ów dzielny parobczak swojej wioski, co to czy w pracy, czy przy zabawie, czy bijatyce, wszędzie jest pierwszym — bo jego wyższość płynącą z ducha każdy rad uznaje — wzięty jest przez pana na hajduka dworskiego w województwo krakowskie, i tam znowu dosługuje się pierwszeństwa między strzelcami — a potem zaciągnąwszy się ze swoim panem pod sztandar legionów, odbywa Napoleońskie wyprawy, tęskniąc zawsze i wszędy do rodzinnej wioski, a mimo tego pełniąc powinność sługi i żołnierza, kiedy Janko wkracza z pułkiem na Litwę i roi sobie, że jego droga obróci się na rodzinne sioło, że swoich jeszcze zobaczy! — jakżeż żywemi i prawdziwemi rysami uczucie to oddał poeta! Kto się znajdował w podobnym położeniu podziękuje Syrokomli za tę prześliczną

chwilę w jego poemacie, którą umyślnie przytaczam, bo nie można dość powtórzyć tego co prawdziwie piękne:

Niemen przebyli — przyszli do Kowna
 Już miota Jankiem radość gwałtowna,
 Zdaje się w piersiach serce nie mieści:
 „Już mi do domu mil ze dwadzieści...
 „Dwadzieści tylko, och! jak to mało!
 „Toż mię tysiące mil przedzielało
 „Od moich miłych... gdybyż być wprzodzie!
 I znowu konia ostrogą bodzie;
 Ale hamuje chętkę swawolną,
 Bo się z szeregu wymknąć niewolno...

.
 Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
 Nad głową Janka tęskność mogilna
 Chmurno powiała — szepce kryjomu:
 „Tylko mil osiem do mego domu...
 „Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
 „Kędy obróci wojenne marsze?
 „W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
 „Pułk naszej wioski minąć nie może:
 „Wioska na lewo — tamtędy droga...“
 Ale myśl władzców, to jak myśl Boga —
 Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
 Słowo ich prawem, wola ich święta.
 Więc drżący Janek ileżto razy
 Pytał u pana: jakie rozkazy
 Z głównej kwatery? — lecz pan nie zgadnie,

Którędy pułkom ruszyć wypadnie.
 Przyszła nakoniec karta złowroga:
 „Dla konnych pułków na prawo droga;
 „Za dwie godziny wojsko wyruszy.“
 Co się tam działo w Jankowej duszy,
 Trudno wysłować...

Od swojej niwy

Znów los odpycha nielitościwy!
 Onaż tak blisko być się zdawała,
 I znowu lata, lub wieczność cała
 Przedzieli może nieszczęśliwego
 Od miejsc, do których wciąż dumki biega!...
 Chciał już uciekać — lecz honor drogi,
 Wojskowa karność ma swe nałogi;
 Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
 Już go pokusy zachwiać nie mogą;
 Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
 Lecz nie postąpi jako nikczemni;
 Janko niezdolny postąpić podle,
 Spuścił jak martwy ręce na siodle,
 Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa,
 Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
 Pobiegnęła z wiatrem aż ku domowi:
 „Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!“

I Janko poszedł dalej, daleko, w głąb Moskwy, gdzie po walkach stoczonych, znajdował się w pamiętnym odwrocie nie odstępując na krok swego pana, już kaleką, i tak do-

prowadził go aż do karpackiego zamku, gdzie napoły tęskniąc za Litwą, a napoły pielęgnując schorzałego i skaleczonego pana, którego nie miał odwagi odstąpić, przeżył w tej służbie pełnej poświęcenia się lat trzydzieści, póki nie zamknął oczu staremu inwalidowi. — Oswobodzonemu od wszystkich obowiązków serca Jankowi znowu zagrały silniej wspomnienia rodzinnej wioski — bierze kij podróżny i rusza w drogę — na Litwę. — Otóż i wioska, jego przedmiot kilkadziesiątletniej tęsknicy! — ale czas bieży i wszystko z sobą unosi — nikt go nie poznał, i on nie poznał nikogo — rodzice, krewni, znajomi — wymarli!.. Janko w rozpacz chodził odtąd na cmentarz gdzie spoczywała jego przeszłość młodzieńcza i tam wywołując nieboszczyków... przepijał do nich zdrowiem i rozpił się na śmierć!

Ci bohaterowie zwykle u Syrokomli kończą pijaństwem; miałaby to być forma ludowej rozpacz? — Może i tak jest — nie przeczę. Ależ czy nie można znaleźć dla nich lepszego końca? albo czy chciałby nas przekonać, że pijaństwo u ludu jest tylko wynikiem rozpacz? To ostatnie psychologiczne postrzeżenie, nie ze wszystkiem praktyka stwierdza.

Ale co tu pomoże przywozić postrzeżenia z rzeczywistości czerpane, przeciw sielankowym argumentom, kiedy Syrokomla wziął sobie, jak uważam, za stałą zasadę idealizować lud wiejski, nie w ten sposób, żeby z niego wyprowadzał niektóre dobre przymioty moralne i obyczajowe w formie, w jakiej się objawiają, i przybierał je w rysy dopatrzone w bliskim z nim obcowaniu, ale w sposób przeniewierzający się prawdzie poetycznej, bo ubiera cnoty i uczucia szlachcica w chłopską siermięgę i wzdycha do lepszego świata, gdzieby nie było ani dworu, ani gospody, tylko kmiotkowie sami!

Takie pojmowanie i wystawianie wiejskiego ludu mogło uchodzić, kiedy go nie znano bliżej, tylko z jego piosnek, powiastek, obrzędowych ceremonij, kiedy wreszcie przymierzano doń formułkę Russa o doskonałym człowieku natury, téj części przyszłego bóstwa ludzkości; lecz dziś, kiedy te dwie utopie filozoficzne: Człowiek natury i Ludzkość, pokazały się pustobrzmiącemi frazesami, którym kłam zadawała rzeczywistość, toż i zmyślenie poetyczne na tym gruncie oparte, podwójnym staje się zmyśleniem.

Dlatego w poematach Syrokomli pomimo wysokiego talentu poetycznego w oddaniu uczuć i wrażeń sielskich, pomimo całej rzetelności lirycznej, zawsze prawie pomysł główny, a mianowicie wprowadzone postacie grzeszą nieprawdą. Podobnie sentymentalnych chłopów nikt jeszcze nie spotkał, chyba w balladach i sielankach zbyt romantycznych albo zbyt klasycznych, ale nigdy w ścisłym znaczeniu ludowych, czyli takich jak lud jest w rzeczywistości.

Maniera ta, bo już się stała manierą, powodzi pewnego opóźnienia wyobrażeń, a zarazem odbieżenia od tego zwrotu, jaki wskazałem na początku — zwrotu, ku sumiennym studjom nad ludami i częstkami ludów, nie tylko co się tyczy zabytków starożytnych przechowanych w ich mowie, wyobrażeniach, tradycjach, zwyczajach, ale nawet codzienne życie wieśniacze, charaktery, namiętności, sposoby widzenia, cnoty, występki i śmieszność ludu, są już badane z skrupulatną prawdą psychologiczną i plastyczną. Co dla flamandów zrobił Conscience, dla Niemców Czarnego lasu Auerbach, dla Szwajcarów Gotthelf, a u nas szuka w tym kierunku Gregorowicz,

to jest właściwą cechą studyów ludowych, — a byłoby i poezji ludowej, gdyby Syrokomla rozbratał się z tym wioskowym konwencyonalizmem, a przeszedł na rzetelną drogę. — Jakkolwiek bądź, rodzaj ten graniczy z różnemi niebezpieczeństwami i potrzebuje ścisłego roztrząsania i sądu, który nie powinien uchylać czoła choćby przed największym poetycznym talentem — tak znowu jeżeli natchnienie z czystego wytryska źródła, utwory takie mogą przynieść najzbawienniejsze skutki, czy będą prostem odbiciem się nagięj rzeczywistości, czy fikcją poetyczną, z tój rzeczywistości wysnutą.

Że ten zwrot ku studyom ludowym jakim poszli niektórzy pisarze w Europie, zaczyna się i u nas objawiać w najlepszych warunkach, lubo jeszcze na mniejszą skalę, dowód mamy w *Obrazkach z obyczajów ludu wiejskiego*, które skreślił Walery Wielogłowski. Dotąd trzy wyszło książeczki: *Leniwy Bartek*, *Kuba jarmarczny* i *Franek pijanica*. Sąto zdramatyzowane wady i przywary zwykłe włóścianom, jednakże w tém ich zaleta i wyższość nad zwykłą gadaniną moralną, że autor nie bawi się w kaznodzieję, ale pacyenta swego

przeprowadza przez różne przypadki i koleje życia, w których niema żadnych nadzwyczajności, tylko sceny przytrafiające się codziennie pod strzechą, w karczmie, na jarmarku, we dworze. Ciemne fatum przywiązane do wady lub występku odgrywa tu swoją rolę z nieubłaganymi następstwami, i tylko wtenczas przestaje ścigać, kiedy pacjent ma dość odwagi i woli złamać swój nałóg. Prowadzenie tych drobnych dramatów wiejskiego życia, choć o żadnej sceneryi ani architektonice niema mowy, jest przytem tak zajmujące, że od pierwszego momentu ciekawość twoja troszczy się o koniec téj ofiary lenistwa, włośczęgi, szachrajstwa lub opilstwa... Jeżeli te obrazki robią takie wrażenie na osobach, które wiele naczytały się w życiu, tedy nierównie większe mogą sprawić na wieśniakach, nieznających innych książek, prócz do nabożeństwa. Ważną tu rzeczą jest język ludu krakowskiego tż niesłychanym talentem pochwycony, tak w zwrotach jak w wyrażeniach, lubo zdaniem mojem autor strzedz się powinien wprowadzenia fałszywych czyli poprzekręcanych wyrazów, jak: *gdowa*, zamiast *wdowa*, *notareusz*, *harendarz*, *lumer* (numer) i t. p.

jeżeli bowiem wieśniak czytać to będzie, utwierdzi się tylko w zepsutym wymawianiu, które owszem kazi, a nie zdobi jego język, mający tyle zwrotów i sposobów mówienia, szczęśliwych, jędrnych i prawdziwie polskich, że nieraz zalatuje z nich jakby woń Zygmunto-wskich pisarzy. — Że jednak te *Obrazki* pisane są w celu naprawy wieśniaka przez postawienie mu przed oczy jego wad i występków, a nie z zamiarem artystycznym, odmalowania go takim jakim jest: i złym i dobrym i bogobojnym i zepsutym, pracowitym i leniwym, szlachetnym i podłym — przeto nie są one w stanie zaspokajać nas. — Zupełnie tak samo, jak lekarstwo, które acz pomocne zdrowiu, nie może służyć za codzienne pożywienie, gdyż się odnosi tylko do wyjątkowego stanu.

Kto tedy tak zna wieśniaka jak p. W., kto ma taki dar obserwacyjny, jak on, zgrzeszyłby, gdyby zaprzestał korzystać z tego bogatego materiału, mającego urok nowości.

Studja psychologiczne i obyczajowe nad wieśniakiem wplecione w jakie zdarzenie wzięte z rzeczywistości lub prawdopodobnie sfantazyowane, mogłyby otworzyć oczy na ten

świat ludowy, i dać go poznać w rzetelnych rysach; — dotąd bowiem malowano go albo w zbyt różowych, albo w zbyt czarnych kolorach, z exaltacją lub uprzedzeniem. Prawda znajdzie się pośrodku apoteozy i pogardy.

XIII.

KLASSYCZNOŚĆ RZYMSKA I KAJETAN KOŹMIAN.

Po różnych dziennikach polskich ukazały się już liczne artykuły spowodowane zgonem Kajetana Koźmiana, starca przeszło 80-letniego, który oddawna usunąwszy się od urzędów publicznych, piastowanych przez ciąg życia zaszczytnie, osiadł w zaciszu wiejskiem w swoich Piotrowicach pod Lublinem. Tam oddając się ulubionym muzom, nie tracił do samej śmierci ani bystrości umysłu, ani poetycznego ognia, ani popadał w to zubożenie dla spraw świata i ludzi, w jakie najczęściej popadają ci, co wyskoczywszy nagle

Dzieje hist.

22

w roli posłanników ludzkości, z trąbą zapowiadająca nową erę zbawienia, spędzeni są rzeczywistością rozwijającą się w innych warunkach. Wydymione te wulkany stoją zazwyczaj bezużytecznie; fundusz ich wewnętrzny starczył ledwo na jeden wybuch; a na żuźlach i popiołach trawa nawet nie rośnie.

Kto, jak ś. p. Koźmian umiał do osmdziesiąt piątego roku życia zachować umysł w takiej czerstwości, że się prawie z latami odświeżał, jak tego dowód mamy w niektórych utworach lirycznych na krótko przed zgonem pisanych, ten widocznie innego był hartu, niż dawniejsze pokolenie, ten musiał mieć wielki fundusz ducha, którym rozrządzał rozumnie, nie marnując go na czcze rojenie, ani rozpraszając w drobiazgi. Jestto bowiem jednym z ujemnych przymiotów naszego wieku; wkładać całe bogactwo umysłowości w najdrobniejszą cząstkę jakiej rzeczy i dochodzić jej składu, podobnie jak fizyologowie, co przez szkło mikroskopu rozbierają atomy i najdelikatniejsze włókna i tkanki. Tego rodzaju praca analityczna, nietylko niepozwała ogarnąć ogromu całości, ale nawet wyobrażenia tej całości w duszach zacięra. W literaturze

nowszej można tę dążność często spotykać w tych zaściankowych prowincjonalizmach, w tém rozczłonkowywaniu dziejów i społeczeństwa, zgoła w téj rozkładowej robocie, z której ciągle nam wróżą rezultaty wielkie; zupełnie jakby kto chciał robaków roznoszących ciało zchorowanej osoby, nazwać przyszłymi konserwatorami jéj zdrowia.

Kajetan Koźmian, umysł przedewszystkiem zachowawczy, nosił w sobie zapewne wyobrażenia i uczucia tych czasów, które młodością widział, do których w męzkich latach należał; nie dziw, że mu się przeciwném zdawało wszystko, co malało, rozdrabiało się, zapomniało tradycyi, co mu wreszcie psuło ten ideał całości, będący, że tak się wyrażę, najpierwszą jego muzą, źródłem wysokiego tonu, na który nastrajał swoją lutnię. Wykształcony na starych wzorach łacińskich, wżyły w tę wielkość instytucyj Rzeczypospolitej, co choć gasnące, olśniły go całym blaskiem, nawykły patrzeć na ludzi, budzących poszanowanie dla swych cnót prawie rzymskich, dla swéj biegłości w sprawach publicznych; wychowany nareszcie w karności i prostocie obyczajów staroświeckich, nie mógł się tak łatwo oswoić

z wyobrażeniami nowego czasu, z odmienną fizyonomią społeczeństwa; z tem wszystkiem co się około niego działo. Człowiek więcej niż dwóch pokoleń, świadek tylu zmian i przeobrażeń, zachowanyż został przez Opatrzność, jak ten dąb, co go zostawiają w wyrąbanym lesie, aby do jego wysokości pięły się młode latorośle zapustu?

Pospolicie, lecz w innych zupełnie stosunkach, takiego człowieka nazywają zabytkiem przedpotopowym, człowiekiem, który się przeżył — my, w naszym położeniu powinniśmy go nazywać żyjącą tradycją. Podług mnie, nie znam wspanialszej postaci w społeczeństwie, jak starca, który młodemu pokoleniu przedstawia w sobie żywą przeszłość. Kaje-tan Koźmian przedstawił ją w swoim żywocie ziemiańskim: dobry gospodarz, nie pan, lecz opiekun i przyjaciel poddanych, światły doradca, gościnny sąsiadom, poważny ojciec rodziny, a nadto jeszcze pamiątka chodząca, serce podnioslejsze, około którego można się było ogrzać — wszystko to, składało męża niezwykłych zalet w życiu domowém; a tacy ludzie nigdy się przeżyć nie mogą, przynajmniej nie wiem, ktoby ich przeżycia się pragnął. —

Jak ulubiony jego poeta, Jan Kochanowski, najszcześliwszym się uczuł, kiedy z większej sceny świata zeszedł w wiejskie zacisze; chociaż obowiązki i powinności obywatela powołały go do wysokich urzędów, które piastował, jednakowoż dusza jego zawsze tęskniła za cichą niepodległością i miernością, jak to wyśpiewał w jednym z najdawniejszych swoich wierszy do fortuny: *)

Szafuj innym twoje względy,
Sławę, bogactwa, urzędy,
Ja się przed twoim ołtarzem nieprzestaję modlić,
By mię nad ludzi twoja nie wzniosła opieka,
Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam nie dam upodlić.

Taki duch godności osobistej i obywatelskiej przebija w każdym wierszu Koźmiana. Gdybym tylko pytał pięknych sentencyj, moralnych, publicznych, domowych, których pełno w jego rymach, odgadłbym już charakter i sposób myślenia podniosły i szlachetny; lecz daleko snadniej mi to przychodzi, gdy zwracam uwagę choćby na tych dwadzieścia kilka lat ostatnich, które wieszcz-starzec spędził w zaciszu wiejskiem, otoczony jak pa-

*) Prośba wieśniaka do fortuny.

tryarcha obowiązkami rodziny i obywatelstwa, a przytém wydobywający z lutni swój ton tak rozgłosny, że wszędy dochodził i tak przenikliwy, że każdą szlachetną duszę poruszał. Kto żył w takim postanowieniu i powadze u ludzi, tego wewnętrzna istota musiała się szczerze odzwierciedlać w utworach natchnienia; nie mogły to więc być piękne słowa, skombinowane sztuką, a w dysharmonii z człowiekiem, który je pisał, a o którym nie ośmielono by się wyrzec to, co on sam o Horacym powiedział:

I wieszcz, filozof, dworak, choć wieśniak pozorem,
Coś zalecał w twych pieśniach, zaprzeczałeś wzorem.

Zresztą język prawdy i przekonania ma swoją właściwą cechę, niedającą się sztuką zastąpić. To jednak pewna, że nasi pisarze z tak zwanéj szkoły klassyczno-konwencyonalnéj, bardzo mało indywidualności swojej wkładając w własne utwory, słabo się tylko w nich odrysowywują. Zbyt może zajęci wzorem jakiego klassyka, będącego w ich pojęciu takim *akmé* (*ἄκμῆ*) doskonałości, wszystko, i co widzieli zewnątrz i co wewnątrz czuli, odnosili do niego, jego przemawiali językiem, jego tworzyli natchnieniem. Głos ich duszy z trudno-

ścią się przez te formy przedzierał. Przeciwnie, romantycy obierając inną drogę kreacji, usiłowali więcej snuć z siebie, we własną głąb zazierać, a choć i tu nie brakło na konwencyonalizmie i naśladowaniu, ztémwszystkiem indywidualności silniej się rysowały w tém co z ich piór płynęło.

Ztąd poszło, że nowa szkoła zainteresowała nie tylko pewną odrębnością swoich płodów, ale nawet pisarze należący do niej, intrygowali publiczność, odgadującą w nich wyjątkowe jakieś istoty arcyduchowe i płomienne, cierpiące i tajemnicze, które porównane z klasykami zazwyczaj ludźmi pewnej pozycji w towarzystwie, form zimnych, prozaicznych, a zasad konserwatywnych, musiały tych ostatnich zdyskredytować. Łatwo teraz pojąć, gdy się te czasy odsunęły już od nas i sąd nastał spokojniejszy, jaką krzywdę wyrażano wyznawcom klasycznym, odmawiając im wszelkich możebnych zalet, nawet gniazdowych, dlatego tylko, że nie poszli za duchem romantycznym. Wyrok ciężący na całym tym rodzaju, dotykał i Koźmiana; a jak zazwyczaj stronna gorliwość za daleko się

unoszą, więc w klaszynie potępiono i człowieka, i zastosowano do niego ten wiersz:

„Napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu“
 wtenczas, kiedy dokoła odbywała się ciemna gra, mogąca czém inném natchnąć jak dydaktycznym *wieńcem Wirgilego chwaty*. Salon literacki warszawski wiele miał rysów zdjętych z natury, tego trudno zaprzeczyć; lecz za tém nie szło, aby koryfeję szkoły klasycznej był obojętnym na to co obchodziło żywo każde obywatelskie serce. Co więc, on tak twardo stojący na wyłomie swojego obozu, odpowiadający na zaczepki i szły przeciwników dowcipnym sarkazmem lub biczem satyry, sam w końcu ogrzał się tém ciepłem młodej literatury, i w późnej starości zaczął żywiej i duchowiej uczucia swoje tłumaczyć. To pokazuje, że w piszącym, zawsze odbić się musi duch epoki, choćby najmocniej się jemu opierał i protestował.

My dziś wolniejsi od uprzedzeń naszych poprzedników, winniśmy to, co z właściwego wyrugowano miejsca, co potępiono bezwzględnie, odnieść do należnego porządku i usprawiedliwić.

Kajetan Koźmian, jak tylu innych, których

jako owoc chwili wykradzionej obowiązkom publicznym.

Odnosząc do tych czasów ody i pieśni Koźmiana, widzimy w nich niepospolitą siłę, pęd liryczny, ton podniosły, a niekiedy miejsca tak szczęśliwe, że je za wzór poetycznej szczytności podaćby można. Oprócz tych zalet jest jeszcze forma i język wysoko udoskonalone, co już niepoślednią miało zaletę w ówczesnym stanie naszego języka, którego nie uczono. Niesłusznie tedy zwolennicy przeciwniej szkoły, wyrzucali klasykom poprawność i ubieganie się o wdzięczne formy, bo porównywając ich sposób pisania z dawniejszym z epok panegiryków, zawsze pokaże się ogromny postęp. Każde przeto zaniedbanie i lekceważenie tego co już raz było osiągnięciem i zrobionem, prowadzi do upadku, jak to się sprawdziło na wielu pisarzach romantycznych, co naśladowując genialność gardzącą formą, nanieśli dziwacznych i dzikich wyrażen, a nade wszystko rozbratali się z loiczną a rozumną jasnością, będącą jedną z cech słowiańskiego ducha.

Virgiliusz i Horacy, jakkolwiek umknęto im znaczenia, przeto że ślepo trzymali się

wzorów greckich, niemniej jednak mają swój odrębny charakter, będący odbiciem się ówczesnej Romy, pani świata — jest w nich tyle humanizmu, taki wyraz wytwornej cywilizacji, taka znajomość życia, że nowożytni ludy przechodząc z opieki kościoła, na pole świeckości, wzięły sobie tych swoich przewodników za kodeks, podług którego usiłowali kształcić się na obywateli. *Civis Romanus* był to ideał zmodyfikowany pojęciami chrześcijaństwa; cóż dziwnego, że i dwaj poeci rzymscy co ten ideał przekazali, stali się owym wzorem najdoskonalszym, poza którym, nic już nie widziano. Przypomnijmy sobie wreszcie, że umysły uchylając się zpod jedyniej powagi kościoła, rozciągającej wpływ na wszelkie stosunki społeczne, poddały się innėj — powadze starożytnych. Długo byłoby rozprawić o znaczeniu i ważności powagi, której dziś wypowiedziano posłuszeństwo, zwyczajnie jak w chwili przechodnej; chociaż to pewna, że kiedy analiza się sprzykrzy i zużyje, musi nastąpić panowanie syntezy, a z nią powagi z różnicą, że ją przeniosą na takiego Danta, Szekspira i t. p. Koźmian należał do tych jeszcze, dla których wzory rzymskie były

nienaruszoną powagą w rzeczach literatury; była to tradycya idąca nieprzerwanym ciągiem przez całe nasze piśmiennictwo. Niesłusznie mu przeto wyrzucano naśladownictwo Wirgilego i Horacyusza, kiedy on, człowiek innéj epoki, nie mógł nawet dopuścić, żeby coś wyrównywało tym wzorom doskonałości; wreszcie, jak każdy nosi w duszy swój ideał, swoje uczucie piękna, tak i on nosił—a trudnoż układać estetyczny kodeks dla stosunków formy z treścią, gdyż piękność zachwycająca nas w obrazie i słowie, zawsze będzie tajemnicą świata, jest to właśnie ten czar, wdzięk, gracia, horacyuszowe *dulcia sunt*, którą więcej czuciem można pojmować, niż wyuczać się z prawideł.

Toż i nasi klassycy mieli insze pojęcie piękności, i w czém inném jéj szukali.

Nie ujmuje to nic utworom Koźmiana, ani go robi niewolniczym naśladowcą, kiedy w swoich lirykach co chwila powołuje się na Horacego, a w dydaktyce opisowej na Wirgila—tak jak nie ujmuje nic kaznodziei, kiedy przytacza teksty pisma św. i na nich się opiera, bo i mówca kościelny i klassyczny poeta, dumni są z powag idących im w pomoc.

Z tego punktu uważając jego liryki i inne utwory tak dydaktyczne jak epiczne, nie można im odmówić niezmiennie wykończon^{ej} formy i tego natchnienia idącego z głowy, co jeżeli nie sprawi uroku i wrażenia głębokiej poezyi, ma zawsze urok rozumu; a przyznam się, ostatni ten przymiot mógł robić śpiewaka Ziemiaństwa dumnym, kiedy swoje rymy porównywał ze wszystkimi gminnościami, co weszły przebojem w naszą literaturę. Czuł w tém swoją wyższość, i wiedział czém to zagraża; z wielkim téż dowcipem zgromił tę swawolę w jednym niedrukowanym wierszu do generała Morawskiego, który może dać miarę o jego talencie w rodzaju satyry:

Gdy równie słynny pieniem jak marsowym szykiem

Morawski mi powiada: nie chcę być klasykiem!

I woła na nieśmiała Feba towarzysze:

„Nie ucz się, lecz pisz jak chcesz!—a sam tak nie pisze—

Przypomnić wiersz klasyka nadaje mi prawo:

„Nie rwijcie chłopcy kwiatków, bo wąż jest pod trawą.

Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w sidła!

Lecz komu uciążliwe rozsądka prawidła,

Niech spali dzieła, taki^{ej} uległ^e przyzwanie,

A choć zginie Horacy, Baka pozostanie.

Więc na przekór pierwszemu stargawszy przepisy,

Łączcie węże z ptakami, z jagnięty tygrysy,

Do końskiej szyje ludzkie przypawiamy głowy,
 Rybę z piękną kobietą spójmy od połowy,
 I, nad temi cudami napelnioną kartą
 Niechaj się gmin zadziwi z gębą w półrozwartą.
 U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,
 Zasiądźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządki,
 I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory,
 Śpiewajmy wilkołaki, widma i upiory.
 Wszak już uczeń Krzemieńca w ukraińskim smaku
 Nuci dyndającego wisielca na haku,
 Drugi za nim podobnież budzi podziw w gminie,
 Śpiewając nam balladę szczytną o pierzynie.
 Z tak szczęśliwych początków, wróżyć mi jest trudno,
 Że nam zaśpiewa kazkę, a choć ta jest brudną,
 Przedmiot gminny dostarczy wątku do osnowy—
 Cóż ztąd, że nieco trąci—ale narodowy!
 A tylko gminny obraz godny wieszczą śpiewu;
 Niech więc nasze pasterki pasą trzodę z chlewu,
 Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,
 Po co smakiem salonów, psuć czysty smak w ludzie?
 Zgrzeszył Brodziński, zgwałcił nowych wieszczów prawa,
 Gdy krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława!
 Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
 Nasz Helikon za piecem, a Muzy u bydła!
 Chceszli nam obraz szczytny wystawić a szczerzy,
 Idź do jaskini zbójców, tam twe bohaterzy;
 Maluj wielkie ludzkości poetycznej dzieje:
 Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje;
 A gdy owoc twych płodów rozmnoży się wszędzie,
 Za mistrzem wielkim głosem wołaj: Co to będzie?!

Antagonizm obrońcy konwencyjonalnego klassycyzmu uderzył tu na żywioł gminny wprowadzany do literatury często bardzo nieszczęśliwie i nieumiejętnie, ale zawsze odświeżający ją tchnieniem rodzinném; co mimo wstrętu do gminności nie uszło jego uwagi, gdy Brodzińskiemu oddał słuszność za uszlachetnienie ludowych postaci; zawsze jednak list do Pizonów musiał być na stole; wierny tej powadze nie odstąpił jéj do śmierci.

Daleko jednakże trafniejsze było poczucie Koźmiana, kiedy w ostatnich latach zabrano się do przerabiania ustalonych pojęć narodu co do usług i wartości niektórych ukochanych pisarzy, i jeden z historyków piśmiennictwa, tymże duchem pędzony, zaczął dowodzić wyższości Klonowicza nad Kochanowskim;— była to prawdziwa obelga zadana czci otaczającej pamięć słowika Czarnolasu, tego pobożnego ziemianina — wieszczu, co pierwszy miał łyż natchnione, co pierwszy umiał zanucić hymn godny Boga ojców naszych.— Nowy ten estetyk, nie mogąc znieść wyższości uświęconej, chciał ją zastąpić zgryźliwym, żółciowym Klonowiczem, dlatego, że miał koloryt mieszczą-

ski. — Kilka wierszy satyry Koźmiana zrobiło dorazną sprawiedliwość:

Jakież to obłąkały rozsądek mamidla?

Czyliż gad, że ma żądło, już ma przeto skrzydła?

Wprawdzie mól tak szczególną odebrał naturę,

Iż z zbutwiałych szpargałów czasem wzleci w górę;

Wiem, że robak, co toczy podwaliny skrycie,

Kiedy szczyt na dół runie, czołga się po szczycie;

Wiem, że złowrogie ptastwo, wśród zamierzchłej doby

Porze skrzydłem powietrze, nim padnie na groby;

Lecz czy ztąd wniosek idzie i wiary nabierze,

Że gdzie nie sięgną orły, sięgną nietoperze?

Pedancil tworom wieszczów czyniący wyrzuty,

Pomnijcie, że sąd szewca nie sięga za buty.—

Jak nadmienilem, najwięcej ognia i trafności postrzeżeń znajdziesz w jego satyrycznych wierszach, mających przytém dużo powagi nieznizającej się nigdy do szarpania osobistości; karcil on tylko grzechy swojego czasu, i staje się wymownym nad podziw.

„Cenzor, przed Rzymem skarży ten sam Rzym wyrodny.“

To jego własny wiersz najlepiej malujący ducha jego satyry, która nie ograniczała się li na samych biczach kręconych na romantyków, ale nieraz chłosnęła i nadużycia publiczne. Do tego ostatniego rodzaju należy *Mowa Ka-*

tona Censora o obyczajach rzymskich, którą napisał podobno w roku 1811. Nawykły jak zawsze odnosić wszystkie pojęcia i uczucia do wzorów i dziejów rzymskich, tak i w tym wierszu włożył w usta Katona to, co sam chciał powiedzieć na pewne swawole w wyższych sferach, szczególnie na całe otoczenie ówczesnego naczelnego wodza księcia Józefa. Sąto niezmiernie silne i wymowne wyrzuty; każdy wiersz jak grot wpruwał się w odsłonięte słabe strony i pewnie ocucił niejedno przygłuchłe sumienie:

Gdzież są owe cnót wielkich i odwagi wzory,
 Niezadrośni Wodzowie, dzielne Dydaktory?
 Już są w grobie.....

Albo:

Kto z was teraz Rzym pozna po tak wielkich stratach!
 Czyli pewnie po mowie? czy pewnie po szatach?
 Czy go pozna po prawach, zwyczajach, przymiotach?
 Poznałby go po mężstwie, lecz nigdy po cnotach.....

Najsilniejsze jednak wrażenie — bo strzał był zbyt blizki i celny — zrobiły te wiersze:

Wstyd wspomnieć na co idą składki i zabory,
 Które ze łzami ludu odnoszą Pretory.
 Dzieje hist.

Spójrzcie na przepych pułków i na wodzów zbytki,
 Kannejskie po ulicach żebrzą niedobitki; *)
 A srebro złotem błyszczący wśród nowych szyków,
 I gmachy się pod tłumem wałą biesiadników.—

Kto tak się odzywał, nie można mu odmówić obywatelskiej odwagi.

Pieśni i Ody ulubionego mu Horacyusza umiał Koźmian przepolszczać z niezwykłym talentem; jestto najlepszy z naszych tłumaczy; wszakże i tu nie poprzestał na roli prostego tłumacza, gdyż zwykle wybierał takie ody, coby się dały do okoliczności bieżących stosować; brał więc myśl Horacyuszową i wlewał w nią swoją, odpowiednią chwilę. Tak on wybornie zastosował wypadki roku 1809 do sławnej ody: *Justum et tenacem propositi virum*, gdzie między innymi przestrogi i tę dorzuca:

Nędzne są kraju takiego losy,
 Gdzie rządców sławę i czyny
 Płochosć bez zasług wznosi w niebiosy,
 Zazdrość potępia bez winy.

W odach na cześć Napoleona pisanych w różnych czasach, widać entuzjazm bez de-

*) Alluzya do kalek i starców z Konfederacji Barskiej, żebrzących, kiedy młodzież tonęła w zbytkach i świeciła złościami szlify.

klamacy; czujesz, że to nie oficjalne hymny, lecz szczere uniesienie wdzięczności posunięte aż do postawienia bohatera na równi z Niebiany, za co potem sam siebie strofuje w innej Odzie, należącej już do innej okoliczności, bo opiewającej upadek dumnego:

Bóg to, Bóg! głos mój powtarzał,
 Bóg z wieczną władzą i chwałą!
 Ach! bo kto narody stwarzał,
 Jakież mu imie przystało?
 Chociaż godne przebaczenia,
 O błźniercze uniesienia!
 Zagińcież z bezbożnym wiekiem!
 Mógłżem tak Stwórcę poniżyć,
 By ku niemu tego zbliżyć,
 Co się nie znał być człowiekiem!

W ostatnim wierszu znowu za daleko poszedł w potępieniu—ale w okolicznościowych rymach trudna miara, zawsze w czemiś przebiegają, co potem ze zmianą dekoracyi odwoływać trzeba wierszem. W gorączkowych momentach, trudno znaleźć grunt ogarniający całość czy zdarzenia, czy człowieka. Byron i Lamartine dopiero później mogli nad upadkiem bohatera podumać. Nie wypada mi, ponieważ nie przytoczyłem dotąd żadnego przykładu wielkiej lirycznej piękności, pominąć

kilku wierszy z téj ody, w których olbrzymim pędzla pociągami, oddał zniszczenie armii Napoleońskiej w śniegach Rosyi:

Porzucaj godowe stoły,
 Uchodź zguby w cofnych krokach,
 Słyszysz ryczące żywioly,
 Poznaj boską dłoń w obłokach.
 Lecz cię trwoga nie zwycięża,
 Jeszcze się rwiesz do oręża;
 A tu z twych groźnych zastępów
 Marzących boje i łupy,
 Wmarzłe w ziemię stoją trupy,
 Pastwa dla kruków i sępów.

U dwóch sprzecznych ziemi kresów
 Gdzie tchną mrozy, gdzie wrą żary,
 Na dwóch świata Kambizesów,
 Stoi równy pomnik kary.
 Świat się pyta z trwogi zbladły,
 Jak te góry z niebios spadły
 I zgniotły tłumy szeregów?
 Pan, by pychę w proch obrócił,
 Ze wszechmocnej dłoni rzucił
 Tam garść piasków, tu garść śniegów.—

To prawdziwy głos poezyi — to piękność wyższego rzędu, nieprzemijająca, jakiegokolwiek nastaną szkoły.

Poemat większego rozmiaru, Ziemiaństwo, zaczął Koźmian pisać w r. 1810 i przez wiele

lat pisał, dodawał, poprawiał, gładził. Szydzo-
 dzono sobie, że utwor ten trzymał w tece
 dłużej, niż dwakroć, jak Horacy przepisał.
 Wszakże, wpatrzywszy się w jego zasadę, zbli-
 żenia się o ile śmiertelne siły starczą, do nie-
 śmiertelnego wzoru, jaki sobie obrał, wypada
 ją uszanować, jako sumienności przykład.
 Kiedy do większych części dzisiejszych pism
 mało kto drugi raz zagląda, Ziemiaństwo za-
 wsze będzie czytane, nie jak się czytają ro-
 manse, ale przez wszystkich chcących się
 ztamtąd nauczyć siły i wdzięku wyrażień, ja-
 sności i zwięzłego pisania. Każdy utwór,
 w który pisarz włożył wiele rozmysłu, wiele
 staranności, już tém samém ma większą ży-
 wotność, niż wszelkie prace *alla prima* ro-
 bione. — Poemat ten, na Wirgiliuszowej kan-
 wie osnuty, opiewa bogactwa ziemne na-
 szego kraju i zachęca do uprawy roli, po-
 kazując i korzyści i rozkosze wiejskiego ży-
 wota. Nie radbym uważać tego utworu za
 proste ćwiczenie się w opisach znanych do-
 brze przedmiotów gospodarczych, ale za coś
 więcej istotnego. Urok wojennej sławy za
 Napoleona unosił wszystką młodź na pola bi-
 tew, gdy tymczasem żywot cichy rolniczy

mniej nęcił; społeczeństwo wyrzucone z wielowiekowej kolei, biegło szukać zaspokojenia swych żądz w różnych zawodach, a nade wszystko w przepychach wielkiej stolicy cesarstwa, ztąd przywiązanie do obyczaju ojców i do domowej strzechy a roli, stygło i zacie-rało się. W takiej chwili, obudzić miłość do ziemiańskiego żywota, tego niewyczerpanego źródła zamożności i cnót patryarchalnych, było zadaniem godnym poety. Poczul to śpiewak Ziemiaństwa, jak poczul wzór jego, śpiewak Georgik za czasów Augusta Rzymskiego.

Będę usiłował wyjaśnić lepiej ten stosunek.

W dydaktyce potrzeba uważać dwa różne od siebie momenta; jeden, gdzie dydaktyka jest naturalną potrzebą; drugi, gdzie jest sztuczną kombinacją. W epoce takiej jak Hezydowa, kiedy czas dla nauk specjalnych i rzemiosł jeszcze nie był przyszedł, gdzie każdy sobie był wszystkiem i wszystko musiał umieć, gdzie zjawiska natury jeszcze powlekała tajemnica, gdzie ciekawość nauczania się gorąca, a do zaspokojenia trudna — tam poezya wystarczyć mogła, jak wystarczały Heziodowe *Prace i Dnie*. — W bardziej rozwiniętych zaś cywilizacyach, gdzie się już umiejętności ści-

słe ustaliły, dydaktyki właściwej niema, bo jój niepotrzeba; jednakowoż poeci wśród wykwintów miejskich eleganckiego świata odbiegającego od natury, starają się sztucznemi sposobami, przenieść się w niepodobne położenie pierwotnej prostoty i szukać natchnień, jakie mogły się zrodzić w kolebce społeczeństw. Ostatnia ta epoka jest epoką Wirgila. Ztém-wszystkiém Georgiki daleko są wyższe od tak zwanych poematów *opisowych*, będących zazwyczaj skalą upadku, bo pisarz nie mając co wysnuć z siebie, szuka tego w przedmiotach zewnętrznych, czego we własnej duszy znaleźć nie może. Wirgilowe opisy ożywiają interes patryotyczny, społeczny. Rolnictwo, z którego wyszły silne cnoty Rzymu i sława, nie było już w stanie wyżywić odrodnych potomków. Przyczyn tego upadku wiele: to użycie do pracy niewolników w miejscu ludzi wolnych, to zakładanie ogromnych willi i parków bezużytecznych, to spustoszenia wojny domowej, to zastąpienie dawnych possesjonatów weteranami Sylli, Cezara, Oktawiana, nie mających wyobrażenia o uprawie.

Złe do tego doszło, że nikt się pracy rolnej nie imał z zamiłowaniem — rolnictwo ucie-

kło. z Italii. Wirgili chce mu cześć przywrócić, ożywić, znowu miłość pługą zaszczyć, a z nim i staroświecki obyczaj, i dawne ojców cnoty. Tego rodzaju dydaktyka była na dobie.

Nasz śpiewak *Ziemiaństwa* poczuł tę analogią, i postanowił patronować sprawę zaniedbanego pługą:

Opiekuj się więc pługiem, z którego szczodroty
 Płyną twoje dostatki, a krzewią się cnoty!
 Pługiem, za którym jeszcze, niech się wspomnieć godzi,
 Dawna wiara i skromność przodków twoich chodzi,
 I szczerłość nieobludna, praca i wstyd prawy,
 Lepszy stróż społeczeństwa, niż mędrców ustawy.

Pod opieką ulubionego mistrza, podobnie jak Dant, który Wirgila wziął za przewodnika w podziemne kraje, i on się puszcza po ziemi lechickiej, z tą jednak różnicą, że Dant patrzył własnymi, Koźmian Wirgila oczyma.

Główna przyczyna, dlaczego ten poemat nie zrobił wrażenia, jest ta, że w nim studjów odpowiednich zbyt mało; malarz natury polskiej, przestał na dostarczonych mu patronach; nie podsłuchiwał tajemniczych głosów tej ziemi, a wszystko co widział i co mógł czuć, gwałtem przymierzał do czegoś znanego, obcego.

Wszakże z drugiej strony Ziemiaństwo uważane w tym kierunku, jakiego się trzymała klasyczna szkoła, jest najwykońcześnieją pracą, w której można spotykać miejsca prawdziwie z ogniem natchnienia pisane, szczególnie niektóre apostrofy i ustępy o rassic koni i wołach — rysunek byka po mistrzowsku skreślony:

Na ich czele poważnie idzie wódz wspaniały,
 Tocząc się jak ogromny obłom sivej skały,
 Gruby kędzior pochmurne czoło mu zakrywa,
 W grubych marszczkach podgarle do goleni spływa;
 Bądź rogiem się zastawia, bądź krzywy zyz toczy,
 Pasterz zbrojny kosturem nie śmie zajść mu w oczy;
 Przygłuszonym pomrukiem liczne wiedzie stada,
 I, jak szeroka przestrzeń, tak szeroko włada.

Tu czujesz, że śpiewak obraz ten wysnuł ze siebie, że własnymi oczyma widział *ten ogromny obłom sivej skały*; ale Koźmian nie wierzy nawet, żeby mógł co sam przez się czuć i widzieć bez Wirgila, kiedy powiada:

Są cuda, których samo bóstwo nie powtarza,
 Raz stworzyło naturę i raz jój malarza.

Ostatnich lat kilkanaście poświęcił Koźmian napisaniu wielkiego historycznego poematu: *Stefan Czarniecki*, który liczy do 15 ty-

sięcy wierszy. Ponieważ utwór ten nieogłoszony drukiem, powiem o nim pokrótce. Zamierzając dać narodowi epopeję, trafił na bohatera, którego otaczała cudowność, i ta wiara, że był umyślnie przez Boga obranym na wybawienie króla i ziemi swój od najazdu pięciu groźnych nieprzyjaciół wpadających pod przewodnictwem Karola Gustawa, a zesłanych na ukaranie grzesznych słabości Jana Kazimierza i swawoli szlachty znęcającej się nad włościanami... Cud obrony Częstochowy przez Kordeckiego, dał hasło do pokrzepienia się w ufność i na siłach, w skutek czego zawiązała się konfederacya Tyszowiecka, stawająca przy królu. Tu występuje Czarniecki, którego poeta przeprowadza przez tysięczne koleje bitew i tryumfów, aż do zawarcia pokoju w Oliwie, kończącego wojnę szwedzką.

Przedmiot niezmiernie bogaty w sytuacje i charaktery; ale jak w innych utworach Koźmiana tak i w tym, działanie zastąpione bywa opisem, zawsze na jeden *ton* wygłoszonym, bez zastosowania dykcji do przedmiotu. Kourtunowy Wirgili znowu mu przewodniczył — czemuż nie Homer, który po ziemi stąpał bosą

noga, prosty, z miejsca na miejsce przenoszący się gęślarz?

Zbytnie przywiązanie się do jednego wzoru i form jego, zepsuło wszystkie te dary i zasoby wyobraźni i ducha, jakimi mógł sędziwy śpiewak Czarnieckiego rozrządzać; tak dalece, że nie wiem, czyli sam prosty przekład homeerycznych poematów, nie odpowiedziałby więcej potrzebie naszej wewnętrznej patrzenia na rzeczywistość i prawdę, podniesioną do wielkich rozmiarów i niedojrzanych wysokości, duchem boskiego piewcy, — niż ten narodowy poemat, w którym poeta prawdę i rzeczywistość podciągnął pod formy zbyt znane a wysłowił po akademicku, bez tej prostoty i naturalności, i bez tej prawdy, bez jakiej trudno wiarę i serce czytelnika pozyskać.

Są inne jeszcze względy, które czynią *epos* tak trudnym w nowożytnym świecie zadaniem, a te są: tradycje bardzo żywe, i wiara niezaprzeczona, podzielana przez wszystkich. W wieku, gdzie historye piszą, gdzie analiza panuje, opinie się różnią, bohaterowie dzienni cześć odbierają — może być ledwo poemat historyczny. Czy Stefan Czarniecki Koźmiana odpo-

wiada temu zupełnie?—powie świat czytający i sądzący.

Poprzestańmy teraz na jednym wyjątku, będącym niejako węzłem całego utworu: świętobliwy pustelnik, w klasztorze bielańskim, obwieszcza Janowi Kazimierzowi przyszłość, odnoszącą się do jego panowania, i objawia przyjście męża, mającego Rzeczpospolitą z ostatniej toni wybawić:

Za okopami Wazów stołecznego grodu,
 Jest gaj, wieczne mieszkanie ciszy, cienia, chłodu.
 Oslaniają go liściem dęby wiekuiście,
 Wisła wilży, z gór źródła przeryniają czyste,
 Gaj ten, gdy lato kłosy szumiące zapłoni,
 Zda się zielonym wieńcem na rolniczej skroni.
 Tu klasztor Romualda z Kameldul czcicieli,
 W swych murach pustelniczych wznosi się i bieli.
 Dziwna sprzeczność z stolicą. Tam zgiełk, hałas, wrzawa,
 Zbytek, przepych, uciechy—zgoła tam Warszawa
 Nurza się w żądzach życia, tonie w ich potopie,
 Tu zakonnik ogródek i grób sobie kopie.
 Tam zalotność, zabawy, tam biesiady tłumne,
 Tu pobożny wstręt od nich wzrok ma wryty w trumnę.
 Niestety! ledwie słowik wiosnę zapowiada,
 C o rok tę ustroń grzmiąca Warszawa napada.
 Spionionemi rumaki, lęknięcemi rydwany
 Wiezie sprosną rozpustę, wiezie jój kapłany,

Znieważa gwarem biesiad świątki uroczyste
 Samotność pustelniczą—wzrok i serca czyste,
 A na przekor pobożnej skrusze i pokucie,
 Poi z czary roskoszy rozpasane chucie. —
 Nie ta była téj świętej uchrony postawa,
 Gdy pierwszy kładła kamień ręka Władysława,
 Las ponury natrętą odpychał stolicę,
 Zwierz przebiegał, gdzie dzisiaj gmachy i ulice.
 W te bory raz Władysław zapędzon na łowy,
 Kiedy ściga jelenie przez knieje, parowy,
 Zatrzymał się u brzegu cienistej pieczary,
 Siedział przed nią pustelnik, poważny i stary,
 Długa broda sędziwe wydawała lata,
 Krzyż szkarłatny na piersiach, śnieżna jak włos szata,
 Wśród modłów, których tylko puszcza słucho czarna,
 Po wieńcu kokosowym, święte spuszczał ziarna.—
 Spozrzegłszy króla, wstrząsnął w drżącej dłoni czarą,
 „Wspomóż“ rzekł „zakon Pawła nieskapą ofiarą“
 Król zdjęty z szyi wsunął w czarę łańcuch złoty,
 A pustelnik rzekł: „Królu! za dar twój szczodroty
 Bóg cię ubłogosławi—ukrzepi prawicę;
 Przerazisz gromem zwycięstw daleką stolicę.
 Czernichów, Siewierz włączysz do świetnych zdobyczy,
 Od dzikich ludów Ugra Polskę odgraniczy;
 Na ogłos twoich zwycięstw zadrży Osman z trwogi,
 I przez posły uniży księżycowe rogi.
 Ojciec kościoła swemi uwieńczy cię dary
 I ogłosi obrońcą Chrystusowej wiary.“
 Rzekł król: jeśli się Ojciec sprawdzą wróżby twoje,
 I zwycięstwem ukończę twarde z dżiczą boje,

Nad tém źródłem w téj puszczy i nad tą jaskinią,
 Wzniosę na podzięk Bogu klasztor i świątynią,
 Zakon wasz pustelniczy po kraju rozmnożę
 I ciebie nad mistrzami pokory przełożę.
 Spełniły się świętego pustelnika słowa
 I król dotrzymał ślubu.—Wzniosła się budowa.
 Władysław jeden domek zachował dla siebie,
 Tam w każdéj rodu swego i kraju potrzebie,
 Gdy go chrapliwe trąby na bój krwawy wiodły,
 W lubém sobie ustroniu składał Bogu modły.
 Ten to bór mija Kaźmierz gdy mu w myśli stawa
 Pustelnik, wróżby jego, zwyczaj Władysława.
 Więc od obozowego zwrócił konia toru,
 Wraz z giermkim po bezdrożach dąży do klasztoru,
 Wiedzie ich błądy księżyc, wiedzie ich noc cicha,
 Król nad sobą a giermek nad swym Królem wzdycha.
 Wtém staną przed murami. Zsunęli się z koni,
 Tknięta ręką wisząca spiż nad furta dzwoni.
 Słychać zpod głuchych sklepień stopy zakonnika,
 Z brzękiem kluczy skrzypl wrzeczadz, brama się odmyka:
 Brat słowy: „Pomnij na śmierć“ Króla swego wita,
 Ten o świętego Ojca troskliwie go pyta.
 Odpowiada: „Duch jego jeszcze mieszka z nami,
 Lecz ciało wynędzniałe pokutą i łzami,
 Ziemskich pokarmów więcej już z braćmi nie dzieli,
 Tém żyje, co mu z nieba przynoszą Anieli.“
 Idąc, do ciasnej celi zbliżyli się progu;
 Widzą zatopionego śmiertelnika w Bogu:
 Leży krzyżem na ziemi kapłan Pawła święty,
 Przed nim Zbawiciel świata na krzyżu rozpięty.

Wstał zakonnik, a jasność błysnęła u skroni
 Przychodniów oblał potok nieznanéj im woni,
 Król rzecze: „Uciśniony bolesną żalobą
 Ojczy! igrzysko wszystkich nieszczęść masz przed sobą!
 Upadam pod gromami, objaw mi kres ciosów,
 Ublągaj śmierć lub ulgę u groźnych Niebiosów.“

Milczał starzec, stał długo jak posąg ze spiżu,
 Padł krzyżem i wzrok utkwił w Zbawiciela krzyżu —
 O! w jakże uroczystej spoczywa on ciszy,
 Ziemskiego władzcy tronu ni widzi, ni słyszy,
 A ten jak tajemniczą odepchnięty trwogą,
 Korną od męża niebios odsuwa się nogą.
 Rozmów z Niebem grzesznemu słuchać się nie godzi,
 Tak rzecze i do celi poblizkiej odchodzi.
 Tam wizerunek brata uderza mu oko;
 Utopił w nim wzrok tkliwy i westchnął głęboko,
 Dla strapionego serca odpoczynku wzywa,
 Do zwilżonych łzą źrenic sen mu nie przybywa.
 Ta cisza, ta spokojność za klasztornym progiem,
 To święte towarzystwo z modlitwą i Bogiem
 Przeszłego stanu pamięć przywodzi do myśli,
 I z obecną wielkością porównanie kreśli.
 Wini niestałość ludzkiej wrodzoną naturze,
 Że od portu pokuty puścił się na burze,
 O szczęśliwy! rzekł, kogo od marności świata
 Ta klasztorna na wieki oddzieliła krata.
 Raz wyłączon od błędnych téj ziemi tułaczy,
 Nie wystąpił na padoł nędzy i rozpaczy.
 Próżność nad próżnościami i wszystko próżnością,
 Wróciłem do świetności, płacząc nad świetnością.

Ach, kto za tronem świata z téj ustroni wzdycha,
 Niech skosztuje goryczy z mojego kielicha.
 I w nadmiarze boleści nim świt błysnął zrana
 Z czarną w duszy rozpaczą wraca do kapłana.

Watał zakonnik, nie czekał na króla pytanie,
 Przeniknął je, wyczytał i odrzeka na nie :
 „Są chwile, gdzie duch ludzki do ziemi przykuty
 Z ciała wycieńczonego chłostami pokuty
 Wzbija się w wrzących modłach, zachwyceniem płonie
 I w rozwartych przed sobą głębiach Niebios tonie,
 Takiej łaski niegodny płaz ziemi doznałem ;
 Lecz że nie jest nędznego śmiertelnika działem,
 Objąć górnych światłości morza niezmierzone,
 Bóg mi tylko z ich części odchylił zasłonę:
 I widziałem jak w Niebie blaskiem gwiazd promienny,
 Stał jak posąg tryumfu krzyż wzniosły płomienny,
 Z słońca się nań wieczności zlewał potok chwały,
 Wokoło całe ludy męczenników stały.
 Stroiła mężne czoło korona zasługi ;
 A te z ran ich wylane męczeńskiej krwi strugi,
 Ten nurt święty co niegdyś ziemskie zbracał katy;
 Tu wonnemi krzyż Pański opływał szkarłaty.
 U stóp jego stojący lśknął się kielich wiary
 Cnotliwych on boleści przyjmuje ofiary,
 Z każdą łzą co weń wpada, tysiąc świętych głosów
 Z brzmiającą prośbą do wyższych wzbija się niebiosów.
 Tam, z kąd w zdrojach miłości ciągnęła litość spływa,
 Lecz i grom potępienia głąb piekieł przeszywa.
 W téj to chwili o królu! z serca wycfniętą

Ujrzałem tam łzę twoją, spadła w czarę świętą
 I łącząc się ze łzami tyłu naszych króli,
 Przepęłniła nareszcie ten kiclich niedoli.
 Wzniosły się grzmiącym chórem hymny męczenników
 I aż w głębi najświętszych zasięgly tajników;
 Wszystko drżało nadzieją — a gdy groźne Bóstwo
 Ważyło nasze cnoty, większe przestępstw mnóstwo,
 Zdało się jakby w górze głos święty niewieści
 Sercem matki dziecięc przedstawił boleści,
 A najwyższój o litość błagając istoty,
 Takim prawie brzmiał jękiem, jakby w dniu Golgoty;
 I wkrótce się mym smutkiem, żalem rozrzewniony
 Anioł pociech z naszemi przybliżył patrony
 I wskazał mi na złotym kreślone obłoku
 Te wyrazy w niecofnym gorzące wyroku:
 Jam jest Bóg, karzę zbrodnie, a cnoty nagradzam,
 Narody gdy chcę wznoszę, kiedy chcę zagładzam —
 Chłostać ich będę długo i chłostać dopóty,
 Aż doczekam poprawy, skruchy i pokuty. — i t. d.

Gdzie tylko przedmiot jest natury więcój
 lirycznój, tam Koźmian nie nie pozostawia do
 życzenia, jak w wyż przytoczonym ustępie —
 lecz gdzie dramat życia zachodzi, gdzie po-
 trzeba obrazów plastycznych, i postaci nary-
 sowanych i postawionych tak, aby się mogły
 utrzymać na nogach, aby się nie rozplywały
 w mgłę sentencyi — tam mniej go podziwiać

mogę; choć zawsze niedostatki te pokrywa szata ślicznie utkana, udrapowana rozumnie, a olśniewająca oczy jak syryjska purpura na którym z Cezarów.

O innych pracach ś. p. Koźmiana nie mówię, z powodu, że mi szło głównie o zcharakteryzowanie jego pism rymotwórczych, stawiających go w czelnym szeregu naszych pisarzy; — jednakże wyczytawszy w *Kronice Warszawskiej* w pięknym artykule, ręką jego syna skreślonym, wiadomość o mającym wyjść kompletnym zbiorze dzieł Kajetana Koźmiana, czuję potrzebę powtórzyć takową. Zbiór ten pomieści się w czterech tomach. W pierwszym oryginalne wiersze, siedm ód w części nieznanych, pieśni i hymny, listy wierszem, poezye do różnych osób — cztery bajki — epigramaty, napisy — a nakoniec Ziemiaństwo. — W drugim Stefan Czarniecki. — W trzecim przekłady z Horacego, Wirgilliusza, Tybulla i t. d. — W czwartym pisma prozą: Mowy pogrzebowe — obrona podoficera Grotkowskiego — Żywot Kasztelana Jana Tarnowskiego, Jenerała Dąbrowskiego — Kilka rozpraw krytycznych, kilka nekrologów, a nakoniec niektóre rozdziały z jego wspom-

nień; na same bowiem Pamiętniki, nie pora. Mały to poczet ksiąg, ale dlatego jest w nich i treść i pocziwe ziarno.

Szlachetnie i godnie spełnione posłannictwo pisarza! kiedy^o współcześni a tém mniej idące po nas pokolenia nie ośmielają się mu wyrzucać, że ich serca zatrul jadem, pomiejszał rozumy, wyrzucił z karbów świętych powinności, nabawił niesmakiem życia, lub rozpalil nigdy nienasyconą żądzą... Przeciwnie, błogosławić będą, że w pięknej, treściwej mowie przechował im tyle prawd życia, tyle myśli podniosłych, tyle do cnoty zapалу, a do rodzinnej strzechy — miłości.

Niepodobna mi lepiej zamknąć tego literackiego przeglądu jak parą strofkami, które ś. p. Koźmian napisał o sobie, w wierszu do Księdza Baranowskiego proboszcza w Bychawce. Miał wtenczas 77 lat wieku:

Już się przybliża kres mego żywota:
 Niezbędna starca oczekuje droga,
 Pójdę w nią śmiało, bo otworzą wrota
 Gdy ty zapukasz i westchniesz do Boga —
 Nie szczędź pociechy mojemu plemieniu
 Wzorem, nauką, zachowaj od skazy,

Nad memi zwłoki wryj na kamieniu
Jeślim zasłużył, te krótkie wyrazy:
„Tu leży starzec, Bóg mu lat przyczynił,
Czcil Boga, kraj swój kochał, ludziom nie zawinił.“

Są to wyrazy prawdy, którym potomność
zapewne kłamu nie zada.

XIV.

ZNIKOMOŚĆ SŁAWY AUTORSKIEJ.

Alfieri i Lamartine.

Przerzucalam francuzkie dzienniki, które mi do przejrzenia mój księgarz nadesłał.

Wicie co mi wpadło w ręce?

Oto *Domowy kurs literatury* (Cours familier de littérature) Lamartina.

Niezmiernie byłem ciekawy jego sposobów widzenia. Taki pisarz zawołany, powinien otworzyć nowe widoki, odkryć utajone prądy, którymi myśl ludzka przerzynała się przez warstwy najróżnorodniejszych wyobrażeń i wiar, mass i narodów, form rządów i instytu-

cyi. Zdawało mi się, że jego genialne iskry wyjaśnia fenomeny umysłowe, a duchowa instytucja natrafi na te pulsa, które nie wiedząc o sobie, odpowiadają z jednego końca świata na drugim, jak to się często zdarzało w dziejach ludzkości. Wiele sobie obiecywałem, jak ten, który błędząc w obcym miejscu, widzi przewodnika zbliżającego się z latarnią.

W rzeczy samej Lamartine objawił mi się jak przewodnik, ale nieszczęściem, zawiodłem się na jego uprzejmości, bo zamiast zwrócić światło latarni na tajemnicze gmachy uczuć i wyobraźni, wiar i mądrości, które miał mi pokazać — on je zwrócił na swoją osobę i tylko z rzadka puszczał przelotny błysk na jaki pomnik rozumu lub serca.

Lamartine wszędzie i zawsze o sobie tylko mówi, istny Narcyz, kocha się w swojej Lamartynskiej Mości; gdzie trzeba i nie trzeba naciąga rzecz, aby tylko on wyszedł na scenę i jakby w obawie, żeby potomność nie straciła, ani jednego szczegółka o tak wielkim człowieku, sam stał się własnym historyografem, pisząc historię literatury całego świata.

Żadna, najbardziej zaślepiona w przedmiocie swojej miłości kochanka, nie odmalowała-

by swego ulubionego z tak romansowém uczuciem, jak on maluje siebie, kiedy był młodym chłopcem.

Warto posłuchać:

„Było to na wiosnę 1810 roku; miałem lat 19, kibić smukłą, piękne włosy gładkie, lecz zwijające się miękko około skroni; oczy, w które ogień i melancholja spływały w wyrazie niepewnym i przelotnym, nie pochodzącym ani z lekkości, ani ze smutku. Żądza młodzińcza życia, widzenia, wylewania uczuć, zanurzania się w morzu wrażeń rodzących trwogę i przyciągających ku sobie — wszystko to leżało na dnie mego ówczesnego charakteru; był to żar pod popiołem, bojący się i wyzywający podmuchu wiatrów; serce dziewicze między wiekiem zadumy, a wiekiem kochania. Taką niewinność panięńską i bojaźliwość malowała się na mojej twarzy. Byłem zuchwały w pragnieniach, a lękliwy w obejściu się. — Wychowany w samotności, a prostocie wiejskiej, byłem jakby ośniony widokiem wielkiej natury i wielkiej sławy. Skromne i zadumczywe milczenie pokrywało zwykle tę bojaźliwość. Dotąd obcując tylko z książkami, widziałem w tém wszystkiém co się roz-

taczało przed memi oczyma, nową wielką książkę żyjącą, którą miałem przeczytać. — Ufałem, że w niej odkryję słowo tysiąca tajemnic mojej niewiedomości. Serce moje było zagadką do której szukałem klucza!“

Przyznajcie sami czy w tak uroczym portrecie nie można się zakochać, choćby portret miał teraz lat sześćdziesiąt z górą. Zabawna kokieterya, tém jedynie zajęta, żeby zainteresować bodaj dla osoby, jeśli nie można dla przedmiotu, który ta osoba wyklada. I tak jest w całym tym kursie; dla kilku słów o jakim autorze, znajdziecie kilka stroniec o Lamartinie, jakby ogrom literatur starożytnych, średnio-wiekowych i nowoczesnych, służył tylko za tło, za podmalowanie do większej nad wszystko co jest, co było i co będzie, figury śpiewaka *Medytacyi*.

Ztémwszystkiem i w tym ustępie, którego początek przytoczyłem, a który jest długim opisem wrażeń tego pięknego chłopca, doznanych w podróży po Włoszech, natrafia się w końcu na ocenienie pism Alfierego, ale tylko w ogólnym rysie i to z punktu widzenia Lamartinowskiego, który bardziej tłumaczy

jego własne usposobienie, niż daje pojęcie o tym autorze.

Posłuchajmy romansowego ustępu. Poeta jest we Florencyi, w kościele *Santa Croce*, tym Westminterze toskańskim:

„Pomnik wynioślejszy i ogromniejszy niż inne, wabił mię ku sobie. Wyczytałem na nim napis w złoconych literach z bronzu: *Aloiza, hrabina Albany, z domu hrabina Stolberg, Wiktorowi Alfieri; a poniżej: Canova sculpsit.*

„Na te wyrazy książka z rąk mi wypadła; w osłupieniu i zadumaniu stałem przed tym gróbowcem. Fidiasz wenecki wyobraził na nim Italię rzymską, to jest mężką i surową z wieńcem bezlistnym w ręku, płaczącą nad medaljonem swego poety. Wierzyłem wtenczas, że Alfieri był poetą; byłem w tych leciech kiedy się czi imie, nie wiedząc czy zasługuje na to. Przed kilką laty w Lugdunie kupiłem był medyolańską edycyę tego włoskiego Kornela w dwunastu tomach. Tomy te zawierające czternaście jego trajedyj, tak były stargane częstém czytaniem, że na okładkach nie możnaby i tytułu odsylabizować. -- Czytałem także pamiętniki jego, wydane przez hrabinę Albany, niedługo po zgonie jój

przyjaciela. Hrabia Alfieri był dla mnie jako poeta, kochanek i obywatel, troistem złudzeniem młodości, złudzeniem, na które nie targnął się jeszcze sąd dojrzały. — W moich oczach było mąż wieku, człowiek namiętności, ostatni z Rzymian, rodzaj poetyckiego Brutusa, piszący ostrzem sztyletu sonety do swojej Beatryczy, karty Tacytowskie i klątwy Machiawelowe.

„Pod tym trojakim względem czułem się winnym części temu nazwisku. Śmierć jego niedawna i przedwczesna, grób ledwo zawarty rękami miłości, i uwieczniony arcydziełem Kanowy, on sam nieśmiertelny, wszystko potęgowało moje wrażenia na widok tego pomnika.

„Po pierwszy raz w życiu ocknęło się we mnie uczucie sławy; wierzyłem, że całe życie można poświęcić, aby na taki pomnik zarobić. Niestety nie wiedziałem jeszcze, że marmur nie bywa cieplejszy jak trawa na mogile; że nasze głosy nie idą pod ziemię, że najostatejszą z naszych próżności jest próżność naszych pomników, i że prawdziwem schronieniem naszych dzieł na ziemi, nie jest sława

lecz sumienie. Ale któżby wpadł na tę myśl, bez rozmyślania?”

Otóż to macie gadulstwo francuzkie! — Ażeby powiedzieć: *prawdziwém schronieniem naszych dzieł na ziemi nie jest sława, lecz sumienie*, w czém zupełną ma słuszność, co doświadczenie niemal stwierdza, tyle nagadać musiał o swojej przystojnej osobie, nawet o romansiku z jakąś panienką, który się począł od zgubionej i znalezionej róży, która znowu wywołała bardzo niedowarzony wierszyk przyszłego autora Medytacyj.

Literatura opowiadana w ten sposób, całę nie jest literaturą, ale wrażeniami o literaturze, wzbudzającemi większy interes dla opowiadacza, niż dla wszystkich pomników poezyi, wymowy i historyi. — Po prostu środek sprzedania się dobrze; próżność właśnie mierząca w sławę; a nie w sumieniu szukająca zadowolenia.

Ale mniejsza o Lamartina! zna on swoich rodaków i wie co robi. Prezydent byłej Republiki nie może zostawać w zapomnieniu; dlatego téż wszelkiemi sposobami usiłuje wbić się w pamięć Francuzom, aż do miękkich wło-

sów co się same zwijały na skroni, i pięknych oczu ogniście melancholijnych.

Mimo téj śmieszności, bo inaczej nie wiem jak nazwać tę pretensjonalność, wyborna nauka w ostatniém słowie zamknięta i zastosowana do Alfierego, którego sława tak prędko minęła, że jój nawet i grobowiec ręką Kanowy ciosany podtrzymać nie zdoła — wydała się mi godną rozmyślań.

Jeżeli pisarz tak głośny, tak wielbiony za życia, a tak uczczony po śmierci, jak Alfieri, spotkał się w bliższej potomności z oziębieniem, a ledwo nie z zapomnieniem dla swoich trajedyi, co w pewnych chwilach gorączkowo działały na całe Włochy — cóż powiedzieć o tych wszystkich gonitwach za rozgłosem sławy po naszych dziennikach?

„Nowa gwiazda nam wschodzi na horyzoncie. Wieszcz (lub wieszczka), który nie miał sobie równego! Wszyscy pisarze co poprzedzali pana X. pobledli — on berło trzyma szczero-rodzinnego dramatu lub romansu. To nasz Cerwantes, Szekspir, Fielding, lub Walterskot! Pan Y zesumował w sobie wszystkie objawy ducha narodu, gdzie on stoi, dalej pójść nie można! Pan Z wszystko wie i

umieć się mieści na skałach Ellory, na monolitach Karnaku, aż do archiwów Watykanu i Eskurialu!“

Takie to rzeczy w przybliżonym sensie, bo tu pozwoliłem sobie być humorystą; bębnia nieraz po gazetach w tém przekonaniu, że wziętość lub chwilowe wrażenie opiewane w lirycznych kantorsjach, zgwałci sąd potomności, która jeśli znajdzie się w ambarasie wyrokowania, niezawodnie poradzi się współczesnych autorowi recenzji gazeciarskich.

Nicby to nie szkodziło ani mnie, ani potomności, gdyby podobne zdania wypływały li tylko z młodzieńczego entuzjazmu będącego pod wrażeniem świeżo przeczytanego utworu, bo jak wstrętu, tak podziwu nie można nikomu narzucić, ani zabronić. Ale to najgorsze, że do tego prawie zawsze miesza się koteryjność zdań, kamraderja i wywieszanie pewnych sztandarków dla walczenia pod nimi z przeciwnikami antreprzyz gazeciarskich. — O sumiennosc zdania w Literaturze ani można pytać, gdzie tego rodzaju przeważają widoki, szukające zazwyczaj podstawy w zwietrzalnych teoryjkach potępionych doświadczeniem i spędzonych z pola działania.

W takim składzie rzeczy sumienna praca i praca przesuwa się najczęściej nieopatrzone; monumentów jej nie stawia, a nawet obrzucają błotem, — co wcale nie przeszkadza, żeby wyrokująca potomność cofnęła się przed uznaniem prawdziwej zasługi. Przecież to nie nowina spotykać w dziejach piśmiennictwa częste restauracye tych autorów, których głos nie przebił się za życia; jak znowu: odepchnięcie tych, co w swojej epoce najgłośniej stukali do bram sławy. Alfieri i jego pomnik we Florency i sława Lamartina, dają próbkę téj prawdy, z której i ja wyprowadziłem powyższe uwagi dla pocieszenia cichych pracowników, co nie mając szczęścia unosić się na skrzydłach dziennéj sławy, mogą ją znaleźć w potomności, a najbardziej w wewnętrzném przekonaniu, że spełniali chrześcijańską i obywatelską powinność.

Ustęp Lamartina wydał mi się i z tego godnym zastanowienia, że pisarze nasi nie chorują jeszcze na tak bezwstydną próżność, aby osobę swoją wszędzie i w każdym razie wyprowadzali na pokaz, ustrojoną w laury od stóp do głów. Nie śmiałbym jednak stawić własnego gardła, że do tego nie przyjdzie. —

Poczekajmy — poczekajmy! Wszak już powoli przyzwyczajamy się do przechwałek — krok jeden, sami się chwalić będziemy, zrazu pod maską bohatera romansu, potem i bez maski, od zafryzowanego czuba, po nosek lakierowanego bucika.

Skromność mogła kiedyś przysłużyć ludziom niemającym *samopoznania*, jak mówią filozofy, — lecz miałożby ze *samopoznaniem* iść w parze i... *samochwalstwo*?

XV.

MATERYALIZM POETYCZNY

i kontemplacje Wiktora Hugo.

1856.

Pieśń poety, spoglądającego codzien tęsknícím okiem na brzegi rodzinnej Francji, od której go przedzielają fale morskiego kanału, stokroć szersze dlań, niż dla Byrona Hellespont—pieśń Wiktora Hugo, rzucona w odmet paryzkiego świata z zacisza wyspy Jersey, powitaną była lirycznym okrzykiem admiracji przez jego zwolenników.

Wszakże zachwyty początkowy, bądź uważający poetę za cel owacy, bądź za narzędzie opozycji, prędko opadł jak rzeka z nagłej powstająca ulewy. Gdy wzruszone umysły

cofnęły się w zwyczajne koryto, a *kontemplacye* (les Contemplations) zaczęto spokojnie czytać i rozważać, powstał niemal jeden głos w krytyce, że poeta nie przyniósł nic nowego, że tylko postrzeżono w nim daremny wysiłek spiorunowania czytelników lirycznymi efektami, wielkimi a pusto-brzmiącymi słowy i połączeniem rymów, o jakich ani się śniło francuzkim wierszopisom. Najbardziej zaś wyszydzano jego pychę i pretensjonalność podawania się za jakiegoś objawiciela nowych prawd ludzkości, za proroka namaszczonego przez samego Boga, który mu zwierzył się ze wszystkich swoich tajemnic i kazał takowe nam, biednym śmiertelnym obwieścić wierszami, które poeta z taką zafrasowaną powagą ogłasza, że ani wątpić, iż to są dogmata wiary świeżo objawione.

Powiadają, że na poetów nietrzeba się gniewać, jeżeli czasem sobie co pozwolą, bo imaginacya, szal natchnienia, nie używa fiakierskich koni do swego rydwanu, ale rumaków skrzydlatych, nieokiełznanych, co jednym skokiem z ziemi bywają na obłoku lub gwiazdzie; tak nieregularnej podróży, zimny rozsądek nie może przepisywać marszruty. A jednakże po-

mimo takiego zawarowania się poetów od krytyki rozsądku, zawsze, jeśli nie terażniejszość zbyt może gorączkowa, to spokojniej sądząca przyszłość, powołuje ich przed swoje kratki i waży każde słowo, każdy obraz, porównanie, dążność na szali rozumu. Jestto nieunikniona próba, przez którą przeszli wszyscy poeci od czasów Homera, i im więcej który z nich odpowiedział wszystkim wymaganiom, tém trwalszą zyskiwał sławę, będąc uznanym za wzór doskonałego pisania. Podobnież i dzisiejsza krytyka, jeżeli chce być taką, powinna zapytywać pisarza o rozumną przyczynę każdego słowa, dochodzić, jaka częśćka rzetelnej prawdy mieści się w tém, co on za prawdę ogłasza? Tak téż postąpiono sobie z Wikto-rem Hugo i wzięwszy go pod ścisły rozbiór, przekonano się, że w nowo wydanych *kontemplacyach* bardzo niewiele przybyło z ducha poety, niewiele wysnuło się z uczucia osobistego, co on zapewne instynktowie miarkując, usiłował osłonić a raczej zamajaczyć jakąś matadorską przesadą i fanfaronadą rymu, naciąganych porównań, dzikich wyrażań i gwałtownych koziółków, wyprawianych na cienkiej linie artystostwa.

Przyznam się, że z całym uszanowaniem wzięłem dwa spore tomy *Kontemplacyi* do odczytania; i zaraz po odczytaniu pierwszych kilkunastu kawałków, uczułem się tak zmęczonym, że z trudnością dobiłem się do końca dwóch tomów, gdzie ledwie kilka znalazłem ustępów, przy których, jak podróżny kopiący się przez piaski Afryki i walczący z wichrem miecącym mu piasek i żwir w oczy, mogłem odetchnąć i otrzeźwić się kilką kroplami spadającymi z prawdziwego nieba poezyi.

Co za powód tego zmęczenia? spytałem sam siebie. Przecież co kartka napotykam tak szczęśliwie splecione strofy, obrazy ćmiące brylantowym blaskiem, porównania zadziwiającej oryginalności, brane z całych obszarów stworzonego świata; co więcej, oglądam nawet tajemnice Bogu samemu wiadome, których zasłonę rozbujana myśl poety, jak nożem przecina.... Wszystko to przecież powinoby ducha mego podnosić i porywać w te nieskończoności fantazyi olbrzymiej, która przymawia do mnie jak kapłanka z wysokości najwyższej gwiazdy... I czemuż mię to nie grzeje, czemu nie porywa, czemu nie robi jego niewolnikiem? .. Czemu?... Na uniewinnienie się

moje tylko to mam powiedzieć, że te sznurki i druciki, któremi wieszcz francuzki wprawia w ruch swoje apokaliptyczne dziwadła, z nadto są widoczne, nawet gołemu oku śmiertelnika.... Zbyt on się narzuca ze swoim kapłaństwem, zbyt wiele liczy na moją łatwo-wierność, kiedy myśli, że dość mi zagrzmieć w uszy ogromnym słowem, abym uwierzył, i bijąc się w piersi, powtarzał: Słowo stało się ciałem!.... A jakież to słowo rzuca nam poeta ze swojej wysokości? zapyta niejeden, ciekawy dowiedzieć się natury tego objawienia. Trudno byłoby mi zesumować wszystko w jedną, ścisłą doktrynę, lecz radzę przeczytać w oryginalnie ten ustęp, gdzie widmo — duch z przyłodka Rosel, wzięwszy poetę za włosy, wyniósł go na skałę i zaczął mu wyklądać całą genezę, cokolwiek odmienną od Mojżeszowej; bo co Wiktor Hugo, to nie prawodawca żydowski; gdzież jemu było wiedzieć to wszystko, co się zawiera w kosmogoniach hinduskiej filozofii, co pisał St. Martin illuminista, co Piotr Le-roux, co Ballanche i inni, a co widmo-duch znać musiał na palcach. Czytając ten kawałek, zdawałoby się, jak słusznie jeden krytyk powiedział, że Wiktor Hugo, rzuca gorzką iro-

nię na tegoczesnych fabrykantów religii i dogmatów; gdy tymczasem przypatrzwszy się lepiej, jest to nie fantastyczna ironia, ale wynurzenie szczerego przekonania. Powiada on w tej swojej fabryki Genezie, że Pan Bóg na początku stworzył istotę bezcielesną, która za popełnieniem pierwszego grzechu, zaraz ubrała się w materję. A zatém grzech stał się pierwszym ciałem.

„I Bóg światy stwarzając, złe stworzył.“

Ponieważ wyczytałem w pismach czasowych, że ktoś zamyśla przełożyć rymem całe *Kontemplacye*, przeto życząc mu powodzenia, a nadewszystko trudnych rymów, poprzestane tymczasem na tłumaczeniu prozą, gdyż mi właściwie nie o dźwięki, ale o rzecz najwięcej idzie.

Widmo-duch wychodząc z powyższej zasady, maluje poecie nasz świat w najczarniejszych kolorach.

„Twoje słońce ponure — powiada on — a twoja ziemia okropna. Mieszkasz na progu świata kar wszelkich, ale nie jesteś całkiem wyłączony od Boga, gdyż Bóg słońce w błękiecie, w popiele iskra, wszędzie jest i we wszy-

stkiem będąc powszechnym końcem. Spojrzeniem jego błyskawica, równie jak promień, a wszystko, nawet samo złe, jest stworzeniem jego; bo nawet odwrotna strona maski, ma podobieństwo twarzy.“

Po téj przemowie, Duch chce mu odsłonić dalsze głębie swoich pomysłów, i pokazuje mu niezmierną drabinę pomiędzy niebem a ziemią, na której stoją różne istoty, a drabina ta zaczyna się dalej niż ziemia, „bo w świecie tajemnic, w świecie zgrozy i zatracenia, wychodzi ona z przepaści, gdzie są larwy i zbrodnie, gdzie stworzenie strachem napełniając bezdnie, przedłuża się w cieniu w nieokreślone widmo.... a zatém materya uczepia się ideału i ciągnie ducha do zwierza, anioła do satyra, szczyty w niziny, miłość do chuci, i z téj wielkości co runęła, tworzy drobnostkę.“

Nie powiem, żeby było zabawnie przebiegać się przez tę Hugonowską apokalipsę — dosyć, gdy będę się starał wytłumaczyć główną myśl poety, zmierza on do tego, aby powiedzieć, że człowiek, będąc istotą wolną, czynami swemi pisze wyrok na siebie: jeżeli cnotliwy, natenczas oswobadza się od materyi i dostaje archanielskich skrzydeł, jeżeli

występny, natenczas własne występki wkładają nań kajdany.

„Każdy twój błąd jest więzieniem, które sam sobie otwierasz.... Zli własnymi czynami budują sobie więzienie. Bandyta, kiedy śmierć dotknęła go palcem, budzi się i z przestrawieniem widzi kaźnię, wystawioną mu przez zbrodnię, włączając się za nim, i tak Tyberyusz dostaje na więzienie skałę, Sejan węża.... Każdy zły człowiek umierając, daje początek potworowi swego życia, który go porywa. Nemrod ryczy zamknięty w stromiej górze, kiedy Dalila zstępuje do grobu, padalec wyłazi z fałdów całunu i zabiera fałszywą duszę; Fryne umiera, a ropucha wyskakuje z dołu; ten skorpion śpiący we wnętrzu kamienia, to Klitemnestra w objęciach swego kochanka Egista.... Obcegi zczerwienione w szkaradnym żarze, zrobione są z księcia Alby i Filipa drugiego. Xerxes jest ekskrementem; Karól dziewiąty trupem; Herod jest wikliną huśtających się kołyszek, a dusza czarnego Judasza od tysiąca ośmset lat rozpryskuje się i odradza w płucinach ludzkich.... robak toczący czarną cząstkę, powiada: jestem Kleopatra!....“

I tak wszystko co widzimy, słyszymy, de-

pczemy, pożywamy, czém oddychamy nawet; mieści w sobie różne pokutujące dusze, a ten świat który nas otacza, a dla którego i sam Wiktor Hugo pisze strofy pełne uniesień, jest niczém więcej tylko wielkim kryminałem na zbrodniarzy powieszonych w drzewach, skałach, kamykach, ropuchach, pająkach i t. p. Dusza u niego cierpi w drzewie, które się pali, cierpi pod siekierą rąbiącą drzewo, ale i siekiera także cierpi; same nawet kolebki niemowląt powinny nas przerażać, bo w nich pokutuje dusza Heroda. Zgoła niema nigdzie schronienia przed zapasami, które poeta dostrzegł w każdej rzeczy, bystrzejszy w tém od Hindusów, co „o takiej meteampsychozie zaledwie coś marzyli, i nie zrozumieli jój.“ Lecz dla pociechy serc naszych, wszystko to bę dzie miało kiedyś swój koniec, bo Pan Bóg ulituje się nad „*plowym światem*“, tym więzaniem bożym, a tymczasem ty człowiecze płacz nad temi nieszczęściami, płacz nad tém ogromnem więzieniem, nie psując ponurój równowagi tam w górze! „Niestety! niestety!— woła dalej widmo-*duch* — wszystko żyje! wszystko myśli. Pamięć jest karą, będąc nagrodą. O jakże tutaj cierpią, o jakże sobie przypominają! Mę-

czarnie duchowe zakłete w materyi! zwierzę i granit jakież to wezglowie dla duszy! Ten muł był sułtanem, ten owad kobietą. Drzewo jest tułaczem, skała wygnańcem. Ażaliż przypadkiem może śmiech pozostać na ustach, jeżeli taka rzeczywistość napełnia cienie? Ruiny, śmierć, kośnice, gruzy, wszystko to żyje.... Dla głębokiego oka, umiającego widzieć, pieczary są jękiem. Niestety! łabędź—los czarny, lilia marzy o swoich zbrodniach—kwiaty cierpią pod nożyczkami i zamykają się jak zamknięte powieki. Wszystkie kobiety są zbroczone krwią róż; dziewica na balu tańcząca, ten anioł krasny i świeży, trzymając w rękę wiązanke kwiatów, z uśmiechem wacha bukiet śmiertelnych podrygów (*un bouquet d'agonies*).“

Ale jak napomknąłem wyżej, nastąpi powszechne przebaczenie, bo trzeba wiedzieć, że Wiktor Hugo nie wierzy w piekło, tylko w do-czesność kår.

O cieszcie się nadzieją, o cieszcie nędzarze,
 Niema wiecznej żaloby, Bóg wiecznie nie karze,
 Niema wiecznego piekła.

Promień boskiej miłości zagląda czasami do czarnych czeluści, „jak daleki promień nie-

śmiertelnej miłości; a wtenczas hyena Atrej i szakal Timur, i cierń Kaif, i trzcina Piłat, i wulkan Alaryk z paszczą szkarłatną, i niedźwiedź Henryk ósmy, za którego napróżno modlił się Morus, i dzik Selim, i wieprz Borgia, wyją ku Wszechmocnej istocie i t. d.“
Oczyszczone promieniem boskiej miłości „piekło zamieni się w Eden, i potwory będą się wznosić ku niebu z palmami w łapach.“

Wybaczcie mi czytelnicy, żem powtórzył te wybryki Hugonowskiej pychy; ale wypadło doprowadzić już do końca całą tę apokalipsę dyktowaną poecie, jak się dobrze wyraził jeden krytyk, pod natchnieniem wirującego stołu.

Póki Wiktor Hugo opiewa wrażenie osobiste, co czuł, doświadczał, widział w życiu, to nie razi, bo się da wytłumaczyć, ale kiedy się puszcza drogą filozoficzną i usiłuje opowiadać początek świata i przeznaczenie człowieka, a wszystko nie podług naszej wiary objawionej, tylko podług pitagorejskiego systemu, rozciągniętego do trzech działów natury, to obudza uśmiech politowania, z téj improwizowanej filozofii, która stawia się wyżej

nad sąd samego Boga. To co nasz poeta powiedział:

„Sąd mój prócz Boga niedany nikomu,

„Chcieć mię sędzić, nie zemną trzeba być, lecz we mnie.“

to się może i powinno stosować do sądów historyi. Tymczasem Hugo pomieszał sąd historyi z sądem Boga i dał przez to zły przykład namiętnym sądom, które teraz mogą pisać wyroki skazujące jednych po śmierci na przemierzanie w ropuchach, innych w kamykach, pokrzywach, ostach i t. p. Jako poetyczna fikcyja, mogłoby to być użyte w sposób satyry, ale nigdy uchodzić za dogmat objawionej przez widmo-ducha na przylądku Rosel. Ten zaś całego tego kawałka ma pretensją do takiej powagi, a tak jest przytém ciemny, że widać, iż poeta na seryo chciał uczniom swoim przynieść nową doktrynę. Jak zaś nieloicznie sobie postąpił, dowód w tém, że natura, którą zamienił w kryminał pełen jęków i zgrzytania zębów, obudza w nim nieraz uniesienia zachwytu, do jakich tylko może być zdolny kochanek pól, lasów i błękitnego nieba. Ale o loikę nietrzeba tu pytać, bo się jasno pokazuje, że pochlebstwami zauszników wbity w zrozumienie poeta, przedsięwziął zabawić się

w kapłana, proroka, wieszczka, i nie przestając na opiewaniu tego co czuł, lub widział, pragnął zadziwić świat nową religią, która na szczęście może tylko słabe głowy obalamucić, najbardziej podziwiające to, czego nie zrozumiemy, co ciemne, jak usta owego widmo-ducha, rozprawiającego na przyładku Rosel.

Zastanowiłem się nad tym wierszem Wiktora Hugo, nie w zamiarze potępienia kontemplacyj, mieszczących wiele bardzo udanych kawałków, ale żeby pokazać, na jakie bezdroża prowadzi chęćka gonienia za oryginalnością, kiedy téj oryginalności niema w wewnętrznym funduszu poety, i jakie potwory rodzą się z wysiłu, kiedy nastąpiło już wyczerpanie się. Wiktor Hugo wyraźnie postanowił sobie przybrać charakter rewolucjonisty, ale nie takiego, co to podburza do buntu przeciw rządóm i porządkóm społeczeństw, (to przecież rola tak zużyta!) ale waży się on na większe, bo chce do góry nogami świat przewrócić. Dotąd udał mu się tylko początek, jak sam powiada w wierszu: *Odpowiedź* na akt oskarżenia, kiedy zrewolucyonował język i ogłosił równość, wolność i pełnoletność wyrazów, i

„Je nommai le cochon par son nom, pour quoi pas?“

a dalej:

„Dzięki tobie święty postępie, rewolucya drży dziś w powietrzu, w głosie, w książce; czytelnik czuje ją drgającą w słowie, krzyczy, śpiewa, naucza, śmieje się.“

W innym wierszu: *Kilka słów do kogo innego*, opowiada co zrobił z dramatem:

„Z głownią w ręku, otwarłem podwoje dramatu, pirata z rozwiniętym żaglem, z wiosłem w ręku zdobyłem Archipelag potrójnej jedności..... Lukrecya Borgia nagle wyskakuje z jamy i miesza brzydkie trucizny do waszych ślazów; dramat z najeżonym włosem przestrasza łyse głowy. To okropnie! ja rozbójnik, jakobin, włóczęga, zgruchotałem tego wielkiego cymbała — Alexandryna.... (wiersz trzydziestozgłoskowy.)“

Niechby poeta sobie przestał na téj rewolucyi językowej, chociaż i tutaj są granice; wiemy przecież, co ta literatura rozpasana nawarzyła niedorzeczności we Francyi i wszędzie, że aż nastąpił wstręt do niej: Wzgardzenie zupełne prawidłami rozsądku i pędzenie na oślep, dowodzi właśnie bezsilności mądrość

jeżeli gdzie, to w poezji bardzo się przyda,
dlatego wiersz Wiktora Hugo:

„Quand l'impuissance écrit, elle signe: Sagesse.“

nigdy nie uzyska prawa obywatelstwa w kodeksie wierszopiskim, obowiązującym wszystkich piszących, bo doświadczenie uczy, że właśnie taka bezsilność (*impuissance*) jeżeli ma za towarzysza zarozumiałość, rzuca się najpierw na prawidła rozsądku i mądrości, i połamawszy je, wyobraża sobie, że stworzyła coś niewidzianego, ani słyszanego. Tymczasem świat widział to nieraz już, że kiedy się wyczerpie źródło natchnień wielkich w jakiej epoce, następuje swawola rozsadzająca formy, w które się geniusz narodu przyoblekał, aby się rozpląnąć w nicości....

Otóż wracając do powyższej myśli, utrzymuję, że Hugo ma się za rewolucjonistę na największą skalę. Z tego przekonania, które jest odcieniem myśli, skutkiem organizmu czaszki, a nie owém bezdenném źródłem, z którego poeta powinien czerpać święte swoje natchnienia, z tego mówię przekonania, czy przewidzenia, wyroił się cały niemal zasób rymotwórczy, a zarazem i te dziwolągi, jakim dał

początek, a jakie zwolennicy jego tak gorliwie propagują. Nie utrzymuję jednak, żeby nie miał chwil prawdziwego poetycznego natchnienia, ale przytęm twierdzę, że mniej jest poetą, a bardziej artystą w poezyi, bo i sam się nazywa „rzemieślnikiem boskim, co schylony nad nieskończonością, piłuje i dłutuje bryłę ludzkości.“ Ztémwszystkiém nie jest on poetą z ducha, poetą myśli, bo tylko widok rzeczy zewnętrznych przyciąga go i porusza, poczucie ma tylko dla obrazu, pojęciem patrzy, a nie дума, dlatego i abstrakcyjna idea stworzenia nie trafia do jego pojęcia. Styl Wiktora Hugo najlepszym tego dowodem; co tam blasku drogich kamieni, co za pstrocizna kolorów, a jaka koronkowa rzeźba wyrazów! U niego świat pojęć i uczuć przedstawia się w płaskorzeźbie, taką czuje potrzebę zmaterializowania najlotniejszej myśli. Z tego wychodząc, rozumiemy to szalone pędzenie za dosadnością wyrażen, graniczących z przesadą, niemniej jak wyszukiwanie rymów nadzwyczaj trudnych, że nieraz zdaje się, że pierwój myślał o *końcówkach*, niż o rzeczy. Któryś krytyk dōwciwnie powiedział: że kto lubi podziwiać wiersze ód ogona, może się nacieszyć

wierszami Wiktora Hugo. A teraz co sądzić o tych szumnych epitetach tak słusznie ganiionych? Lada pospolity pomysł niech weźmie na swój warsztat, tak go nadmie, tak wysadzi, że tym co się nie rozumieją na naturze poezyi, zdaje się widzieć arcydzieło grzmiące głosem archanielskim.... Wytrawiony sztukmistrz, zna on wszystkie efekta, przygotowuje do nich, zdaleka i raptem uderza, żeby cię aż ogłuszył, żebyś sobie nie umiał zdać sprawy, ani poznać się na figlu, a tém bardziej, żebyś zdekoncertowany nie powiedział: „Szkoda takiej fatygi.“

Długo rozważałem, jakby najtrafniej zcharakteryzować manierę poety Kontemplacyi, i stanął mi w pamięci ten ustęp z *Podróży sentimentalnej* Sterna, gdzie humorysta angielski opowiada, jak przyzwawszy francuzkiego fryzjera, wybrał u niego perukę i przy targu puścił wątpliwość, że loki peruki prędko się rozwiną na wilgoci.

— Zanurz ją pan w oceanie!—odparł fryzjer—a loki się nie rozwiną.

Tutaj humorysta zrobił uwagę, że w Anglii, lub gdzieindziej, taki fryzjer przestałby

na zanurzeniu w konewce wody, kiedy Francuzowi potrzeba oceanu.

Zupełnie to samo wrażenie robią w większej części utwory Huga — mniejszą ekspensą wielkich słów, mógłby nawet lepszy rezultat otrzymać. Jakże też dalekim jest od téj prostoty, chwytającej za serce, co tylko tyle mówi, ile potrzeba — dalekim nawet w opiewaniu tych boleści, jakie serce ojca dotknęły, a które przecież obejść się może bez sztuki i manieri! Jednakże winienem oddać sprawiedliwość, że w téj części, gdzie maluje ojcowskie boleści po stracie ukochanej córki, pomimo kilku rozpaczliwych i całę niechrześcijańskich wyrzutów robionych Twórcy, znajdują się miejsca, które z Trenami Jana Kochanowskiego na śmierć Urszulki iść mogą w parze. — Dwaj ci poeci ojcowie spotkali się tutaj; a choć Wiktor Hugo nie znał zapewne trenów Jana z Czarnolasu, wy dobył z siebie ten sam jęk, te same ze wspomnieniami pieśczo ty, te same łyzy na grób wiecznie otwarty. Bo téż uczucia prawdziwie i głęboko ludzkie, acz wiecznie się powtarzają, nie tracą nic na świeżości, i obchodzą się bez sztuki. Nie mógłem więc przenieść na siebie, aby nie przełożyć rymem je-

dnego z takich ustępów, w którym poeta od-
 zywa się po prostu i tak naturalnie, jak na-
 turalną była jego boleść:

„Już od latek dziecinnych tak ją zwyczajano,
 Że do mego pokoju wbiegała co rano;
 A jam spragniony czekał na to, jak na lato.
 Ona wbiegłszy mówiła: „Dobry dzień mój Tato!“
 To pióra, to papiery, książki mi rozkłada,
 To usiądzie na łóżku to śmieje się, gada,
 I nagle odlatuje jak ptasze przelotne...
 Wtenczas jakby mi myśli rozwiała kłopotne,
 Zasiadałem do pracy i pisząc z zapalem,
 Nieraz na manuskryptach moich spotykałem
 Rozmaite figlasy jój ręką kreślone,
 Lub białe kartki zmięte, gdzie prawie natchnione
 Same mi się sypały najśodsze wierszyki...
 Kochała Boga, gwiazdy, kwiateczki, trawniki,
 I pierwój była duchem niżeli kobietą.
 W oku nosiła czystość swój duszy odbitą;
 Do mnie zносиła swoje zwierzenia tajemne.
 O jakież to wieczory bywały przyjemne!
 Gdy ich czworo usiadło na moich kolanach,
 A ja im o historii prawil, o odmianach
 Gramatycznych; najbliżej siedziała ich matka,
 A dalej, przy kominku goście lub czeladka...
 Taki żywot nazwałem: przestawać na małem,
 I jak mi Pan Bóg miły na tém przestawałem.
 Dziś jój niema! jam bez niej jak dusza pokutna...
 Nigdy nie byłem wesół, gdy czułem, że smutna,

I humor mi posepniał w balowym natłoku,
Gdy na odchodném chmurkę ujrzałem w jej oku.

Następne strofy wiersza: *Quand nous habi-
tions tous ensemble*, pełne są rzeczywistych
piękności opisujących niewinność anielską
straconego dziecka. Uczucie ojca znać w tym
jęku:

Ona mi szczęście przyniosła w progi,
Świecąc méj pracy jak złote zorze,
I gdy mówiła: Tatku mój drogi!
Wezbrane serce krzykło: mój Boże!

Do tego rodzaju elegicznego należy ustęp
A Villequier, który zdaje mi się czytałem prze-
tłómaczony w Kronice; pomimo wielu rze-
wnych zwrotek, jestto cokolwiek za długa ele-
gja; często bowiem jedna myśl, jeden obraz
powtarza się, lubo na inny sposób, zawsze je-
dnak to samo. Poeta przychodzi w nim do
opamiętania się i przeprasza Boga za bluźnier-
czą rozpacz, lubo zawsze powiada:

„*Et mon coeur est soumis, mais n'est pas re-
signé.*“ (Moje serce poddało się, lecz się z Twą
wolą nie zgadza).

Zawsze to miał Wiktor Hugo do siebie,
nawet w dawniejszych i najlepszych *Liściach*

jesiennych, że umiał po mistrzowsku wylewać rzewne uczucie nad jasnymi główkami drobnych dziecię, uśmiechliwych przyszłością. Ta tkliwość prosta i dla wszystkich przystępna, ta nuta miękka i wdzięczna, jest najcenniejszym darem, jaki przyniósł skarbowi poetycznym swego narodu. Ilekroć myśl jego zwróci się na ten przedmiot, tylekroć podbija prawdą, tylekroć obchodzi się bez tych szumnych przyborów złota, rubinów, odurzających woni, szalonych przenośni, wyszukanych obrazów i wyszukańszych rymów, któremi przez wiele tysięcy wierszy zręcznie umie pokrywać brak uczucia i reflexyi, dając miasto poezji malowidło i muzykę, a raczej z malowidła i muzyki robiąc nową poezję bez łez i bez zadumy, poezję pełną dźwięków harmonijnych i odległych perspektyw, że aż w upojeniu zmysłów czytelnik, zapomina spytać do czego to zmierza, gdzie myśl? To pewna, że Wiktor Hugo ma osobliwszy i wyłączny pociąg do widomych, namacalnych obrazów, czyli do strony malowniczej przedmiotów, co zakrawa bardzo na *materyalizm poetyczny*. — Przynajmniej jako naczelnik szkoły, wziął on sobie za punkt honoru urągać przesądom i trady-

cyom literackim, narzucać zarówno prawa swego kaprysu, jak genialnego talentu, a zawsze zdobywać przebojem podziw czytelnika. W teorii zdetronizował on panowanie *piękna*, aby natomiast posadzić dynastję *charakteru*, a tymczasem w praktyce pokazało się, że wszystkim ster oddał panowaniu nie dającej się skontrolować *fantazyi*, — która tyle nabroiła niedorzeczności, co dawniejsze opisanie się formułkami źle zrozumianego klassycyzmu.

Dla naszych czytelników, jak mniemam, gdyby i w najlepszym przekładzie, utwory Wiktora Hugo nie przypadną do smaku, a przynajmniej mam to przekonanie, żeby niefortunnie na smak działały, zwłaszcza, jeśliby z całą czołobitnością dla naczelnika romantyków francuzkich, usiłowano wmówić w nas, że to Alfa i Omega tegoczesnej poezyi. Jak przeto *Kontemplacye* w całości wzięte byłyby niestrawnym pokarmem i niepotrzebnym zamęceniem mózgow, tak wybrane z nich szczęśliwsze ustępy, zawsze zyskałyby oklask: są tam bowiem piękności liryczne pierwszego rzędu, jest dzielność pomysłu, śmiałość w zakreśleniu planu, surowa otwartość słowa, zgoła coś wyzywającego; coś, co otrząsa z rutyny,

co zmusza być samym sobą, lubo jak powiadam, blichtru słów nie mało, a wymęczonéj oryginalności, a raczój dziwactwa, także co nie miara. Myśli fałszywe przewijają się jak węże, a choć poeta ubiera je w ogromne słowa ludzkości, posłannictwa, kapłaństwa, ekspijacyi, postępu, cywilizacyi i metampsychozy, tém ci gorzój, kto się na tém pozna, bo :

„immensa cavi spirant mendacia folles.“

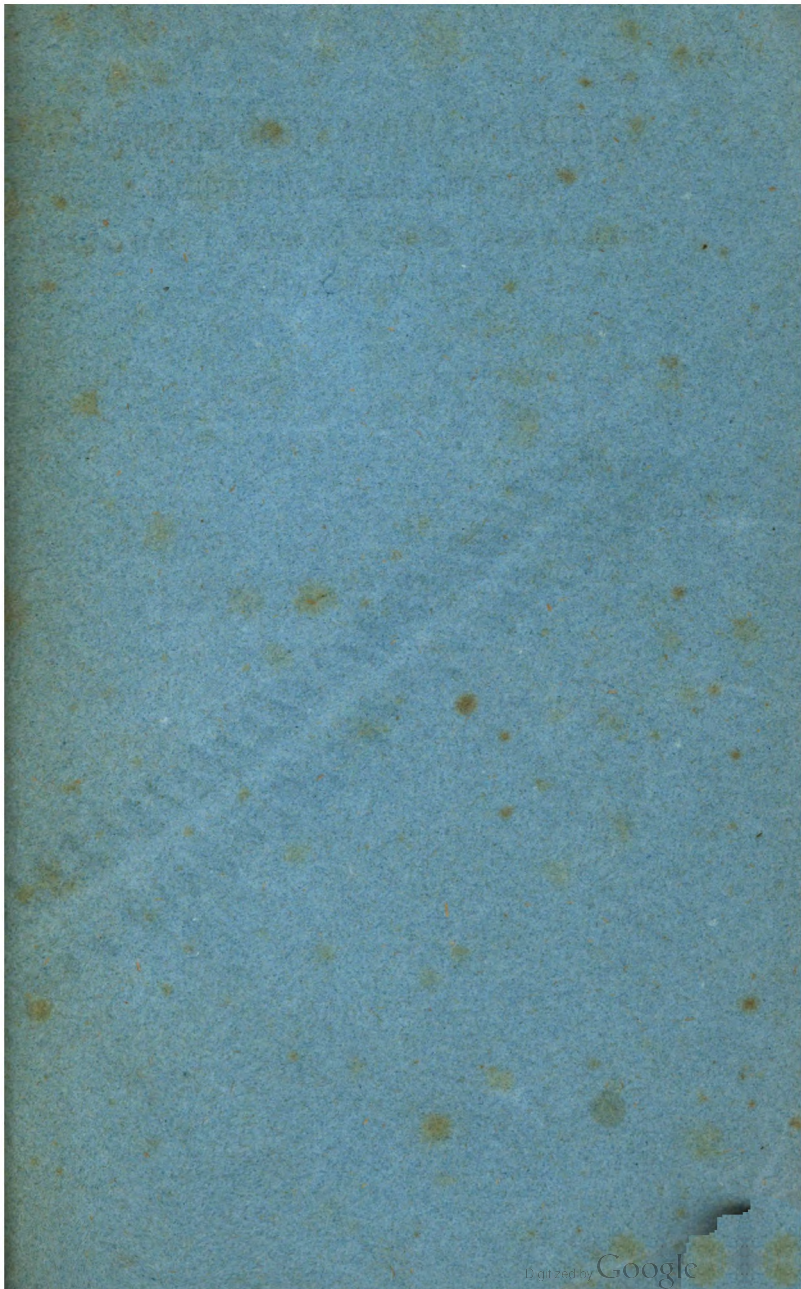
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ARTYKUŁÓW

tomu pierwszego.

	Strona
I. Kartka z Historii Starożytnej i Teraźniejszość	1
II. Formułki socyalne, stare cnoty i obyczaje	12
III. Autorowie — Księgarz — Publiczność.	28
IV. Przewodnictwo poezyi w dziedzinie myśli. Felicyta, Dramat A. E. Odyńca.	51
V. Improwizacya i Poezya. Charakterystyka Deotymy	131
VI. Autorka Pielgrzymy i Malwiny . . .	146
VII. Tradycye szlacheckie i koloryt miejscowy w powieściach.	169
VIII. Wpływ powieści i romansu na społeczeństwo i literaturę	213
IX. Znaczenie kobiet w literaturze i poemata pani Pruszkowej	242
X. Poezya ciszy i Żywot ziemiański szlachcica (W. Pol i W. Wielogłowski) .	264

	Strona
XI. O Historyi w Romansie	289
XII. Wioskowy Sentymentalizm i Naga rzeczywistość — Poemata Syrokomli i obrazki wiejskie Wielogłowskiego . .	309
XIII. Klassyczność rzymska i Kajetan Koźmian	335
XIV. Znikomość sławy Autorskiej. — Alfieri i Lamartine	373
XV. Materyalizm poetyczny i kontemplacye W. Hugo	384



46.179 of. 34933 1/11-80
F 12 2/59

DZIEŁA NAKŁADOWE I KOMMISSOWE

KSIĘGARNI I SKŁADU MUZYCZNEGO

Gustawa Gebethner i Spółki
W WARSZAWIE.

Biblioteka Polska, wydanie K. J. Turowskiego w Krakowie. Rok 1858 składa się z 60 zeszytów, stanowiących jedną serję w Warszawie Rsr. 12, z przesyłką na prowincję Rsr. 13 kop. 20.

*Ellis, Zarysy Ekonomii społecznej, podług tłumaczenia francuzkiego C. Terrien, z zalecenia Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem, przełożył, przypisy dodał i uzupełnił S. Budzyński. Kop. 75.

Geografia na tle historycznem osnowana, czyli rys geografii, w połączeniu z historją, przekład z francuzkiego. 4 tomy. Rsr. 6.

*Kaczkowski Zyg. Sodalis Marianus 5 tomów Rsr. 5.

Kalderon, wybór dzieł, tom I. Kochankowie nieba przez Karola Balińskiego. Rsr. 1 kop. 35.

*Kraszewski J. I. Mogiły i Abracadabra, dwa fragmenta, oraz Dyarjusz podróży z Warszawy do Petersburga, hr. Kazimierza Konst. de Broel-Platera, starosty Inflantskiego, później Podkanclerza, Rsr. 1.

Lukaszewicz E. An., Chwile od prac swobodne, Rsr. 1.

Maciejowski W. A. Historja prawodawstw słowiańskich. Tom 2 i 6. Prenumerata na 6 tomów, Rsr. 7 kop. 50.

Mitschel Donald. Życie marzeń, powieść amerykańska, Rsr. 1.



This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine is incurred by retaining it
beyond the specified time.

Please return promptly.



Slav 7123.10.22

Kilka rysow z literatury i spolec

Widener Library

006602346



3 2044 085 702 348